

**Menopauza bez wstydu ■ Zmowa deweloperów ■ Dobry ksiądz na marginesie
Polska kocha defilady ■ Bilard: z Wersalu do baru ■ Sukienka, dzieło sztuki**

Kraków 21–27 sierpnia 2024 nr 34 (3920)

cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

**Dorota
Masłowska
mówi o nas
wszystko**





ODPOCZYWAM
NA MAZOWSZU!



@Mazowsze.serce.Polski

mazowsze.travel

 **Mazowsze.**
serce Polski

KS. ADAM

Boniecki: Przychodzimy, odchodzimy

MOI RODZICE ŚLUBOWALI MATCE BOSKIEJ, że my, całe rodzeństwo, do 7. roku życia będziemy nosili ubrania wyłącznie w kolorach używanych przez Nią – białym i niebieskim. Było to pilnie przestrzegane, nawet w czasie wojny. Kiedy po wielu latach wypytwałem zakonników na Jasnej Górze o tę praktykę, żaden nie umiał mi odpowiedzieć.



Na Jasną Górę pojechaliśmy z bratem dopiero po maturze w 1952 r. Jechaliśmy w nocy, żeby zdążyć na uroczyste odsłonięcie obrazu. Fantastyczne! Oprócz samego odsłonięcia pamiętam tłok w kaplicy, byli tam głównie ludzie z wiosek, a sama bazylika była raczej pusta. Na mszy św. modliłem się żarliwie. Tak pamiętam tamtą wizytę sprzed 72 lat.

Na Jasnej Górze byłem potem wielokrotnie. Po święciach pojechaliśmy tam *in gremio* – wszyscy. Niedługo potem wróciłem, by pomagać paulinom w spowiedzi. Z tej bytności zapamiętałem jedną spowiedź – kobiety uprowadzonej i zmuszonej do uprawiania prostytucji. W seminarium nie przygotowywano nas do takich sytuacji.

Kiedyś byliśmy na Jasnej Górze z „Tygodnikiem Powszechnym”. Z nami przyjechał też abp Karol Wojtyła. Po mszy św. modlił się długo. Potem ruszył za ołtarz, my oczywiście za nim. Poszedł do kolejki, która tam stała, upadł na kolana i na kolanach obszedł ołtarz Matki Boskiej. Nikt z nas nie dołączył. Stał się z głupimi minami, jak zaczarowani.

Jasna Góra... Miejsce od stuleci dla Polaków ważne i święte. Pielgrzymkowe. Przez kilka lat praktykowałem, jako duszpasterz akademicki, pielgrzymkę pieszą. Nie było wtedy jeszcze wielkich pielgrzymek z Krakowa. Szliśmy z kompasem, nocowaliśmy po drodze, gdzie popadło. Z tych pielgrzymek, odbywanych w niewielkich zawsze grupkach, zapamiętałem, że najtrudniejszy był właśnie sam pobyt na Jasnej Górze. Wędrówka była bezcenna. Była trudem, wszystko nieśliśmy w plecakach.

Jedliśmy tylko rano i wieczorem. Ale to były dobre dni, choć z reguły – deszczowe. Jak na złość? Nie, w ogóle nam to nie przeszkadzało.

We wspomnieniach tych pielgrzymek na pierwsze miejsce wysuwa się droga, nie jej cel. Kiedy je wspominam, nie mogę pominąć jednego wydarzenia. Od grupy, po przejściu kawałka drogi, odłączył się jeden z chłopców. Żał nam było, ale cóż, każdy był wolny, więc jeśli chciał odejść, to odszedł. Wszystko było mniej więcej normalnie aż do chwili, kiedy doszła do nas wiadomość, że odszedł i odebrał sobie życie. Ta śmierć zawsze jest w mojej pamięci. Pytania, czy nie zrobiliśmy, czy nie zrobiłem czegoś, co można było, co trzeba było powiedzieć, zrobić. Bez odpowiedzi.

Jasna Góra jest miejscem, gdzie wielu z nas przeżyło spotkanie z Nią, głębsze niż jakikolwiek obraz. Nie wiem, czy do tego konieczne są wszystkie dekoracje i nabożeństwa, odsłonięcia i zasłonięcia obrazu przy dźwięku trąb, wszystkie te uświetnienia. Zawsze w pamięci pozostanie mi krakowski arcybiskup Wojtyła, pokornie, wśród pielgrzymów, idący na klęczkach wokół ołtarza Matki Boskiej. Jasna Góra działa na człowieka jakby ponad tym, co się tam (od czasu do czasu) dzieje. Wielkie festyny i pielgrzymki pewnie są ważne, ale na pewno ważniejsze jest modlitewne spotkanie, nawet bez słów.

W czasie, gdy piszę ten tekst, dotarła do mnie wiadomość o śmierci mojej siostry Maryli. Umierała z uśmiechem. Wędrówkę jej córki, która tam wtedy była – wręcz z radością. Co widziała? Tamte nasze ubranka? Wieczność? Nie wiemy i nie dowiemy się. Nie chorowała, nic jej odejścia nie zwiastowało. A przecież była gotowa. Wszyscy powinniśmy być gotowi. Łatwo powiedzieć... ©P

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem-seniorem „Tygodnika Powszechnego”

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA”

SZKOŁA ZARZĄDZANA NASTROJAMI

Kim jest Barbara Nowacka? Edukacji dopiero się uczy, krytyki nie znosi, ale komunikacyjnie przerasta poprzedników. „Anty-Czarnek” – mówią o niej ci, dla których najważniejsze było pożegnanie z poprzednią edukacyjną władzą. „Czarnek, tylko z uśmiechem” – dodają tacy, którzy po ośmiu miesiącach nowych rządów w MEN nie widzą jakościowej zmiany.

W „TYGODNIKU” TAKŻE: ■ EKSTRA STRONY O NAGRODZIE LITERACKIEJ GDYNIA

Z pewnością oglądałem w telewizji tę samą defiladę, którą na kolejnych stronach czułym okiem teatrologa rozebrał na czynniki pierwsze **DARIUSZ KOSIŃSKI**, tłumacząc, jakie struny porusza w nas oglądanie maszerującego wojska. Píše Kosiński, że „jest w nas ledwie ukryte pragnienie, żeby w końcu porządnie komuś **PRZYWALIĆ**”, i z tym łączy ostatni wybuch polskiego zainteresowania obronnością, **WOJSKIEM I UZBROJENIEM**.

Przyznaję, że nie od razu odnalazłem się w tej diagnozie, bo choć – jako się rzekło – patrzyliśmy na to samo widowisko, akcenty rozłożyły się nam odrobinę inaczej. On widzi w defiladzie przede wszystkim rytuał **OKIEŁZNYWANIA PRZEMOCY**, którą dysponuje państwo, i symboliczny akt oddania tej mocy pod kontrolę władzy pochodzącej z demokratycznego wyboru. To prawda. Demokracje od zawsze miały problem z wojskiem, które demokratyczne z definicji być nie może. Nawet tak koślawą formą demokracji, jaką była republika rzymska, wykształciła zainspirowaną greckimi zwyczajami formułę triumfu, podczas którego zwycięski wódz wkroczył do Wiecznego Miasta, jednocześnie witany przez wiwatujących mieszkańców i wykpiwany przez podwładnych. W trakcie triumfalnego wjazdu **JULIUSZA CEZARA** legioniści nucili na przykład kuplecik, w którym radzili współobywatelom, żeby pochowali żony, bo jedzie z nimi łysy zboczeniec (Cezar istotnie był wtedy niemal łysy jak kolano, co musiało boleć go tym mocniej, że jego rodowy przydomek był pochodną słowa *caesaries* oznaczającego bujne włosy). Spektakl rzymskiego triumfu miał więc wbudowane bezpieczniki, które służyły temu, żeby triumfator nie odleciał w **SAMOUWIELBIENIE**.

Przyjmującym warszawską defiladę politykom również z trudem przychodziło ukrywanie poczucia siły i sprawczości.

Sami żołnierze zapewnili nam jednak – poza innymi wrażeniami – kojące poczucie, że żyjemy w państwie, które coraz rzadziej musi ze wstydem porównywać się do innych, lepiej zorganizowanych, że ostatnich 34 lat skandalicznie nie zmarnowaliśmy, choć wiele rzeczy udało się nam oczywiście spartolić.

Jak po każdej defiladzie, i po tej trzeba wprawdzie wrócić do rzeczywistości, ale poczucie, że gra się w **PIERWSZEJ LIDZE**, jest od niej naprawdę miłą odskocznią. Nawet bez pragnienia, żeby przy tym komuś solidnie przywalać. ©©

MARK RABIJ
REDAKTOR PROWADZĄCY

Dziennikarz ekonomiczny, redaktor działu Kraj, wyróżniony w konkursie NBP dla najlepszego dziennikarza ekonomicznego. Autor książek nominowanych m.in. do nagrody im. Teresy Torańskiej i do Grand Press.



**BOHATERKA
Z OKŁADKI**

62 Masłowska od kuchni
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

*Jest najwrażliwszym pisarskim medium w Polsce.
Dziś pokazuje, że nie potrzebujemy innych, żeby
zrobić sobie z życia piekło.*



58 Umysł z metalu
ŁUKASZ JACH

*Co o miłośnikach ciężkiego brzmienia mówią badania
naukowe?*



78 Kojąca geometria
BEATA CHOMĄTOWSKA

*Strój to taki sam środek wyrazu jak gest, spojrzenie,
tembr głosu. W połączeniu z ubraniem i fryzurą mają
tworzyć całościową kompozycję.*

OBRAZ TYGODNIA

6 Ukraina szuka swojej szansy

WOJCIECH KONOŃCZUK

7-9 Komentarze

10-11 Informacje

CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA,
PIOTR SIKORA,
KARD. GRZEGORZ RYŚ

KRAJ

20 Świąteczny stan wyjątkowy
DARIUSZ KOŚCIŃSKI wyjaśnia za
co kochamy defilady wojskowe

24 Wszystkie kłamstwa
o rynku mieszkaniowym

BARTOSZ JÓZEPIAK:
Deweloperzy – a za nimi
politycy – ignorują prostą prawdę:
mieszkanie nie jest towarem jak
każdy inny

28 W co gra Beata Szydło

PIOTR ŚMIŁOWICZ:
Była jedną z twarzy PiS. Dziś
jej przyszłość w tej partii jest
niepewna

WIARA

34 Dysydent w Kościele

ZUZANNA RADZIK ROZMAWIA
Z ADAMEM ŚWIEŻYŃSKIM,
KSIĘDZEM, o którym kilkanaście
lat temu zapomniała jego własna
diecezja

38 Na krawędzi życia i śmierci

ARTUR SPÓRNIAK analizuje
„Mały leksykon końca życia”

40 Batalion kapelanów

ANTONINA PALARCZYK
towarzyszy duchownym
wspierającym na froncie
ukraińskich żołnierzy

ŚWIAT

44 Brudna flota imperium

FILIP RUDNIK: Zdezelowane
tankowce wożą nadal rosyjską
ropę. Także po Bałtyku

TEMAT TYGODNIKA

12 Transformerki

EWELINA BURDA

Kobiety nie chcą się wstydić tego, co
naturalne. Menopauza to po prostu
kolejny etap w życiu: wymagający,
ale ani lepszy, ani gorszy od innych.



FELIETONY

33 TOMASZ STAWISZYŃSKI

43 WOJCIECH BONOWICZ

76 OLGA DRENDA **77** PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: DOROTA MASŁOWSKA
FOT. SZYMON ROGIŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE
WYDAWNICTWA KARAKTER, 2024 R.

48 Luis, wieczny student

AGNIESZKA ZIELIŃSKA:
Luis Francisco Ponce de León
skończył 80 lat i 10 kierunków
studiów. Właśnie wybiera się
na kolejny

50 Przemierze puczystów

WOJCIECH JAGIELSKI,
ALEXIO RASHIRAI:
Afrykańscy puczyści stworzyli
Konfederację Sahełu, by wspólnie
walczyć ze wspólnymi wrogami

HISTORIA

54 Królewska gra dla mas

ŁUKASZ DZIATKIEWICZ:
Poznajcie bilard karambolowy –
najszlachetniejszą i najstarszą
odmianę tej gry

NAUKA

58 Umysł z metalu

ŁUKASZ JACH

KULTURA

62 Masłowska od kuchni

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

66 Punkowa kreska

REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI:
Manu Larcenetowi,
przedstawicielowi komiksowej
Francuskiej Nowej Fali, słowo
talent zawsze wydawało się
podejrzane

70 Nieodwołalne

BARTOSZ HLEBOWICZ:
Najważniejsze w życiu to mieć
kogoś, kto opowie ci historię –
twierdzi Leslie Marmon Silko

74 Pojedynek w hidżabach

ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Tatami” Zary Amir
Ebrahimi i Guya Nattiva

75 Myśleć w czasie marnym

LEKTOR o „Podróży
romantycznej” Marcina Króla

ZMYSŁY

78 Kojąca geometria

AGATA MAŁODOBRY,
BEATA CHOMĄTOWSKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Wybierz swoją prenumeratę...
... na stronie

32



Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST



Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ x /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



UKRAINA SZUKA SWOJEJ SZANSY

Operacja w obwodzie kurskim to pierwsza od kilkunastu miesięcy dobra dla Ukrainy wiadomość z frontu. Jednak trudno na razie ocenić, jakie będzie mieć skutki dla dalszego przebiegu wojny.

WOJCIECH KONOŃCZUK

POWYŻEJ:

W ofensywie uczestniczy ukraińska 22. Brygada, szkolona w Polsce i wyposażona w polski sprzęt. Na zdjęciu: polski czołg PT91 w obwodzie sumskim przed atakiem, sierpień 2024 r.

OD 6 SIERPNI SIŁY UKRAIŃSKIE Z SUKCESEM prowadzą działania bojowe w obwodzie kurskim. Coś, co początkowo wyglądało jak krótkotrwały rajd na terytorium Rosji, szybko okazało się dobrze zaplanowaną, ambitną, a zarazem bardzo ryzykowną akcją zbrojną.

UKRAIŃCY UZYSKALI efekt zaskoczenia. Rosjanie ewidentnie nie oczekiwali wtargnięcia na dużą skalę i zbagatelizowali zagrożenie, pozostawiając w przygranicznym regionie symboliczne siły. Przy tym dowództwo ukraińskie wybrało obszar ze słabo rozwiniętymi drogami, gdzie trudno o zapewnienie skutecznej logistyki z głębi Rosji. Zaś zbombardowanie w ostatnich dniach kilku mostów na rzece Sejm znacząco utrudniło siłom rosyjskim odbijanie utraconego terenu.

Generał Ołeksandr Syrski, głównodowodzący siłami ukraińskimi, twierdzi, że kontrolują już one ponad 1100 km² obwodu kurskiego (niezależne szacunki mówią o ok. 700-800 km²). Wszystko wskazuje na to, że Ukraińcy będą próbowali utrzymać się tam możliwie jak najdłużej.

W ostatnich dniach strony wydają się przechodzić do działań pozycyjnych.

GŁÓWNYM CELEM Kijowa w operacji kurskiej jest zmuszenie Rosjan do przerzucenia tam części sił z frontu donbaskiego. W szczególności chodzi o te odcinki, gdzie Ukraińcy mają największe problemy, czyli obszar na wschód od Pokrowska. Dowództwo rosyjskie rzeczywiście zdecydowało się na złuzowanie swoich wojsk operujących na Ukrainie, przesuwając do obwodu kurskiego ok. 5 tys. żołnierzy, jednak nie z Donbasu, lecz z obwodów zaporoskiego i chersońskiego. Tam zaś sytuacja jest dla sił ukraińskich względnie bezpieczna.

Natomiast Kreml, mimo ewidentnego problemu wizerunkowego wywołanego wtargnięciem i utrzymywaniem się Ukraińców na terytorium rosyjskim, ani myśli o osłabieniu natarcia w Donbasie. Ofensywa rosyjska trwa tam w najlepsze, a Ukraińcy tracą kolejne miejscowości, w tym ostatnio miasto Nju Jork, przed wojną liczące 10 tys. mieszkańców. Sąsiedni, niegdyś 30-ty-

siężny Toreck, został oskrzydłony z południowego wschodu. Zagrożony jest Pokrowsk (w okresie pokoju 60 tys.). Strona ukraińska prowadzi ewakuację mieszkańców, którzy wciąż pozostają w przyfrontowych miejscowościach.

Skuteczne zatrzymanie i ustabilizowanie tego odcinka frontu pozostaje najważniejszym i najtrudniejszym zadaniem Ukraińców. Jest to również niezwykle istotny kontekst ukraińskich działań w obwodzie kurskim, który nie powinien zniknąć z pola widzenia.

PO PIERWSZYM zaskoczeniu związanym z ofensywą Ukraińców na terytorium Rosji, Kreml próbuje zachowywać pokerową minę. Bez wątpienia jest to prestiżowa porażka samego Putina i duży problem dla rosyjskiej propagandy. Musi ona bowiem wyjaśnić własnemu społeczeństwu, że armia rosyjska od dwóch i pół roku nie jest w stanie poradzić sobie z armią ukraińską, która – co gorsza – potrafi zaskoczyć Rosjan i okupować część Rosji.

Rosyjscy propagandyści odwołują się więc do sprawdzonego sposobu: przekonują Rosjan, że operacja w obwodzie kurskim została zaplanowana i jest prowadzona przez USA i Wielką Brytanię z wykorzystaniem m.in. żołnierzy polskich. Społeczeństwo rosyjskie dowiaduje się również, że to próba Zachodu rewanżu za porażkę hitlerowskich Niemiec w bitwie na łuku kurskim w 1943 r. Oczywiście celem tej manipulacji jest zatarcie fatalnego wrażenia, jakie robi wejście sił ukraińskich do Rosji.

PUTIN GROZI też Ukrainie „dostojną odpowiedzią”, co zapewne będzie oznaczać zmasowane ataki rakietowe na cele cywilne – w tym niewykluczone, że również na budynki administracyjne w Kijowie. Demonstracyjnie lojalny wobec Kremla Alaksandr Łukaszenka, który świetnie rozumie, że płynie z rosyjskim dyktatorem w jednej łódce, dopowiada zaś, że Moskwa ma na stole „opcje nuklearną”.

Obaj jednak zdają sobie sprawę, że operacja ukraińska obnażyła słabość wewnętrzną Rosji, co w dłuższym okresie może pociągnąć za sobą poważne implikacje polityczne. Z pewnością to właśnie jest również celem Kijowa – aby próbować destabilizować sytuację wewnątrzrosyjską, licząc, że coraz więcej przedstawicieli elit i zwykłych Rosjan zacznie zadawać Kremlowi niewygodne pytania.

PAŃSTWA ZACHODU patrzą na działania ukraińskie z widocznym zaskoczeniem, ale życzliwie. Kijów zdaje sobie sprawę, że w kluczowych zachodnich stolicach narasta oczekiwanie na rozpoczęcie negocjacji ukraińsko-rosyjskich, i to raczej wcześniej niż później. Momentem newralgicznym będzie okres po wyborach prezydenckich w Stanach Zjednoczonych – niezależnie od tego, czy wygra Kamala Harris, czy Donald Trump.

Dlatego też Ukraińcy liczą, że utrzymanie przyczółka w obwodzie kurskim oraz skuteczne powstrzymywanie napierających sił rosyjskich w Donbasie wzmocni ich pozycję negocjacyjną. Ale wciąż możliwy jest też znacznie gorszy dla Kijowa scenariusz: gdyby Rosjanie przełamali obronę w Donbasie i kontynuowali zajmowanie kolejnych terenów, zaś oddziały ukraińskie zostały wyparte z obwodu kurskiego, wówczas misterny, ale ryzykowny plan Kijowa doznałby porażki.

UKRAIŃSKA OPERACJA w obwodzie kurskim jest pierwszą dobrą dla Ukrainy wiadomością z frontu od kilkunastu miesięcy. Bez odpowiedzi pozostaje jednak pytanie, czy może to zapowiadać jakiegokolwiek pozytywny przełom dla Kijowa, czy raczej jest to wyłącznie krótkotrwały sukces. Taki, który służy jako tymczasowe pokrzepienie serc, ale w ostatecznym rachunku nie będzie miał wpływu na wynik wojny. ©

Autor jest dyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich.



Kto wysadził rury?

AGATA KAŹMIERSKA

WERSJA „THE WALL STREET JOURNAL” BRZMI TAK: w czerwcu 2022 r. na zakrapianej imprezie ukraińscy generałowie i biznesmeni postanowili wysadzić Nord Stream. Powiedzieli o tym prezydentowi, a on na plan przystał. Gdy sprawę zwęszyło CIA, poprosiło Wołodymira Zełenskiego, żeby jednak rur nie wysadzać. Ten chciał akcję odwołać, ale odpowiedzialny za operację generał odpowiedział, że dywersanci są już z drodze. W ten sposób sześć osób, podających się za turystów z Bułgarii i Rumunii, a płynących po Bałtyku jachtem pod ukraińską banderą, dokonało 26 września najbardziej zuchwałego aktu sabotażu w powojennej Europie i wysadziło trzy z czterech nitek Nord Stream.

Tyle wersja amerykańskiej gazety. Oficjalnie wiadomo tylko, że w czerwcu w związku z tą sprawą niemiecka prokuratura poprosiła Polskę o pomoc w zatrzymaniu obywatela Ukrainy. Niemieckie media podają, że to Wołodimir Z., jeden z załogantów jachtu Andromeda i instruktor nurkowania. Mężczyzna w lipcu wyjechał na Ukrainę. Nasze służby twierdzą, że nawalili sami Niemcy, którzy nie wprowadzili odpowiednich informacji do uniijnych baz o osobach poszukiwanych.

Były szef niemieckiego wywiadu twierdzi, że w sprawie zamachu na Nord Stream istniało „porozumienie między najwyższymi szczeblami w Ukrainie i Polsce”, czyli prezydentami Zełenskim i Dudą. Jakie to były ustalenia, August Hanning nie wyjawiał, podobnie jak zamilczał źródła tych sensacji. Hanning pełnił urząd w czasach rządów Gerharda Schrödera, ojca Nord Stream i bliskich związków Berlina z Kreml, obecnie działającego w spółkach powiązanych z Rosją.

Czy to wszystko przybliżyło do wyjaśnienia, kto stoi za wysadzeniem Nord Stream? Kijów i Warszawa twierdzą, że wersje podane przez „The Wall Street Journal” oraz Hanninga to bzdury.

Co więcej: te teorie nie uwzględniają m.in. faktu, że w okolicach gazociągów znajdowało się kilka rosyjskich jednostek.

Każda z nich miała znacznie większe możliwości niż żagłówka, by przeprowadzić trudne technicznie podwodne operacje sabotażowe. Inna sprawa, że zniszczenia Nord Stream 1 i 2 znacząco się różnią: można przypuszczać, że ładunki podłożono tam na różne sposoby i mogły tego dokonać różne zespoły.

Oceniając te wszystkie doniesienia, warto pamiętać o zasadzie *is fecit, cui prodest* (ten uczynił, komu przynosi korzyść). To nie da oczywiście odpowiedzi, kto wysadził Nord Stream, ale może nieść wskazówkę, kto najbardziej korzysta na sensacyjnych doniesieniach ostatnich dni. ©



Groźba większej wojny nie minęła

MARCIN ŻYŁA

NA PIERWSZYM PLANIE SĄ LUDZIE. Już ponad 40 tys. – w tym 663 dzieci młodszych niż roczne – zginęło w Strefie Gazy, odkąd Izrael, w reakcji na atak Hamasu z 7 października 2023 r. (zginęło w nim ok. 800 cywilów i 400 wojskowych), zaczął tu ofensywę. Według ONZ natychmiastowej pomocy wymaga dziś 2,3 mln ludzi. Kilka dni temu zdiagnozowano w Gazie pierwszy od ćwierćwiecza przypadek choroby polio. Wprawdzie pod koniec sierpnia WHO zaczyna akcję masowych szczepień, ale ich sukces zależy w dużej mierze od zgody Izraela i Hamasu na zawieszenie broni.

Ono zaś zależy od powodzenia mediacji – to drugi plan tego obrazu – prowadzonej przez Katar, Egipt i USA. Ostatnia ich runda, w Dosze, toczyła się bez udziału Hamasu, który zapowiada, że choć jest gotów zrzec się władzy cywilnej w Strefie Gazy, to nigdy nie odda broni. Amerykanie – którzy od kilku tygodni głośno mówią, że podczas tej wojny Izrael nie osiągnie już niczego więcej w sensie wojskowym – liczą na nakłonienie premiera Netanjahu do ustępstw w najważniejszej dla niego kwestii: stałej obecno-

ści izraelskiej armii na południu Strefy Gazy, przy granicy z Egiptem. Właśnie tą drogą w poprzednich latach kierowano uzbrojenie dla Hamasu. W poniedziałek 19 sierpnia rozmowy w tej sprawie zaczął w Tel Awiwie sekretarz stanu USA Antony Blinken (na zdjęciu). Biały Dom



jest w trudnej pozycji: tego samego dnia w Chicago zaczyna się konwencja wyborcza Demokratów, podczas której Gaza może się okazać tematem dzielącym zaplecze Kamali Harris, rywalki Trumpa w najbliższych wyborach. Wszystko to dzieje się na tle najszerzego, trzeciego planu, o którym wciąż wiemy najmniej.

Od kilkunastu dni Izrael jest w stanie najwyższego pogotowia w związku z groźbą ataku Iranu lub sprzymierzonych z nim szyickich sił w regionie (Hamasu, Hutich w Jemenie, a zwłaszcza Hezbollahu w Libanie). Atak miałby być odwetem za zamachy na proirańskich dowódców i polityków, których Izrael dokonał w Bejrucie i samym Teheranie. Ewentualna eskalacja może doprowadzić do większej wojny w całym regionie. ©

NA PUNKTY

DO KONTROLI

Polska będzie się ubiegała o organizację letnich igrzysk olimpijskich w 2040 lub 2044 r. – zapowiedział Donald Tusk, a życzliwi mu publicyści zareagowali entuzjazmem. Kiedy przed rokiem o podobnych planach w kontekście 2036 r. mówił Andrzej Duda, przyjmowano to dużo bardziej wstrzemięźliwie, a o tym, co mówiono o zakorkowanej Warszawie podczas organizowanej przez rząd PiS defilady, szkoda gadać.

BEZ KONTROLI

W tle planów premiera jest kiepski występ polskich sportowców w Paryżu i nieudana próba skontrolowania bizantynizmu w Polskim Komitecie Olimpijskim: na pismo ministra sportu, domagającego się m.in. informacji o pobycie w Paryżu rzeszy działaczy sportowych, prezes PKOl odpowiedział, że rząd nie ma prawa do takiej wiedzy.

POD KONTROLĄ

Pamiętacie katastrofę na Odrze za czasów PiS? Tym razem złote algi zakwitły w jeziorze Dzierżno Duże, z którego również wyławia się tony śniętych ryb. Na szczęście ministra klimatu zapewnia, że sytuacja „jest trudna, ale pod kontrolą”, a media nie zadają zbyt wielu pytań. ©

KEVIN MOHATT / AFP / EAST NEWS



Rośnie zainteresowanie pielgrzymkami

ARTUR SPORNIAK

PANDEMIA NIE ZDUSIŁA ruchu pielgrzymkowego. W 2021 r. – mimo obowiązujących jeszcze obostrzeń – na szlaki powróciło tysiące pielgrzymów. W sierpniowym szczycie (do uroczystości Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny) na Jasną Górę przyszło 39 tys. pątników. W następnym roku było ich już 43,3 tys. Rok temu nastąpił lekki spadek – w sierpniu-

wych pielgrzymkach uczestniczyło 41 tys. osób, natomiast w tym roku było ich aż 50 tys. Wciąż niepobity rekord należy do roku 2019, kiedy na Jasną Górę przybyło 70 tys. wiernych.

Popandemiczny wzrost pielgrzymowania widać także po statystykach dwóch tradycyjnie najliczniejszych pielgrzymek. W bieżącym roku w radomskiej i krakowskiej piel-

grzymce uczestniczyło po 6,1 tys. i 6 tys. osób. W ubiegłym – 5,2 tys. oraz 4,5 tys. Co raz większym powodzeniem cieszą się pielgrzymki rowerowe – w tym roku w sierpniu na Jasną Górę przybyło 2 tys. cyklistów. Pielgrzymi z Włodawy na rowerach pokonali (tam i z powrotem) blisko 800 km.

Pojawił się też nowy rodzaj pielgrzymowania. Pandemiczne sztafetowe pielgrzymki prze-

rodziły się w pielgrzymowaniu w niepełnym wymiarze pod hasłem „pielgrzymuj, ile możesz”. W tegorocznej rzeszowskiej pielgrzymce całą trasę przeszło 650 pielgrzymów, a część trasy – dwa razy więcej osób.

Skąd bierze się niegasnąca popularność pielgrzymowania w Polsce, mimo instytucjonalnego kryzysu Kościoła? Stawiam hipotezę: w Kościele „pielgrzymującym” zanika bardzo silna klerykalna struktura Kościoła „stacjonarnego”. Na pielgrzymce najważniejsi są świeccy, a kapłaństwo służebne księży staje się... naprawdę służebne. ©



Pięć procent

MAREK RABIJ

KOALICJA RZĄDZĄCA W WIELU KWESTIACH WESZŁA zgrabnie w buty poprzedników. Jedną z nich jest bez wątpienia obronność. Podczas zesłotygodniowej defilady z okazji święta Wojska Polskiego prezydent Duda chwalił rząd Tuska za utrzymanie kursu na intensywną modernizację armii. Szef MON, zapowiadając dalsze setki miliardów rocznie na wojsko, jednocześnie dziękował poprzednikom za wszystko, co zrobili za swoich rządów. Gdybyśmy miniony rok mieli ocenić tylko na podstawie listy zamówionego lub już dostarczonego do Polski sprzętu wojskowego, musielibyśmy stwierdzić, że polityka obronna może stanowić dla innych sfer życia publicznego wzorzec efektywności i współpracy ponad podziałami.

W tym roku na wojsko wydamy niemal 160 mld zł. Do końca tej dekady pójdzie na ten cel łącznie blisko bilion złotych. Oficjalnie obozu rządzącego nic nie dzieli z opozycją w kwestii zasadności utrzymania wydatków na uzbrojenie i armię na co najmniej obecnym poziomie.

W rzeczywistości w koalicji, która stale musi wywierać często sprzeczne interesy swoich członków, od dawna mamy do czynienia co najmniej z rozbieżnościami w ocenie budżetowych priorytetów.

PSL buduje „największą armię lądową Europy”, ale nie chce słyszeć chociażby o rozprawie o ograniczeniu fiskalnych przywilejów rolników, choć coraz częściej chronią one nie małorolne gospodarstwa, ale latyfundia. W Polsce 2050 też nie znajdzie się chętnych do odchudzania budżetu MON, ale jest tam Ryszard Petru, który żąda cięcia składki zdrowotnej dla rzekomo ciemniejących przez fiskusa przedsiębiorców. Temu wszystkiemu przygląda się PiS, który wprost marzy o chwili, kiedy następcom posypie się budżetowa układanka i będą musieli anulować część zakupów dla wojska.

Tymczasem polskie wydatki na zbrojenia będą musiały rosnąć. Dziś na ten cel idzie ponad 4,5 proc. PKB, ale jeśli za parę lat nasza armia ma naprawdę stanowić siłę zdolną do straszenia agresorów, budżet MON musi wzrosnąć. Część ekspertów napomyka już o konieczności zwiększenia wydatków na armię powyżej 5 proc. PKB rocznie. Jak to przeprowadzić przy braku politycznego konsensusu dla ograniczenia innych wydatków lub podwyższenia podatków? ©P



Niech żyje kohabitacja

PIOTR ŚMIŁOWICZ

RZADKO ZDARZA SIĘ DZIENNIKA- rzom pisać teksty pochwalne, bo, jak wiadomo, *good news is bad news*. Tym razem jednak na pochwałę za ostatnie gesty polityczne związane z kohabitacją zasługują zarówno prezydent, jak i premier. Od powstania rządu Tuska współpraca z Andrzejem Dudą nie jest łatwa, było dotąd między nimi wiele spięć, także w sferze międzynarodowej. Wystarczy przypomnieć kuriozalną sytuację z obsadą stanowisk ambasadorów i godny lepszej sprawy upór prezydenta Dudy, by nie podpisywać żadnych nominacji ambasadorskich obecnego rządu.

W tym kontekście pozytywnie zaskakuje zgoda prezydenta na rządowego kandydata na polskiego unijnego komisarza, czyli obecnego przedstawiciela przy UE Piotra Serafina. Zresztą obie strony – prezydencka i rządowa – wykazały tu dobrą wolę. Choć przedstawiciele koalicji rządzącej podważają konstytucyjność tzw. ustawy kompetencyjnej, czyli uchwalonych w lecie ubiegłego roku przepisów dających nadzwyczajne kompetencje prezydentowi w kwestiach unijnych, Donald Tusk zastosował się do tej ustawy i wysłał formalne pismo do prezydenta z prośbą o opinię na temat kandydatury Serafina.

Sympatyczne obopólne gesty nie skończyły się na kwestii polskiego komisarza – prezydent i premier brzmiali wyjątkowo zgodnie podczas uroczystości święta Wojska Polskiego, a nawet nie omieszkali wzajemnie się pochwalić.

Trudno powiedzieć, co zdecydowało o niespodziewanej zgodzie – czy rzeczywiście takie znaczenie miała poufna rozmowa Tuska z Dudą na pokładzie okrętu wojennego kilka dni wcześniej, czy może prezydent otrzymał jakieś badania, z których wynikało, że nie zyskuje na ciągłym sypaniu rządowi piachu w szprychy.

Niezależnie od przyczyny, można z dużą dozą prawdopodobieństwa postawić tezę, że ta harmonia nie jest trwała. Duda wcześniej czy później wróci do swojej postawy „na nie”, a premier będzie się rewanżował złośliwymi komentarzami na portalu X. Prezydent już zresztą zawetował ustawę o likwidacji komisji ds. wpływów rosyjskich.

Wypada mieć jedynie nadzieję, że konstruktywna współpraca zostanie utrzymana przynajmniej w kwestiach unijnych i polska prezydencja w UE (w drugiej połowie przyszłego roku) pozbawiona będzie groteskowych przepychanek ze szkodą dla wizerunku kraju. W ostatnich dniach było widać, że jest to możliwe. ©P



Premier Donald Tusk i prezydent Andrzej Duda podczas defilady z okazji święta Wojska Polskiego. Warszawa, 15 sierpnia 2024 r.

Koniec pracy dzieci w Sejmie

PRAWA DZIECKA ■ Otrzymaliśmy odpowiedź na pytania o akredytację 10-letniej Sary Małeckiej-Trzaskoś, która od lutego pracowała w Sejmie i Senacie jako dziennikarka serwisu iboma.media. Na korytarzach sejmych nie będzie już można spotkać dzieci pracujących jako dziennikarze.

„W związku ze szczególnym charakterem sprawy będziemy zobowiązani za przyjęcie ze zrozumieniem wydłużonego czasu oczekiwania na odpowiedź” – pisze Biuro Obsługi Medialnej Sejmu i informuje, że „każda decyzja o wyrażeniu zgody na wstęp na teren Sejmu w charakterze dziennikarza jest podejmowana po analizie przeprowadzanej przez Kancelarię Sejmu wspólnie ze Strażą Marszałkowską”. „Przypadek Sary jest niestandardowy o tyle, że jest ona osobą niepełnoletnią”. W związku z tym wydano dziewczynce akredytację nie tylko dlatego, że miała legitymację dziennikarską, a medium, dla którego pracowała, jest wpisane do rejestru prasy, ale też dlatego, że rodzic „zobowiązał się do tego, by dbać o jej bezpieczeństwo oraz przestrzeganie obowiązujących w Sejmie przepisów porządkowych”.

Kancelaria Sejmu wydała 10-letniemu dziecku akredytację (i to nie raz, bo powyższa „analiza” – jak czytamy w odpowiedzi BOMS – „była prowadzona każdorazowo przy prośbie o wejściówkę prasową do Sejmu”), choć osoba w tym wieku nie może być dziennikarzem. Zgodnie z prawem prasowym dziennikarz ponosi odpowiedzialność prawną –

cywilną i karną – a dziesięciolatek takiej odpowiedzialności ponosić nie może, bo nie ma nawet ograniczonej zdolności do czynności prawnych (którą to zdolność uzyskuje się po 13. roku życia). Po naszym artykule „»Perspektywa Sary«: jak rodzice wykreowali 10-letnią córkę na dziennikarkę sejmową” (nr 32/2024) Kancelaria Sejmu przeomyślała jednak swoją decyzję.

„Kancelaria Sejmu jest otwarta na udział młodych osób, w tym także przejawiających zainteresowania dziennikarskie, w inicjatywach i wydarzeniach pozwalających poszerzać i pogłębiać ich wiedzę o parlamencie. Z uwagi jednak na okoliczności, które nie były znane Kancelarii Sejmu podczas wydawania zgód na wstęp Sary na teren Sejmu, a zostały ujawnione m.in. w »Tygodniku Powszechnym«, ale też w obliczu obowiązku realizacji części przepisów ustawy z dnia 28 lipca 2023 r. o zmianie ustawy – Kodeks rodzinny i opiekuńczy oraz niektórych innych ustaw, dotychczasowa formuła tego rodzaju niestandardowej obecności osób małoletnich na terenie pozostającym w zarządzie Kancelarii Sejmu została poddana ponownej refleksji i ulegnie modyfikacji” – informuje Biuro Obsługi Medialnej Sejmu.

Wspomniana ustawa to tzw. ustawa Kamilka, która nakłada na wszystkie podmioty, w których przebywają dzieci, obowiązek wprowadzenia standardów ochrony małoletnich.

© ANNA GOLUS



Sara Małecka-Trzaskoś z ojcem (z lampą i smartfonem) wśród dziennikarzy i polityków w Sejmie, Warszawa, lipiec 2024 r.

Polska lombardami stojąca

DRUGI OBIEG ■ Od początku roku w Polsce zarejestrowano 219 nowych lombardów, 139 innych zlikwidowano, a 43 zawiesiły działalność. W efekcie, jak donosi dziennik „Rzeczpospolita”, posilkując się danymi firmy doradczej Dun & Bradstreet Poland, sieć lombardów urosła w tym czasie aż o 80 placówek i to pomimo zaostrzenia przepisów, które od stycznia pozwalają prowadzić taki biznes wyłącznie podmiotom zarejestrowanym jako spółka.



Warszawa, ul. Marszałkowska. 6 kwietnia 2020 r.

Statystyka odziera rzeczywistość z dramatyzmu, lepiej więc napisać, że od nowego roku średnio co trzy dni gdzieś w Polsce otwiera się nowy lombard: placówka kojarzona raczej z gospodarczą wielką smutą początków tego stulecia, gdy w wielu regionach kraju bez pracy był przeszło co trzeci dorosły. Jak czytać te dane w momencie, gdy wskaźnik bezrobocia w niektórych województwach nie przekracza 3 proc.?

Wyjaśnienia są dwa i jedno nie wyklucza drugiego. W rosnącej liczbie lombardów ekonomiści badający handel drugiego obiegu dostrzegają symptomy rosnącej świadomości ekonomicznej Polaków, którzy zaczynają dostrzegać wartość nawet zbędnych przedmiotów. Problem w tym, że w tę potrzebę wtórnego obiegu idealnie wpisały się już dawno internetowe platformy aukcyjne oraz serwisy typu OLX czy Vinted, gdzie bez trudu można sprzedać każdy niemal szpargał.

Przewaga lombardu polega jednak na tym, że zapewnia pieniądze od ręki. To zaś bezpośrednio prowadzi do drugiego wyjaśnienia lombardowego fenomenu, w którym musi paść modne ostatnio wśród ekonomistów słowo „nierówności”. Polska gospodarka znów nabiera rumieńców, pensje rosną szybciej od inflacji, ale to rzeczywistość, w której dane jest funkcjonować jedynie części z nas. Tych, którym nie starcza do pierwszego, znów przybywa w tempie, które uzasadnia otwieranie nowego lombardu co trzy dni.

© P MAREK RABIJ

Małpia ospa: czy istnieje ryzyko pandemii?

ZDROWIE ■ Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) w ubiegłym tygodniu ogłosiła, że małpia ospa stała się globalnym zagrożeniem zdrowotnym. Za decyzją stoi wzrost liczby zachorowań o 160 proc. oraz wzrost odsetka zgonów w regionie Afryki Środkowej, głównie w Demokratycznej Republice Konga, Rwandzie i Burundi – o 19 proc.

Wirus małpiej ospy na liście zagrożeń WHO pojawia się drugi raz w ciągu dwóch lat – po raz pierwszy był na niej od maja 2022 r. do maja 2023 r. Wówczas zanotowano prawie 90 tys. przypadków, w tym ok. 140 śmiertelnych. Jednak licząc od września ubiegłego roku do dziś, na małpią ospę zachorowało 15 tys. osób, z czego ponad 500 zmarło. Dysproporcja między odsetkami przy-



Ośrodek leczenia mpox przy Nyiragongo General Referral Hospital koło Gomy. Demokratyczna Republika Konga, 17 sierpnia 2024 r.

padków śmiertelnych rzuca się w oczy.

Od poprzedniej epidemii zmieniło się kilka kwestii. W literaturze angielskojęzycznej wirusa małpiej ospy (*monkey pox*) zaczęto nazywać wirusem mpox, bowiem jego rezerwuarem częściej niż małpy są wiewiórki i szczury, a pierwotna nazwa wynika z odkrycia wirusa w Kopenhadze w latach 50. ubiegłego wieku wśród hodowlanych małp.

Poza tym za aktualną epidemię odpowiada nowy wariant wirusa, zwany Ib, wywodzący się prawdopodobnie z oko-

lic miasta Goma nad jeziorem Kivu. W porównaniu z wariantem IIb z 2022 r. łatwiej przenosi się z człowieka na człowieka, powoduje też cięższy przebieg choroby. Zmiany skórne w postaci grudek ewoluujących do strupów lokalizują się częściej w nieodsloniętych partiach ciała, co sprzyja rozprzestrzenianiu wirusa.

Czy zatem małpia ospa stanie się zagrożeniem, które wyhamuje rozpędzający się po poprzedniej pandemii świat? Obecnie trudno to przewidywać, ale uspokajająco działa fakt, że wirus małpiej ospy

posiada materiał genetyczny w formie DNA, które jest bardziej odporne na mutacje niż RNA (obecny np. w wirusach SARS). Poza tym transmisja odbywa się przy długotrwałym, bliskim kontakcie z zakażoną osobą lub po ugryzieniu przez zwierzę, a więc dużo trudniej niż np. transmisja wirusa grypy. Mamy też skuteczne szczepionki – na zasadzie odporności krzyżowej częściowo przed małpią ospą chronią szczepionki na ospę prawdziwą, ale dostępne już są także cztery szczepionki celowane na wirusa mpox.

W razie potrzeby państwa bogatej Północy dadzą sobie radę. Ale na pierwszej linii frontu są ubogie kraje Afryki Środkowej, gdzie o szybkim leczeniu i izolacji chorych oraz masowych szczepieniach można obecnie tylko pomarzyć. Ogłoszenie WHO ma zachęcić państwa członkowskie i organizacje pomocowe do reakcji i działania właśnie w tych miejscach, gdzie potencjalną pandemię można zdusić w zarodku.

© BARTOSZ KABAŁA

Wyrok na dinozaury zapadł daleko od Ziemi

KATASTROFY ■ Geolodzy już wcześniej podejrzewali, że kosmiczny obiekt, który 66 mln lat temu uderzył w półwysep Jukatan, przybył z odległych regionów Układu Słonecznego. W najnowszym wydaniu „Science” Mario Fischer-Gödde i współpracownicy przeanalizowali geochemiczne ślady, które ten obiekt po sobie zostawił. Pozwoliło nam to lepiej zrozumieć sekwencje zdarzeń, które doprowadziły do wyginięcia 60 proc. gatunków zwierząt – w tym niemal wszystkich dinozaurów, z wyjątkiem dzisiejszych ptaków.

To, że tzw. wymieranie kredowe – pięte w historii ziemskich wielkich wymierań i wcale nie największe z nich – zostało wywołane przez zderzenie Ziemi z asteroidą wielkości dużego miasta, podejrzewa-

no od lat 80. XX w. W 1991 r. planetolog Alan R. Hildebrand ze współpracownikami opisali krater uderzeniowy Chicxulub – to w tym miejscu, na obszarze półwyspu Jukatan i Zatoki Meksykańskiej, przed 66 mln lat doszło do katastrofy. Dla ówczesnych mieszkańców Ziemi najpoważniejsze konsekwencje miało wyrzucenie do atmosfery ogromnych ilości siarki i pyłu, które zablokowały promienie słoneczne – niewiele istot miało szans przeżyć gwałtowne ochłodzenie się klimatu. Dla geologów z kolei najciekawszą konsekwencją zderzenia było rozrzućenie po całej kuli ziemskiej pierwiastków z grupy platynowców, które wcześniej w ziemskich skałach były niezwykle rzadkie. Ponieważ ten chemiczny sygnał ma globalny zasięg, geolodzy wyznaczyli to zdarzenie jako graniczne pomiędzy epokami kredy i paleogenu.

Jednym z pierwiastków, który wówczas trafił na Ziemię w nieproporcjonalnie dużych ilościach, jest ruten. To właśnie na tym metalu skupili się Fischer-Gödde

i współpracownicy. Porównując izotopy rutenu pobrane z krateru Chicxulub, a także z kilku innych kraterów uderzeniowych, meteorytów i warstw osadowych (w tym liczących ok. 3,5 mld lat, a więc ze stosunkowo młodej Ziemi), badacze ustalili, że obiekt, który 66 mln lat temu wbił się w Ziemię, przypomina pod kątem chemicznym asteroidy znajdujące się za orbitą Jowisza. Ta orbita umownie oddziela wewnętrzny i zewnętrzny Układ Słoneczny – gdy ten układ się formował, w bliższych i dalszych częściach panowały nieco inne warunki, co powodowało, że obiekty powstające w jego różnych regionach różniły się składem chemicznym.

Opisane badanie pozwala także w zasadzie wykluczyć to, że wyginięcie dinozaurów spowodowało zderzenie Ziemi z kometą – zidentyfikowane ślady chemiczne o wiele bardziej pasują do asteroidy. Choć wciąż nie jest jasne, dlaczego kilka miliardów lat po jej powstaniu znalazła się ona na kursie kolizyjnym z Ziemią.

© ŁUKASZ KWIATEK



TRANSFORMERKI

Kobiety nie chcą się wstydzić tego, co naturalne.

Menopauza to po prostu kolejny etap w życiu:
wymagający, ale ani lepszy, ani gorszy od innych.

TEKST EWELINA BURDA | ILUSTRACJE MAGDA WOLNA

MAŁGORZATA MA CZTERDZIEŚCI DWA lata. Pochodzi z niedużego miasta, pracuje w handlu. Opowiada: – Z dnia na dzień zaczęłam dziwnie się czuć, miałam kołatania serca. To było wiosną zeszłego roku, przesłam wtedy wszystkie możliwe badania kardiologiczne. Wyniki były dobre. A ja wciąż mdlałam, miałam skoki ciśnienia. W wakacje przyszły uderzenia gorąca, które wykręcały mnie od środka. Nawet w pracy, gdzie była klimatyzacja. Lato minęło, a ten przytłaczający gorąc nie – mówi. – Ginekolog? Zbyt mnie, sprawdził mój wiek i rzucił, że na menopauzę na pewno za wcześnie. To był mój stały lekarz, świetnie prowadził ciążę. Ale wejście w buty kobiety „w pewnym wieku” to było dla niego zbyt wiele. Dopiero w sieci trafiłam na fajną lekarzkę z Wielkiej Brytanii, która popularyzuje temat i to od niej pierwszy raz usłyszałam słowo „perimenopauza”.

Magda, czterdziestopięcioletka, mieszka w Warszawie, zajmuje się branżą IT: – To męskie środowisko, ale mamy fajne kumpelskie relacje i raz powiedziałam kolegom, że jestem już w okresie menopauzalnym. Jeden z nich rzucił: „Co ty gadasz!? Wkręcasz nas”. Inny chciał być miły i dodał: „Menopauzę to mają stare baby, a nie takie babki jak ty”. Dla nich kobieta w okresie menopauzalnym bliżej ma do siedemdziesiątki. Ale ciągnęłam temat, a oni zaczęli dopytywać, zaglądali też na mojego bloga, w którym dzielię się swoją historią. Poczułam satysfakcję, że po trochu łamię to tabu.

93 proc. Polek nie potrafi poprawnie wskazać definicji menopauzy

Kiedy w codziennej rozmowie pada słowo „menopauza”, najczęściej znaczy ono coś innego, niż wynika z jego medycznej definicji. Według niej to punkt na osi czasu: ostatnia miesiączka, po której kobieta nie menstruuje przez rok (da się go wyznaczyć dopiero po upływie tego czasu). Występuje pomiędzy 45. a 55. rokiem życia, w Polsce średni wiek to 52 lata.

To, co potocznie nazywamy „menopauzą”, czyli cały okres transformacji, z którym powszechnie kojarzone są uderzenia gorąca czy wahania nastrojów, to w medycznej terminologii perimenopauza. Następny okres, już po stwierdzonym zaniku menstruacji, medycznie definiowany jest jako postmeno-

pauza. I na tym etapie kobieta pozostaje już do końca życia.

71 proc. Polek uważa, że „przekwitanie” jest nacechowane negatywnie

W języku potocznym popularne są jeszcze dwa zwroty: „przekwitanie” oraz „klimakterium”. Co do drugiego, jego etymologia równie często jest taką samą tajemnicą, jak medyczna definicja „menopauzy”. „Klimakterium” w swojej genezie nie ma negatywnych powiązań, jak w języku potocznym, pochodzi od greckiego słowa *klimakter*, które oznacza najwyższy, ostatni szczebel drabiny, najwyższy poziom wtajemniczenia.

– Język jest ważny. Nie mówmy wyłącznie o tej ostatniej miesiączce w życiu kobiety, rozmawiajmy o transformacji menopauzalnej, procesie. To etap znaczących zmian hormonalnych, który wpływa na ciało, ale zmienia też sposób myślenia i przeżywania życia. Wiele zależy, czy będzie się go przeżywało jako moment straty stereotypowo rozumianej kobiecości, czy moment transformacji w tej kobiecości. W ostatniej książce nazwałam go „przyływem” – mówi Alicja Długolecka, psychoterapeutka i edukatorka seksualna, autorka książki „Przyływ. O emocjach i seksualności dojrzających kobiet”.

82 proc. Polek obawia się objawów menopauzy

Sylwia jest tuż przed pięćdziesiątką. Tego, że weszła w okres perimenopauzy, długo nie była świadoma: – Z powodu torbieli na jajnikach brałam tabletki antykoncepcyjne, przychodziło krwawienie między opakowaniami. Kiedy go zabrakło, pomyślałam, że to ciąża. Przeraziłam się: w tym wieku?! Odstawiłam tabletki, zrobiłam testy, wyszły negatywne. Zaczęłam się martwić: może torbiele tak dają o sobie znać? Lekarz zlecił badanie poziomu hormonów i zdawkowo oznajmił, że to menopauza. Powiedział, że nie rekomenduje terapii hormonalnej; polecił, żebym wybrała sobie jakiś suplement z oferty dostępnej w aptece i „zobaczmy, jak będzie”.

Sylwia nie może spać, do pracy dociera wykończona. – Mój nastrój szalenie się zmieniał, od euforii do płaczliwości. Przez miesiąc brałam regularnie każdą tabletkę, a czułam się tylko gorzej. Teraz widzę, że

nie trafiłam na dobrego lekarza – mówi z żalem.

Symptomy perimenopauzy mogą występować nawet kilkanaście lat przed całkowitym ustaniem menstruacji.

– Pierwsze objawy mogą przyjść jeszcze przed czterdziestką: nasilenie PMS, trudności z zasypianiem, pogorszenie pamięci i koncentracji, które objawiać się może np. przestawianiem liter w wyrazach – tłumaczy dr n. med. Katarzyna Skórzewska, specjalistka ginekologii i endokrynologii. – I kiedy estrogenów produkowanych przez jajniki w ciele kobiety ubywa i ubywa, to pojawiają się kolejne objawy tego niedoboru, np. popularne uderzenia gorąca wynikające ze słabszego wpływu hormonów na ośrodek termoregulacji. Warto pamiętać, że estrogeny to nie tylko płodność, to hormony życia: nie ma takiej komórki w naszym organizmie, na którą by nie działały – podkreśla.

U Magdy jako pierwsze pojawiły się problemy ze snem: – Zaskoczyły mnie kompletnie, bo zawsze byłam śpiochem. Potem przyszło wzmożone ciepło, które wędrowało od szyi do twarzy. Jestem blisko z moją mamą, opowiedziałam jej, jak się czuję, i to ona zasugerowała, że może mam początek menopauzy, którą ona przechodziła dość wcześnie – opowiada. – Z moją ginekolożką wykluczaliśmy choroby. Zbadaliśmy hormony i dziś jestem na terapii hormonalnej. Często się słyszy, że takie leczenie może być niebezpieczne, szkodliwe, ale zaufałam lekarce, ponieważ długo tłumaczyła mi, co i jak. Mam taki hormon na „psik”, pokażę pani – przykłada się go do skóry przedramienia, naciska i już. Po miesiącu poczułam się lepiej.

Katarzyna Skórzewska tłumaczy: – Koncentrujemy się na objawach wazomotorycznych, czyli poceniu się i napadach gorąca, a one są czymś przejściowym. Oczywiście warto je łagodzić i poprawiać sobie komfort życia. Pomijamy jednak ważniejsze kwestie, czyli ryzyko wystąpienia chorób, które w okresie i po transformacji menopauzalnej jest większe: osteoporoza, nadciśnienie, niewydolność układu kręgowego, cukrzyca, sarkopenia, czyli utrata masy i siły mięśniowej, oraz wiele innych. Ich natężenie to skutek długotrwałego niedoboru estrogenów, które wcześniej nas po prostu chroniły.

52 proc. Polek przed menopauzą obawia się, że wpłynie ona negatywnie na ich wygląd

→ – Transformacja menopauzalna ściśle wiąże się z procesem dojrzewania: przekraczamy połowę życia. Transformacje, straty i radzenie sobie z nimi są immanentnie wpisane na linię życia. Tam też są osobiste odkrycia i spokój, który nie się dojrzalność. Niestety, stereotypy kulturowe bardzo utrudniają akceptację naturalnego biegu rzeczy. Np. zmiany zewnętrzne: zmarszczki na twarzy, siwiejące włosy, wiotka skóra, utrata talii... Starzejemy się wszyscy, ale jednak patriarchalne schematy dotyczące wyglądu kobiety dotyczą bardziej – podkreśla Alicja Długolecka.

Anna ma 47 lat, jest weterynarzem. Opowiada: – Kiedy zbliżałam się do czterdziestki, brałam pod uwagę, że to ostatni moment na drugie dziecko. Robiłam wtedy dużo badań. Jeden z parametrów pokazał, że moja pula do bycia matką już się wyczerpała. Przyszły myśli: czy jestem teraz gorsza jako kobieta? Zajął mi trochę czasu, żeby się z tym oswoić. Dziś fizjologiczna menopauza już za mną, jestem kobietą w okresie bez okresu – śmieje się. – W czasie tej zmiany nie miałam żadnych objawów fizycznych. Może tylko problemy z wagą, bo uprawiałam dużo sportu, a ona stała w miejscu. Ale z tym zmagam się od zawsze, nauczyłam się swoje ciało akceptować.

Anna od lat leczy mięśniaki macicy, lekarz odradził jej terapię hormonalną: – Usłyszałam wtedy, że w zasadzie dobrze, że już przekwitam, bo mięśniaki powinny przestać być problemem. „Przekwitanie” to dla mnie całkiem ładna metafora. Mamy pączek, kwiat, który potem

daje owoc i przekwita. Ale cała roślina przecież nie obumiera, ona trwa – dodaje Anna.

Alicja Długolecka: – Kobietom w okresie menopauzalnym może pomóc przepracowanie strat i to nie tylko tych związanych z wyglądem albo tym, że już nie urodzimy dzieci. Często przychodzą też inne refleksje: że nie zrealizujemy już niektórych ekstremalnych marzeń, a nasze dzieci się autonomizują inaczej, niż sobie wyobrażałyśmy. Może być tak, że uświadamiamy sobie, że nasz związek obumiera i jesteśmy przerażone myślą, że mamy w nim dalej tkwić, ale z drugiej strony obawiamy się rozstania. Boimy się utraty, szukania i zmian pracy w średnim wieku. Być może w życiowym pędzie zaniedbałyśmy relacje z przyjaciółmi albo nasze drogi się rozeszły i teraz czujemy się samotne – to także są utraty, z którymi mierzymy się w tym czasie.

24 proc. Polek przed menopauzą obawia się, że wpłynie ona negatywnie na ich relacje z rodziną

Sylwia wspomina, że od menopauzy oberwała cała jej rodzina: – Mąż z nastoletnią córką schodzili mi dosłownie z drogi. Nie-schowane do szafki kapcie powodowały frustrację, którą wyładowywałam na bliskich. Czułam, jak to wszystko się sypie: praca, małżeństwo, relacja z córką. Zaliłam się koleżankom, że menopauza nie daje mi żyć. Jedna z nich poleciła mi program oczyszczająco-odżywiający organizm na poziomie komórkowym, który sama zastosowała u siebie i efekty przeszły jej oczekiwania. Byłam wobec takich rzeczy raczej sceptyczna, ale też zdesperowana i zdeterminowana. I ta suple-

mentacja na wyregulowanie składników w organizmie mi pomogła, po niedługim czasie poczułam, że łapię balans.

– Nie neguję medycyny ani lekarzy, ale chcę mówić, co mi pomogło. Może innej kobiecie zmagającej się z problemami menopauzy też pomogę w naturalny sposób? Dziś nie mam problemów z insulinoopornością, tarczycą, nadciśnieniem, depresją i stanami lękowymi, które miałam. I czuję się jakoś tak na nowo piękna, radosna i pełna energii. Mam chęć do życia – podkreśla Sylwia

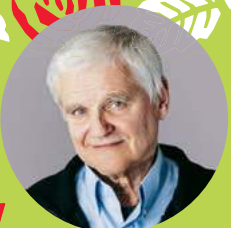
Małgorzata: – To było tak, jakby ktoś wykreczał mi żarówkę. Czułam się źle psychicznie, zero energii i libido, wstawiałam, bo musiałam, zajmowałam się domem – też z musu. Mąż dopytywał, ale potem się złościł: „Tylko do pracy masz siłę, wracasz i od razu idziesz spać”. Potem przychodziły inne tygodnie: dolegliwości odchodziły, a ja miałam znów mnóstwo energii. Ta huśtawka była wykańczająca.

56 proc. Polek nie powiedziałyby o menopauzie swojemu pracodawcy

Sylwia: – Długo pracuję w jednym miejscu, lubię je. I kiedy zaczęłam na wszystkich warczeć, usłyszałam od szefa: „Jeśli czegoś ze sobą nie zrobisz, to będę cię musiał zwolnić. Znam cię i wiem, jaka kiedyś byłaś. Co się z tobą właściwie dzieje?”. Nawet do głowy mu nie przyszło, że tak może się objawiać okres menopauzalny.

54 proc. kobiet uważa, że menopauza to czas, który należy przetrwać

– Wczoraj oddałam samochód do naprawy. Pojechałam do pracy rowerem, w dwie strony to ponad pięćdziesiąt

Szkola uczuć

Katarzyna Kubisiowska i Bogdan de Barbaro zapraszają na cykl rozmów o uczuciach – tych codziennych i niecodziennych, ekstatycznych i dojmujących, pojętych i niepojętych. Zawsze ludzkich.

Tylko w podkaście
Tygodnika Powszechnego





kilometrów. Kiedyś to nie był dla mnie żaden problem. A dziś jestem zmęczona – opowiada Alicja Długolecka. – I to też jest utrata. Jeżeli nie wpiszę stopniowego spadku mojej wydolności na listę utrat, które muszę zaakceptować, będę tylko generować nienawiść do siebie: starzejącej się i zmęczonej.

Jak zadbać o siebie w okresie okołomenopauzalnym? Katarzyna Skórzewska tłumaczy: – Zabrzmieć jak typowy lekarz, ale najważniejsza jest profilaktyka i to, żeby dobrze wejść w okres transformacji: zdrową, zaopiekowaną, świadomą. Odpowiedni sposób odżywiania, zarządzania stresem, umiarkowana aktywność fizyczna, ograniczenie alkoholu, rzucenie palenia. Korzystanie z pomocy specjalistów, kiedy potrzebujemy, bez odkładania na później jako sprawy „mniej ważne”.

– Cały czas walczę o to, żeby czuć się lepiej – opowiada Małgorzata. – Chcę to dobrze przeżyć, pokazać córce prawdę, i to, że nie ma się czego wstydzić. Chodzę na jogę somatyczną, która mnie bardzo relaksuje, udaje mi się czasem na prawdę wyciszyć i pozbyć się na chwilę tej gonitwy z głowy: co jutro na obiad, jakie nowe zasłony wybrać, co wywali się znowu w pracy. Stosuję naturalne środki, suplementy. Polecają to koleżanki, wy-

KATARZYNA SKÓRZEWSKA:

W medycynie menopauzalnej nie chodzi tylko o zdrowie i samopoczucie kobiet, ale także o starzenie się społeczeństwa i naszą produktywność.

miana rad i doświadczeń nam pomaga. Niedługo idę na kolejne kompleksowe badania hormonalne. Czy będę na terapii hormonalnej? Nie wiem, czas pokaże, ale nie jestem na to zamknięta.

44 proc. Polek przed menopauzą i **47 proc.** w trakcie transformacji nie planuje korzystania ze wsparcia hormonalnego

– Wokół hormonalnej terapii w okresie menopauzalnym krąży wiele przekonań i mitów – mówi Skórzewska. – Najwięcej szkody zrobiły błędnie przeprowadzone i zinterpretowane badania sprzed lat z USA, wielokrotnie obalane, ale wciąż

szkodzące tematowi. Zdarza się, że starsze kobiety krytykują hormonalną terapię menopauzalną trochę na zasadzie: ja miałam źle, to ty też powinnaś cierpieć. Trzeba mieć również świadomość, że nie wszyscy lekarze śledzą nowe badania, innowacje, wielu ma przestarzałą wiedzę. Mówią mi o tym pacjentki. Ja każdej kobiecie polecam, żeby szukała lekarza właściwego dla siebie do skutku. A najnowsze badania jasno pokazują, że hormonalna terapia menopauzalna jest najlepszą formą leczenia dolegliwości tego okresu u kobiet i zapobiegania odległym skutkom niedoboru estrogenu, jak wspomniane choroby – podkreśla Skórzewska.

W październiku odbędzie się światowy kongres Międzynarodowego Towarzystwa Menopauzy, podczas którego mają zostać ogłoszone nowe wytyczne. – Czekamy na nie, ale już dziś rekomendacje dla lekarzy są spójne w wielu krajach: nie boimy się hormonów, ale stosujemy je ostrożnie, są przypadki, kiedy nie są rekomendowane. To nie cukierki. Ja jako medyk chcę zawsze dawać to racjonalne spojrzenie, szanując wybór – dodaje lekarka.

Co chwilę do rejestru leków trafiają nowe środki, mające niwelować uderzenia gorąca czy nadmierną potliwość. – To, co teraz powiem, zabrzmi brutalnie, ale w medycynie menopauzalnej nie chodzi tylko o zdrowie i samopoczucie kobiet, ale, patrząc szerzej, o starzenie się społeczeństwa i naszą produktywność. Ta gałąź medycyny ma sprawić, żeby kobiety były dłużej sprawne i aktywne na rynku pracy – zauważa Skórzewska.

Internet jest głównym źródłem wiedzy Polek o menopauzie.

Kolejnym: lekarz, trzecim: mama

– Szukałam nowej drogi zawodowej po latach pracy w dużej firmie. Jednocześnie czytałam książki i sprawdzałam temat menopauzy, który wzbudzał we mnie niepokój, choć miałam dopiero 40 lat – opowiada Ewa Dubiel. – Czułam intuicyjnie, że można się do tego czasu przygotować. Kobiety w mojej rodzinie przechodziły go z trudem, w środowisku pracy widziałam, że część koleżanek bardzo on męczy, czują się skrepowane np. uderzeniami gorąca czy zmniejszoną koncentracją, ale inne przechodzą go z radością, albo bez większych problemów. Chciałam wiedzieć, gdzie jest do tego klucz, bo czułam, że nie tylko w genach. ➔

→ Trafiłam na informacje o doulach menopauzy działających m.in. w Australii, Stanach, Wielkiej Brytanii, które wspierają kobiety w transformacji menopauzalnej. I zaczęłam ich szukać w Polsce, chciałam się z taką kobietą spotkać. Nie udało się. Nie dawało mi to spokoju, w końcu pomyślałam, że może ja się mam nią stać. Niedługo później znalazłam szkołę douli menopauzy w Wielkiej Brytanii i kilka miesięcy później odebrałam certyfikat mojego nowego zawodu.

Na czym polega takie spotkanie? – Podstawą jest rozmowa, ocena, w którym momencie życia menstruacyjnego jest kobieta, pracujemy na specjalnym kwestionariuszu. Pokazuję historię i rolę hormonów płciowych oraz z czego wynika to, że czas transformacji może być trudny. Rozmawiamy o tym, jak istotna jest samoobserwacja, a na symptomy szukamy rozwiązań skrojonych na miarę. Na koniec klientka dostaje spersonalizowany plan działania. Jako doula menopauzy nie zastępuję ani lekarza, ani terapeuty, wręcz zachęcam do regularnych badań i wizyt, profilaktyka to podstawa. Ja chcę pokazywać spektrum możliwości, ścieżek dbania o siebie, od naturalnych po terapię hormonalną – wyjaśnia Ewa.

W rozmowach Ewa często słyszy od kobiet określenie „piekło menopauzy”, szczególnie gdy pojawiają się te bardziej uciążliwe symptomy. – Boją się, że to koniec kobiecości, atrakcyjności dla męża, regularnego seksu. Można skierować energię w inną stronę, mówić o „meno-

pauzalnym raju”. Bo ten okres to także szansa, jest w nim wiele mądrości. Kobieta z czasu prokreacji wchodzi w czas kreacji. Dla mnie to ponowne rozkwitanie. Na innych zasadach, do innych celów i zadań: rozkwitanie do pełni siebie – dodaje doula.

35 proc. Polek nie rozmawiało o menopauzie w domu

– W mojej ocenie balsamem na około-menopauzalne bóle jest przetrzepanie wszystkich stereotypów i zastanowienie się, czy chcemy się w nie dalej „bawić”. To jest też czas na weryfikację skryptów rodzinnych. Te historie mogą być wsparciem i inspiracją albo bodźcem do zmiany: bo nie chcę tak funkcjonować jako kobieta dojrzała, jak funkcjonowała moja matka czy babka – tłumaczy Alicja Długolecka. – Współczesne kobiety z mojego pokolenia coraz częściej nie chcą przekazywać dalej tabu, wstydu i cierpienia. Czują się za opowieść o kobiecości i transformacji menopauzalnej odpowiedzialne.

Opowiada Anna: – Moja mama już nie żyje. Wspomnienia z jej okresu menopauzalnego mam bardzo trudne: pamiętam, że nie była sobą, była bardzo nerwowa. Bałam się, że to powtórzę i zrobię mojemu dziecku to, co mi zrobiono w tamtym czasie. Mama nie szukała pomocy, ale nie chcę tego oceniać, bo czasy i możliwości były inne. Wybaczyłam jej. Ale miałam silny lęk, że to powtórzę i że tego po prostu nie zauważę. Choć o re-

cenzję, jak wyszło, trzeba zapytać raczej moją córkę – dodaje z uśmiechem. – Czuję wsparcie od bliskich, jestem w dobrym kręgu dziewczyn. A mąż? Zawsze mówię, że męża trzeba trochę wychować, bo każde nasze emocje można podważać zmianami hormonalnymi, także w tym okresie. Mojemu przypominam, że jesteśmy przecież w podobnym wieku i istnieje też andropauza – kwituje.

3 proc. kobiet i 7 proc. mężczyzn uważa, że po menopauzie nie uprawia się już seksu

Długolecka: – Transformacja menopauzalna może nieść ze sobą trudności w obszarze seksualnym ze względu na zmiany w ciele i kwestie emocjonalne, ale może być też momentem zmiany w myśleniu o seksualności, która przestaje być warunkowana płodnością i stereotypowym podejściem do atrakcyjności. Może też przestać być uzależniona od przeglądania się w cudzych oczach i spełniania cudzych oczekiwań – wylicza psychoterapeutka.

– I jeśli kobiety w tym okresie „popłyną” wraz ze zmianą, otwierając się na przyjemność i bliskość z drugą osobą, która też jest w swojej zmianie, to mogą się kochać tak, jak tego potrzebują i chcą. Świadomość przesuwania się na linii życia niesie ze sobą wiele strat. Ta świadomość sprzyja „zejściu do podziemia”, pogłębionej refleksji nad czasem, który pozostał. To jest istotą transformacji, która otwiera nas na nowe doświadczenia, wartościowe i całkiem sensowne. To zmiana perspektywy, na którą warto się odważyć – podkreśla.

Katarzyna Skórzewska: – Zależy mi na mówieniu o okresie menopauzalnym bez demonizowania czy gloryfikowania go w każdym aspekcie. Szanse, także w życiu seksualnym, są wtedy różne. Jeśli kobiecie da się pomóc, na przykład z suchością pochwy, i jej życie seksualne odżyje, to wspaniale. Ale to nie musi być standard. Bo transformacja menopauzalna przynosi ograniczenia: choćbyśmy nie wiem jak o siebie dbały i jakich preparatów czy udoskonaleń nie stosowały. Ich rynek nieprawdopodobnie zresztą rośnie, oferuje nam kosmetyki na menopauzę, herbaty na menopauzę, słyszałam nawet o specjalnych proszkach do prania.

Naszemu redaktorowi-seniorowi
ks. Adamowi Bonieckiemu
składamy wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci siostry

ś.†P.

Marii Dąbrowskiej-Bonieckiej

Wyrazy serdecznego współczucia składamy mężowi Ryszardowi,
córkom Ewie i Ani, wnuczkom, wnukom
a także całej rodzinie Zmarłej.

PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

54 proc. kobiet uważa, że wśród lekarzy brakuje holistycznego podejścia do menopauzy

– Gdy przyszła pandemia, zaczęłam stopniowo czuć się gorzej, miałam mniej energii, zrobiłam się ociężała. Bolały mnie wszystkie mięśnie, stawy. Przestałam chodzić na obcasach, bolały mnie stopy. Zaczęłam zakładać wyłącznie adidasy, nawet do sukienek – kiedyś nie do pomyslenia – opowiada Aleksandra Laudańska, pięćdziesięcioletnia przedsiębiorczyni. – Pociłam się w nocy, jakbym miała ciężką grypę, wybudzałam się ze snu. Miałam przeróżne wizje: że to rak czy inne poważne choroby. Starałam się wyciszać i relaksować, co wcześniej zawsze mi pomagało, ale nie wtedy. W braku miesiączki upatrywałam raczej ciąży. O menopauzie czytałam wcześniej, ale nie łączyłam tego: przecież ja, taka sprawna i zdrowa, miałam przejść ją później!

Kiedy Aleksandra miała już pewność, że jej dolegliwości to perimenopauza, zaczęła szukać pomocnej aplikacji. – Pomyślałam: przecież dziś są apki do wszystkiego. I tu zaskoczenie, bo w tym temacie nie znalazłam nic. Nam, kobietom, brakuje wiedzy w temacie transformacji menopauzalnej. Lekarze często zawodzą. Dlatego postanowiłam wraz z Marzeną Michałek stworzyć coś, czego szukałam. Nasz pomysł na aplikację o menopauzie był taki: podajesz swoje dane w formularzu: choroby, aktywności, objawy. I pracujesz z aplikacją, dostajesz podpowiedzi, co możesz zrobić

ALICJA DŁUGOŁĘCKA:

Balsamem na okołomenopauzalne bolączki jest przetrzepanie stereotypów i zastanowienie się, czy chcemy się w nie dalej „bawić”.

w ciągu kilku miesięcy czy pół roku, żeby swoją jakość życia poprawić.

Z wersji beta aplikacji Mameno korzysta obecnie 1850 kobiet. – Miejsc z rzetelną wiedzą w internecie przybywa i to mnie cieszy. Ale kobiety chcą też spotykać się na żywo. Z naszym pomysłem planujemy się rozwijać, ale żeby zrobić coś kompleksowego i dostępnego dla wszystkich, potrzebne są duże środki. Nasza aplikacja to element wielkiej układanki, bo temat jest bardzo rozległy. To projekt płynący z pasji i chęci pomocy kobietom, bo pieniądze zarabiamy w innym miejscu. Szukamy nowych finansowań, żeby Mameno trafiło do większej grupy odbiorczyń. I wspierało je. Najlepiej, gdyby jakaś anielica biznesu chciała się w to zaangażować – kwituje z uśmiechem Laudańska. I dodaje: – Może stanie się to po premierze mojej książki o tym, jak zhańkować menopauzę, planowanej na jesień.

70 proc. Polek uważa, że menopauza to ważny moment w życiu kobiety

Opowiada Anna: – Przyjaciół przywołał kiedyś taką metaforę: życie to wielka platforma zawieszona na hakach. Każdy z haków u każdego symbolizuje coś innego: rodzina, pasje, praca, która daje satysfakcję, jak u mnie, czy kobiecość i płodność, atrakcyjność fizyczna. I żeby ta platforma była stabilna przez cały czas, haków musimy mieć wiele, równie mocnych. Żeby w momencie, gdy jeden zawiedzie, całość mogła zachować równowagę.

Magda dodaje na koniec: – Czuję, że zaakceptowałam, że „to już”, że czas na kolejny etap w życiu. Wiele się zmienia, ale ja jestem przecież tą samą kobietą. Choć czasem robi mi się tak po ludzku dziwnie: To naprawdę ten moment? Okres menopauzy, niedługo pięćdziesiątka. Pół życia. A czuję, że przecież dopiero co zdawałam maturę.

© EWELINA BURDA

Dane w śródtytułach pochodzą z raportu „Menopauza bez tabu” z 2023 roku przygotowanego dla Kulczyk Foundation przez Ciekawość.to. To pierwsze takie opracowanie na podstawie badań jakościowych i ilościowych w Polsce dotyczące transformacji menopauzalnej. Instytucje państwowe nie prowadzą aktualizowanych statystyk ani badań na ten temat.

Imiona niektórych bohaterów zostały zmienione.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński,
Marek Rabij, Krzysztof Story, Piotr Śmitowicz,
Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik),
Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska,
Anita Piotrowska

Fotoredakcja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierowniczką), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał,
Ewelina Burda (kierowniczką), Michał Kuźmiński,
Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran,
Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frotow,
Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron,
Lech Krupa, Joanna Pelka, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo,
Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz,
Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik,
Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński,
Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franasek,
ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska,
Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka,
Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica,
o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski,
Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek,
kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek,
Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Zsumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uzyskaniu odpłatnej, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonych pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Co za dużo, to niewiele*



CZEMU PRZY OKAZJI NIE POWIEDZIEĆ na przykład tego: „Wiekuiesty, Bóg ojców waszych, niechaj rozmnoży was, ilu was jest, tysiącrotnie, i niech błogosławi was, jako przyobiecał wam” (Pwt 1, 11; Cykow) – słów, które padły z ust Mojżesza do Izraelitów zgromadzonych u wrót Ziemi Obiecanej? Talmud rozważa hipotetyczną, acz wielce prawdopodobną sytuację. Męskiemu potomkowi arcykapłana Aarona – którego jedną z prerogatyw po dziś dzień jest wznoszenie rąk i wygłaszanie do zgromadzonych trzech pięknych wersów z Księgi Liczb („Niechaj pobłogosławi cię Wiekuiesty, a strzeże cię! Niechaj przyświeca Wiekuiesty obliczem Swojem tobie, a miłościwym ci będzie! Niechaj zwróci Wiekuiesty oblicze Swoje ku tobie, a da ci pokój!”; Lb 6, 24-26) – mogłaby przyjść do głowy następująca myśl: skoro Tora zezwala mi na błogosławienie Izraela, dodam coś z własnej inicjatywy. Nie powinien nic dodawać – mówi Talmud – i uzasadnia to następującymi słowami, również zaczerpniętymi z pożegnalnej mowy pustynnego przywódcy: „Nie dodawajcie do słowa, które ja wam poruczam, ani odejmujcie od niego, przestrzegając przykazań Wiekuiestego, Boga waszego, które ja wam nakazuję” (Pwt 4, 2).

Słynny żydowski kaznodzieja – Magid z Dubna – ilustruje ową wiążącą zasadę następującą przypowieścią. Oto wersja, którą usłyszałam, mając z nią styczność po raz pierwszy: Pewien człowiek pożyczył od sąsiada dwie łyżki i następnego dnia zwrócił je, dokładając małą łyżeczkę. Gdy sąsiad wyraził zdziwienie, pożyczający wyjaśnił: „Kiedy przyniosłem łyżki do domu, one zaszyły w ciążę i urodziła się ta malutka”. Wkrótce sąsiad otrzymał kolejną prośbę: „Dziś wieczorem mam ważnych gości. Czy mogę pożyczyć twój piękny srebrny świecznik?”. Właściciel świecznika zgodził się bez zmruczenia oka. Na próżno czekał on przez następne dni na zwrot swojej własności. Udał się w końcu do sąsiada i usłyszał: „Przykro mi – kiedy przyniosłem świecznik do domu, on umarł”. „Co to za brednie?” – „Skoro łyżki mogły spłodzić potomstwo, dlaczego świecznik nie mógł umrzeć?”.

Zaiste: przymnażanie przykazań na własną rękę wiąże się z niebezpieczeństwem, że zaczniemy – nie daj Boże! – usprawiedliwiać niewykonywanie któregoś z obowiązków, jakie nakłada na nas Tora. Jak nadszpedziewanie mądrze powiedziała we wczesnym dzieciństwie moja siostra: „Co za dużo, to niewiele”. ©

Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.

O. WACŁAW

Oszajca: *Religijna agorafobia*



POKÓJ BOŻY TEGOROCZNEJ OLIMPIADY ZAKŁÓCIŁ m.in. spór o piosenkę Johna Lennona „Imagine”. Niektórzy odebrali tekst piosenki jako pochwałę komunizmu. Owszem, Lennon miał poglądy lewicowe, ale z tego wcale nie musi wynikać, że jego

utwór to polityczna agitka. Że tak nie musi być, świadczy wiersz „Firanka” Władysława Broniewskiego: „Otworzyłem okno, a firanka / pofrunęła ku mnie, / jak Anka / w trumnie. // Biała firanka, błękitne zasłony, / zaszeleściło... // O! pokaż mi się od tamtej strony! / Jesteś? Jak miło!... // Jak miło... jak miło... jak strasznie, / moja miła... // Ja już chyba nie zasnę... / Firanka? ... Czy tyś tu była?”. Tekst tego wiersza jest niemiłosiernie poszarpany i zakończony znakiem zapytania. Zdaje się przedstawiać człowieka rozpiętego między istnieniem i nieistnieniem, któremu śmierć zburzyła fundament jego życia – zabrała mu miłość i zepchnęła w rozpacz. Na jej dnie poezja pozwala jednak dojrzeć „tamtą stronę” lub – jak chce – Czesław Miłosz „Drugą przestrzeń”, niewidzialne w widzialnym.

„Wyobraź sobie, że nie ma raju (...) nie ma piekła / Nad nami tylko niebo / Wyobraź sobie wszystkich ludzi żyjących chwilą obecną (...) nie ma państw (...) Nie ma za co zabijać ani poświecać życia (...) nie ma też religii (...) nie ma majątków (...) Nie ma (...) chciwości ani głodu (...) świat będzie żył w zgodzie” (cyt. za: tekstowo.pl). Tak marzył Lennon i tak marzył autor Apokalipsy: „Ujrzałem nowe niebo i nową ziemię, pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeminęły. Również morza już nie ma. I zobaczyłem, że z nieba od Boga zstępuje Miasto Święte, nowe Jeruzalem (...) Świątyni w mieście nie widziałem, gdyż jego świątynią jest Pan, Bóg Wszechmocny” (por. Ap 21, 1nn.). A Izażasz zapowiada: „Na górze Pan Zastępów przygotuje wszystkim narodom ucztę (...) z najprzedniejszych mięs i z najwyborniejszych win. I zerwie na tej górze zasłonę rozpostartą nad wszystkimi ludami (...). Pochłonie On śmierć na wieki! Pan Bóg otrze łzę z każdego oblicza”.

Biblia jest książką pełną poezji, baśni, muzyki, tańca, wina. Emily Dickinson mówi: „Mieszkam w pałacu Możliwości – / Piękniejszy to dom od Prozy – / O wiele więcej okien – Drzwi można szerzej otworzyć –” (tłum. St. Barańczak). Stąd Biblia to skuteczny lek również na religijny lęk przed otwartą przestrzenią. A chrześcijanie źle znoszą zaduch, lubią przeciagi. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:

Z czego powstaje Kościół

Gdy umysł zostanie
uwolniony od myśli,
znika granica
między nim a Bogiem.

IZAJASZ ANACHORETA



Kto wolny
wśród zniewolonych,
spokojny
wśród gwałtowników,
wstrzemięźliwy
wśród zachłannych
– tego zwę świętym
człowiekiem.

SUTTANIPATA



DZIŚ NIECO INNY „okruch” – wzięty nie z Pisma Świętego, lecz z... „Instrumentum laboris” na zbliżającą się drugą sesję

Synodu Biskupów nt. synodalności. Tak. Synod pracuje; pracuje też dziesięć zespołów roboczych, przygotowujących materiały studyjne na tematy, które wprost „nie zmieszczą się” w agendzie październikowego posiedzenia, ale posłużą papieżowi w końcowej refleksji. Wszystko to w polskim Kościele – również w polskich (kościelnych czy katolickich) mediach znajduje niewielki refleks. A szkoda.

Więc dziś jedno zdanie z pierwszej części wspomnianego dokumentu: „Lud Boga nie jest nigdy prostą sumą ochrzczonych; raczej jest [jakimś] »my« Kościoła” (nr 3).

To zdanie jest równie genialne, co prześwietlające. Lud Boga nie jest sumą indywidualności: ja, ty, ona i on. Każda i każdy z nas modli się, chodzi do kościoła, spotyka się i komunikuje, opracowuje i realizuje jakieś projekty. Każdy osobno. Gdyby to wszystko zestawić razem, wyszłoby tego „w sumie” pewnie całkiem sporo; tyle tylko, że nie wyszedłby z „tego” Kościół. Ten – jak mówi nasz dokument – nie jest prostą sumą ochrzczonych, tym bardziej prostą sumą ich różnorodnych aktywności.

W takim razie pytanie kluczowe w rozważaniu prawdy i jakości mojej wiary nie brzmi: „ile i co robię?”, ale: „z kim to czynię?”. Jakie jest konkretne kościelne „my”, bez którego nie rozumiem siebie samego, nie mam poczucia sensu?

To chyba nie jest dzisiaj aż tak proste i oczywiste – w epoce wręcz obligatoryjnego indywidualizmu i podkreślania własnych praw, poglądów i przekonań.

Przytoczona wyżej zasada może zostać odniesiona również do poziomu Kościoła i Kościołów – a nie tylko pojedynczych wiernych. Z całą pewnością bowiem także jeden, święty, powszechny i apostołski Kościół nie jest po prostu sumą poszczególnych Kościołów partykularnych i lokalnych: diecezja obok diecezji. Kościół to nie Kraków + Warszawa + Wrocław + Łódź etc. Albo: katolicy + prawosławni + luterańscy + reformowani + wolne Kościoły ewangeliczne. Każdy osobno; wszyscy obok siebie – być może z jakąś wzajemną o sobie wiedzą... Gdzie jest jakieś eklezyjalne „my”? Gdzie mamy doświadczenie – konkretne – bycia razem? Przed Bogiem? Wobec Jego Słowa? Na modlitwie? Przed światem? W misji? W czynie miłosierdzia? ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

CZYTANIA LITURGICZNE (25 VIII – 1 IX)

21. niedziela zwykła: Joz 24, 1-2a. 15-17. 18b;
Ps 34; Ef 5, 21-32; J 6, 55. 60-69;
Poniedziałek, uroczystość NMP Częstochowskiej:
Prz 8, 22-35 lub Iz 2, 2-5;
Ps 48; Ga 4, 4-7; J 2, 1-11;
Wtorek: 2 Tes 2, 1-3a. 14-17; Ps 96; Mt 23, 23-26;

Środa: 2 Tes 3, 6-10. 16-18; Ps 128; Mt 23, 27-32;
Czwartek: Jr 1, 17-19; Ps 71; Mk 6, 17-29;
Piątek: 1 Kor 1, 17-25; Ps 33; Mt 25, 1-13;
Sobota: 1 Kor 1, 26-31; Ps 33; Mt 25, 14-30;
22. niedziela zwykła: Pwt 4, 1-2. 6-8; Ps 15;
Jk 1, 17-18. 21b-22. 27; Mk 7, 1-8a. 14-15. 21-23.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ

ŚWIĄTECZNY STAN WYJĄTKOWY

Wszyscy Polacy chcą, żeby wreszcie było normalnie.
Ale defilada potwierdza, że zgoda ta obejmuje także akceptację polskiego zabijania.
Jest w nas ledwo ukryte pragnienie, by w końcu porządnie komuś przywalić.

DARIUSZ KOSIŃSKI



TUŻ PRZED ROZPOCZĘCIEM TEGOROCZNEJ defilady prezydent Andrzej Duda objaśnił, że pozwoli ona „zobaczyć zmianę – najnowocześniejszy sprzęt, który jest gwarantem naszego bezpieczeństwa”. I rzeczywiście, prawdziwymi gwiazdami były 15 sierpnia supermaszyny: we wszystkich relacjach zwracano uwagę na Himarsy, Apache, Leopardy, Kraby, Żmije i Thundery. Na nie też czekała publiczność, wyciągając szyję i wykręcając karki. Zmiana wyglądałaby więc następująco: gwarantem naszego bezpieczeństwa jest już nie państwo, ale technologia kupowana za pieniądze, których nie ma na tanie mieszkanie, sprawną ochronę zdrowia i pensje dla nauczycieli. A to wszystko przy – jak się wydaje – zgodnej akceptacji większości elektoratu, który kłóci się o wszystko, ale stoi murem nie tyle za mundurem, ile za polskim F-16.

Jak widać, maszerujący mogą nam wiele powiedzieć o nas samych.

Pod czyją obronę

Jak większość czytelników organicznie wręcz jestem cywilem i wszelkie zamiłowania do wojskowości są mi obce. Defilady? Te pokazy wojskowej i państwowej mocy wydawały mi się i dość proste jako zjawisko, i mało atrakcyjne jako temat. W ostatnich latach sytuacja zaczęła się jednak zmieniać. Defilady stały się atrakcją samą w sobie, przyciągającą coraz większe i autentycznie zacięte tłumy.

Proces ten wiąże się oczywiście ze świętem Wojska Polskiego, czyli jednym z kilku powodów, dla których 15 sierpnia jest wielką uroczystością państwową i narodową. W wydanej w 2010 r. książce „Teatra polskie. Historie” pisałem, że jest to szczególny dzień, łączący dawne, pogańskie jeszcze, święta wegetacji, uroczystość kościelną, mityczną rocznicę narodową i celebracje wojskowe w konglomerat, który miałby wielką moc oddzia-

ływania, gdyby nie fakt, że rzecz dzieje się w samym środku wakacji, kiedy jest poważny kłopot z zainteresowaniem publicznym.

15 sierpnia zaczął jednak zyskiwać na znaczeniu, i to nie jako święto kobiecej mocy życia (takie są wszak jego pradawne tradycje), ale jako celebrowanie rdzennie męskiej siły zabijania. Powody są oczywiste – wojna tocząca się w sąsiedztwie i narastające poczucie zagrożenia sprawiają, że uciekamy się pod opiekę fachowców, a defilada, podczas której prezentują się oni w swej najlepiej rozwiniętej wersji, najwyraźniej zaspokaja coraz ważniejsze dla nas potrzeby.

Idą żołnierze

Jako widowisko uliczne organizowane poza ściśle militarnymi okolicznościami i potrzebami (i dlatego różne od przeglądu wojsk, który tak zafascynował i przeraził Mickiewicza

→



→ w Petersburgu) defilada jest wynalazkiem nowoczesnego państwa narodowego. Za pierwszą i największą uważa się francuską defiladę w dniu 14 lipca, organizowaną od 1880 r.

Ta prezentacja mocy, sprawności, gotowości i dyscypliny oparta jest na niezwykle prostej, ale bardzo wyrazistej zasadzie dramaturgicznej. Wojsko, pozostające na co dzień w odwodzie, wkracza demonstracyjnie w cywilną przestrzeń miasta, przejmuje ją, zdobywa, by pokazać, jaką siłą dysponuje, a następnie wykonać zbiorowy gest podporządkowania się „głowie państwa”. Oczywiście na trasie są tłumy obywateli, którzy oglądają przemarsz i do których defilada też się zwraca, ale gdyby ich z jakiegoś powodu zabrakło, to całe widowisko nadal miałyby podstawowy sens.

Bo defiladowa akcja polega na tym, że realna siła dysponująca możliwością i narzędziami zabijania prezentuje swoją podległość najwyższemu reprezentantowi państwa, jego „głowie”. Metafory cielesne są oczywiste: „głowa” przyjmuje z uznaniem gest „zbrojnego ramienia”, które choć ma moc, by głowę ściąć, uznaje jej wyższość w obrębie organizmu państwowego, którego członkami są wszyscy obywatele. Oglądamy zabójczą siłę, podlegającą rozkazom państwa, które składa tym samym obietnicę, że zapewni ochronę życia nas wszystkich. Defilada jest zatem demonstracją jednego z fundamentalnych powodów, dla którego władza i obywatele uznają konieczność istnienia państwa. Jest trybem istnienia wojska jako widowiska i zarazem pokazem mocy państwa – świątecznym stanem wyjątkowym.

Chłopcy malowani

Jedno z podstawowych przesłań wielkich defilad świątecznych brzmi jednak: wojsko nie broni państwa – broni narodu. Nieodzownym wręcz elementem defilady z okazji święta państwowego staje się zatem „tradycja”, przejawiająca się najczę-

Defilada stała się najważniejszą ceremonią państwową i narodową.

Elektoraty klóć się
o wszystko, ale stoją murem
za polskimi Apache'ami i F-16.

ściej w postaci oddziałów w mundurach historycznych, reprezentujących poprzednie generacje chłopców malowanych.

Skala ich uczestnictwa może być różna – od niewielkiej, symbolicznej grupy pojawiającej się zwykle na początku pokazu (w Polsce zazwyczaj jest to oddział kawalerii), po rozbudowane parady historyczne (jak słynna Parada Tysiąclecia w Warszawie w 1966 r., którą tak wspaniale opisywał znawca teatru i wojskowości Zbigniew Raszewski). Niezależnie od rozmiarów, sens jest ten sam: defilują nie tylko dzisiejsze siły zbrojne, ale także żołnierze z przeszłości, których dzieło współczesne wojsko kontynuuje. Tym samym tworzy się rodzaj wspólnoty żywych i umarłych. Zmilitaryzowane święto dziadów. Żołnierze w mundurach dawnych formacji, choćby Wojska Polskiego z 1920 r., to przecież wcielone duchy poległych, powracających, by potwierdzić ciągłość służby, która – jak władza królewska i jak państwo – nie umiera wraz z jej czasowymi wcieleniami. Umarło wojsko – niech żyje wojsko!

Oto szczelina, przez którą w celebrację mocy, pewności i bezpieczeństwa wkracza towarzyszący życiu cień – śmierć. Defilada z zasady jest prezentacją wyidealizowaną, a więc w jakiejś mierze – fikcyjną. Oczywiście – maszerują prawdziwi żołnierze, ale przecież wszyscy wiedzą: wojsko tak się nie porusza i tak nie wygląda, gdy wykonuje zadania, do których zostało powołane. Uporządkowane szyki, maszerujące we wzorcowym, nienaganie rytmicznym układzie choreograficznym, wykonują czynności, które nie mają wiele wspólnego z realnymi działaniami na polu walki.

Czwórkami do nieba

Taka idealizacja musztry jest rozbudowana i ścisła, bo ukrywa, że fundamentem

deklarowanego podporządkowania państwu jest zgoda na śmierć. Spełnienie składanej przez państwo obietnicy ochrony życia obywateli jest możliwe pod warunkiem przyznania mu mocy zmuszania niektórych obywateli do tego, by swoje życie stracili. Defilada jest niewypowiedzianym, ale wystawionym potwierdzeniem tej zgody. Przyjmując ją, głowa państwa przyjmuje zarazem ich gotowość do spełnienia ofiary.

Choreografia umundurowanych szyków idących nienagannie równym krokiem, superfaliczne rakiety doznające erekcji na widok tłumów, wznoszące się ku niebu głowy pozdrawiające naziemskie siły, umpa-umpanie orkiestr – wszystko to usiłuje zasłonić obraz, który podsuwa nam zbiorowa pamięć i strach – tych samych chłopców porozrywanych na polach walki, siedzących w brudnych okopach, zagrzebanych w błocie, straszliwie poranionych. Wracających po wojnie do domu i niebędących w stanie powrócić. W defiladzie biorą udział prawdziwi żołnierze, ale ona sama jest fikcją wojska, którego najtwardszą realność stanowi gotowość cierpienia i poniesienia śmierci na rozkaz.

Fikcją, ale też – obietnicą wniebowzięcia. Pamiętacie, prawda? „Czwórkami do nieba szli żołnierze z Westerplatte”. Pojawiający się na defiladach bohaterowie dawnych wojen, powracają między żywych nie jako umarli, ale jako „polegli na polu chwały”. Otrzymują od państwa i narodu dar pamięci, świecką wersję wieczności, stanowiącą dopełnienie kontraktu: zapłatę za oddanie życia.

W defiladzie polskie państwo spełnia więc także zamach ostateczny: przejmuje funkcje religijne i staje się szafarzem zbawienia. Jest w tym wspierane ochoczo przez kapłanów wielu, w tym największych, wyznań, którzy już dawno zrezygnowali z prób przeciwstawiania się państwu i wolą pobłogosławić jego wojenną eschatologię, niż odmówić jej posłuszeństwa, nawet jeśli głoszą religię miłości i pokoju, czcząc tego samego dnia Panią, której w ofierze nie składa się życia, ale naręcza kwiatów.

Gdy Polska da nam rozkaz

Święto Wojska Polskiego obchodzone w dzień uroczystości Wniebowzięcia to więc doskonały wyraz wielkiego kompleksu symboliczno-znaczeniowego.



DZIENNIKARZE I AUTORZY
„TYGODNIKA” co tydzień
są gośćmi Roberta Łuchniaka
w Polskim Radiu RDC. Audycję

można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM



LESZEK SZYMAŃSKI / PAP

Święto Wojska Polskiego, Warszawa, 15 sierpnia 2024 r.

Nic więc dziwnego, że właśnie z nim wiążą się największe widowiska defiladowe, zwłaszcza że Święto Niepodległości 11 listopada zostało polskiemu państwu zabrane przez organizatorów marszu, który zdecydowanie defiladą nie jest. Choć ma znamiona akcji paramilitarnej, to raczej partyzanckiej.

Może natomiast dziwić, że wielkie defilady wojskowe z okazji 15 sierpnia to tradycja wynaleziona stosunkowo niedawno. Samo święto, oczywiście, ma korzenie przedwojenne i jako takie zostało odnowione w roku 1992, zastępując Dzień Wojska Polskiego obchodzony w PRL w rocznicę bitwy pod Lenino. Jednak zaskakująco długo jego obchody nie wyróżniały się niczym specjalnym, a towarzysząca im parada wojskowa miała skromne rozmiary.

Zmiana dokonała się dopiero w roku 2007, gdy pod auspicjami prezydenta Lecha Kaczyńskiego zorganizowano 15 sierpnia pierwszą wielką defiladę warszawską. Przygotowane starannie i z rozmachem widowisko zawierało wiele atrakcji specjalnych odniosło autentyczny sukces frekwencyjny, potwierdzając świadomość performatywną ówczesnego prezydenta i jego środowiska. Uświadomiło też moc defilady wszystkim aktorom życia politycznego, niezależnie od ich przynależności partyjnej.

To rzecz dla współczesnej defilady 15 sierpnia podstawowa: obok troski o interesy wielkiego biznesu stanowi ona jeden z niewielu elementów łączących ugrupowania odgrywające od 20 już niemal lat medialny spektakl wielkiego konfliktu. Powołana przez prezydenta Kaczyńskiego, była z taką samą troską i gorliwością organizowana przez prezydenta Komorowskiego i ministra Siemoniaka, jak i przez prezydenta Dudę i ministra Błaszczaka (choć ci dwaj mieli pecha, bo pandemia zatrzymała defilady na trzy lata).

Co frapujące, za każdym razem główni sprawcy powtarzają to samo: że nadchodząca parada będzie inna niż wszystkie i że tym razem będzie można zobaczyć naprawdę najnowocześniejszy sprzęt. Oczywiście powtarzają też, że udział w defiladzie to wyraz wdzięczności dla żołnierzy i dumy z naszego wojska, ale można odnieść wrażenie, że ta duma coraz wyraźniej skierowana jest w przyszłość, a nie w przeszłość, choć o chwalebnej historii 15 sierpnia też nie sposób zapomnieć.

Cud mniemany

Ostatnie defilady, organizowane w trakcie wojny w Ukrainie, choć zawierają odwołania do tradycji, większy nacisk kładą na nowoczesność, profesjonalizm i sprawczość, tworząc obraz „Silnej Białe-

-Czerwonej”. Na defiladę pod takim właśnie hasłem zapraszał rok temu minister Błaszczak, a choć minister Kosiniak-Kamysz hasła nie przejął, to pod jego zaproszeniem na defiladę tegoroczną, która „będzie wyrazem wdzięczności wobec minionych pokoleń i nadziei dla przyszłych”, a także „pokazaniem naszej siły, sprawczości oraz jedności, której bardzo potrzebujemy w obliczu zagrożeń ze Wschodu” – poprzednik z pewnością by się podpisał.

Zapowiedzi zostały spełnione: takiego poziomu wzajemnego komplementowania się przez walczących ze sobą jawnie prezydenta i premiera nie słyszano od bardzo dawna. Być może udało się tę jedność osiągnąć, bo defilada zwrócona była w przyszłość. To element, o którym dotychczas mowy nie było: wojskowy popis jako prorocstwo, zapowiedź zwycięstwa, do którego się przygotowujemy. Najpełniejszy egzorcyzm zwrócony przeciwko cieniowi śmierci: zamiast niej obietnica ochrony życia zapowiada tryumf, a zgromadzone siły naprężają się, by przekonać o jego pewności.

O ogólnonarodowej jedności wokół wojskowej, w tym także o jej finansowym wymiarze mówił występujący przed prezydentem (a potem przez niego pochwalony!) premier. On też mówił o przyszłości – że jej wojny toczą się już wokół nas. A odwołując się do przeszłości, do bitwy

→ warszawskiej jako „cudu nad Wisłą”, powiedział jeszcze, że cały ten wspólny wysiłek, by zbudować nowoczesną armię, jest po to, „by Polska, polskie wojsko, Polki i Polacy nie musieli już nigdy liczyć w przyszłości na cud”.

Transformersi

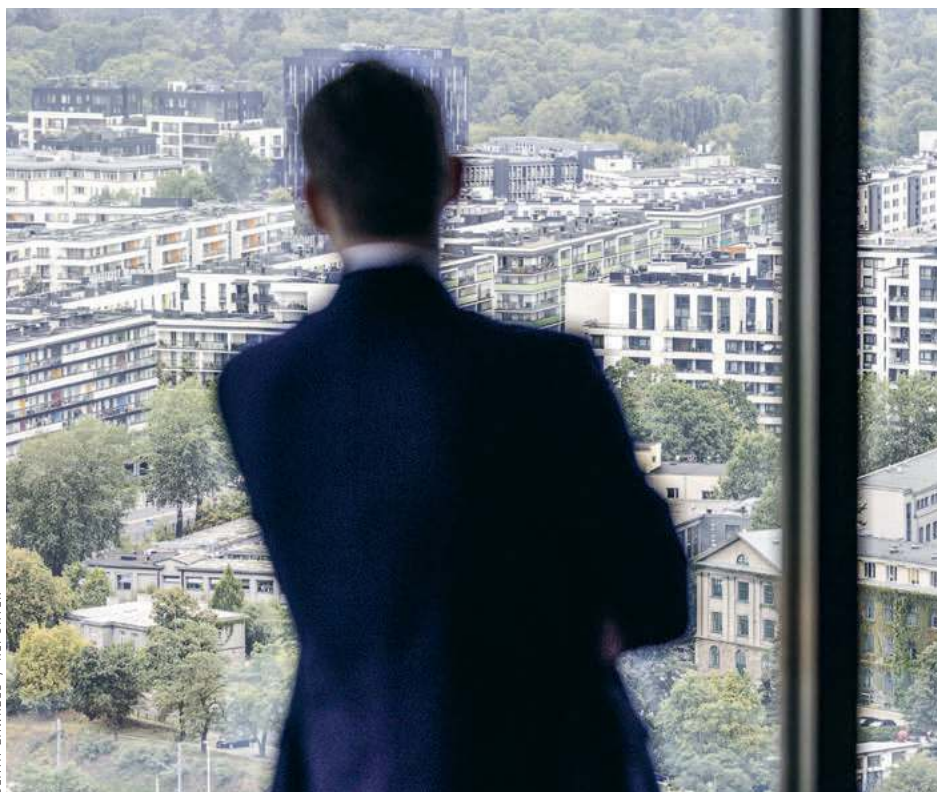
Premier wie, co mówi i mówi, co wie, więc przyszła wojna, która już się toczy, w polskim wydaniu ma być nowoczesną wersją prawdziwej narodowej legendy: husarza polskiego jako ludzko-nieludzkiej hybrydy dającej supermoc. Tak jak dawni Polacy przemieniali się w ironmenów wsiadając na konie i okrywając zbroją, tak współcześni i przyszli połączą się ze wspomnianą na początku technologią. Duch narodu wejdzie w maszynę i odrodzi się jako polski transformers, górujący nad przeciwnikami, nietykalny i niewinny, bo rażący wrogów z dala, bez konieczności oglądania przerażonych twarzy, słuchania błagań i ryzyka obryzgnięcia krwią.

Jest w tym nie tylko współczesna fascynacja i zależność od technologii, która udostępnia nam świat, izolując od niego. Jest też w powtarzaniu zaklęć o nadludzkiej sprawności „sprzętu” odreagowanie narodowego mitu, który bodaj najjaskrawiej pokazał Andrzej Wajda w „Lotnej” – gdy piękny polski ułan legendarną polską szablą daremnie tnie łufę niemieckiego czołgu. Nie będzie już szabel ani cudów, ani duchowych jeno bitew. Polska stanie się wreszcie normalnym państwem, które w razie potrzeby będzie mogło zbombardować rakietami wroga stolicę.

Wszyscy chcą, żeby wreszcie było „normalnie”. Defilada potwierdza, że zgoda ta obejmuje także akceptację polskiego zabijania. Nawet więcej: jest w nas też ledwo ukryte pragnienie, by wreszcie przestać bronić straconych reduct i w końcu porządnie komuś przywalić. Defilada obiecuje, że będzie to możliwe. Już nie tylko nie oddamy ani guzika, ale wszystkie guziki powciskamy i Bóg w końcu pozna nas Polaków, a świat się dowie, czym być może straż polska u jego znaków.

Po warszawskim bruku chrząszczą gąsienice czołgów, na niebie huczą silniki F-35. A mnie się przypomina wiersz ulubionego poety prawdziwych polskich patriotów i słyszę drwiący śmiech guzików.

© DARIUSZ KOŚCIŃSKI



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Wszystkie kłamstwa o rynku mieszkaniowym

BARTOSZ JÓZEPIAK

Deweloperzy, a za nimi politycy i publicyści, powtarzają: „robimy zwykły biznes”. Ignorują prostą prawdę: mieszkanie nie jest towarem jak każdy inny.

N AWET TEN PROCENT PODMIOTÓW, które się tym zajmują, powinien dzisiaj (...) usłyszeć jasny komunikat: stop patodeveloperce” – grzmiał na konferencji prasowej Waldemar Buda. Był październik 2023 r., a minister rozwoju i technologii w rządzie PiS podpisywał rozporządzenie, które miało zatrzymać jej rozwój.

Nowe przepisy po niemal rocznym *vacatio legis* właśnie wchodzą w życie. Dzięki nim nowe bloki będą odsunięte od granicy działki o 5 metrów. Lokal użytkowy nie może mieć mniej niż 25 metrów. Resort pamiętał też o obo-

wiązku budowy placów zabaw i odległości balkonów od siebie.

Ale nie róbmy sobie nadziei – te przepisy to plaster na krwawiącą ranę, jaką jest polski rynek mieszkaniowy. Rozwiążą drobne dolegliwości, ale nie istotę problemu, czyli fakt, że ponad 98 proc. mieszkań w Polsce budują deweloperzy.

Zwłaszcza że inwestorzy nie próżnują. Rosnąca popularność pojęcia „patodeveloperka” zmusiła ich do medialnej ofensywy. W licznych wywiadach powtarzają mity i kłamstwa, które mają zmyć z nich wszelką odpowiedzial-



Pejzaż osiedli deweloperskich.
Warszawa, 8 sierpnia 2024 r.

ność za sytuację na rynku mieszkaniowym. Rozprawmy się z najważniejszymi z nich.

Takie są zasady rynku

„Takie są zasady rynku: jest popyt – jest podaż. Są chętni do mieszkania w takich lokalach, więc się je buduje” – mówi Małgorzata Michna, właścicielka firmy remontowej Akomodar, w rozmowie z portalem Głos24.pl.

„Co pani robi, jak ma pani samochód, który chce pani sprzedać? Czy rzeczywiście myśli pani »a dobra, sprzedam go za 10 tysięcy, choć teraz chodzi za 50?« (...) Firmę prowadzi się z niskich pobudek, z chęci zysku. Czy pani się z tym zgadza? Czy może powinienem być altruistą i rozdawać pieniądze?” – to już Tomasz Stoga, wiceprezes zarządu Polskiego Związku Firm Deweloperskich, prezes PROFIT Development, w wywiadzie dla LoveKraków.pl.

Deweloperzy, a za nimi politycy i publicyści, powtarzają: „robimy zwykły biznes”. Mocno zamykają oczy, by nie dostrzec prostej prawdy: mieszkanie nie jest towarem jak każdy inny. Jest towarem pierwszej potrzeby. Zarazem, w odróżnieniu od innych towarów pierwszej potrzeby, jak chleb czy ubrania, jest to dobro niesłychanie drogie.

Dlatego właśnie na rynku mieszkaniowym nie działa „prawo popytu i podaży”, jak np. przy sprzedaży złotych zegarków. Bez zegarka da się żyć, a bez mieszkania może być ciężko. Ludzie kupują ciasne, źle zaprojektowane lokale na zbyt ciasnych osiedlach nie dlatego, że „widocznie są na to chętni”, tylko z prostego powodu, że po prostu gdzieś mieszkać muszą, zazwyczaj w konkretnej dzielnicy i danym mieście, gdzie mają pracę lub bliskich. Wybierają z dostępnej oferty, wybór mają ograniczony. Eksperti szacują, że w Polsce brakuje od 1,5 do 2 mln mieszkań.

Ciężko mówić o realnej konkurencji między deweloperami – tym bardziej że firmy raczej równają w dół, bo wiele z nich odpuściło dbanie o opinie. Pisząc książkę „Patodeweloperka”, rozmawiałem z Martyną, która lata przepracowała w biurach architektonicznych. „Widzę, że przez ostatnią dekadę jakość spadła dramatycznie – usłyszałem. – Wchodzę na nowe osiedle, gdzie mieszkania kosztują milion albo półtora, a jak tylko przekroczę próg, to nagle wychodzą dramaty: wszystko krzywe, tynku mało, lokal niezgodny z rzutem, jakieś rury wystają ze ścian. Nadal znajdziesz na rynku porządnie wykończone mieszkanie, ale teraz musisz zapłacić za nie 25 tysięcy od metra. Wykończenie w niskim standardzie to nowa norma. A to, co było normą 10 lat temu, dzisiaj jest towarem premium”.

Nie była to odosobniona opinia.

Nikt ludziom nie każe tam mieszkać

To inny wariant poprzedniego argumentu. Wyraża go np. Maciej Łobos, prezes zarządu pracowni MWM Architekci. W rozmowie z Głosem24 mówi: „Rozmawiając o mikrokawalerkach, trzeba zadać pytanie o to, czy przymusowym jest ich zakup? (...) I co w związku z tym miałoby zrobić państwo? Naprawdę mamy komuś zabronić kupowania takich mieszkań? (...) Czy ten deweloper kogoś oszukał? Czy on komuś zrobił krzywdę? Jeśli nie, to w czym jest problem? Nie sprzedaje ludziom narkotyków, nie sprzedaje kradzionego...”.

„No ale deweloper ściąga za to, że próbuje finansowo zoptymalizować swoją inwestycję? To życzę powodzenia. To się

nie uda. Jak ktoś kupił na tym osiedlu mieszkanie, to pewnie mu się podobało” – dodaje deweloper i inwestor Kuba Karliński w rozmowie z Gazeta.pl.

Znowu mamy tu wprowadzenie czysto rynkowej logiki do handlu dobrem podstawowym, co skutkuje patologiami. Większości firm deweloperskich nie zależy na powracającym kliencie, bo większość z nas kupuje jedno mieszkanie na całe życie. Nie muszą dbać o estetykę osiedla, tereny zielone, jakość wykonania, dobór materiałów. Oszczędzają, na czym tylko mogą, bo na brak klientów narzekać nie będą.

Przyznaje to nawet wspomniany Karliński: „Každy deweloper dąży do tego, żeby wyprodukować i sprzedać jak najbardziej optymalny produkt. Optymalizowanie PUM-u, czyli powierzchni użytkowo-mieszkalnej, jest elementem tego procesu”.

„Optymalizowanie PUM-u” to właśnie wciskanie jak największej liczby mieszkań na całej powierzchni działki, co skutkuje gęsto zabudowanymi blokami i osiedlami przypominającymi betonowe kaniony. Idealne przykłady to osiedle Avia w Krakowie czy Bliska Wola w Warszawie – nowe kombinaty mieszkaniowe, dużo gorzej zaprojektowane niż PRL-owskie osiedla, gdzie odległość między blokami była spora, usług typu przedszkole czy sklep nie brakowało, a wysoka zieleń była standardem.

Przecież nie łamiemy prawa

W tych stwierdzeniach mamy kolejny argument: przecież deweloperzy nie łamią prawa, nie sprzedają narkotyków... Większość faktycznie nie zajmuje się gangsterką, ale to nie znaczy, że wzorcowo przestrzegają prawa. Idealnym przykładem jest spór o mikrokawalerki, czyli mieszkanka mające po 17 albo i 11 metrów. Prawo nie pozwala budować mieszkań mniejszych niż 25 metrów, ale deweloperzy obchodzą przepisy i plany miejscowe. W projekcie budowlanym zapisują, że ich inwestycja to zamieszkanie zbiorowe, czyli hotel albo akademik. A potem te pseudopokoje hotelowe sprzedają jako mieszkania.

Kuba Karliński tłumaczył dziennikarzowi Gazeta.pl, że sprzedając swoje „aparthotele”, nie używa słowa „mieszkanie”: „Plan miejscowy dopuszcza tu funkcję usługową i na takie lokale

→ mamy wydane pozwolenie, więc to są mikrolokale usługowe o elastycznym przeznaczeniu. I to już sprawa nabywcy lub użytkownika, jakie prowadzi usługi. (...) To jest lokal wielofunkcyjny z kanapą, podobnie jak w gabinetach wielu prezesów firm lub wysokich urzędników państwowych. (...) Co kto będzie w nich robić, tego nie wiem” – opowiadał.

Plany miejscowe nie dopuszczają takiej gęstości zabudowy nie bez powodu. Okoliczna infrastruktura często nie jest wystarczająco rozbudowana. Skutkuje to potem korkami na drogach, łokiem w lokalnej szkole, niewydolnym wodociągiem. A za pociągnięcie linii autobusowej albo rozbudowę kanalizacji płaci gmina, czyli my wszyscy.

To samorządy decydują

Relacje z samorządami to kolejny problematyczny temat.

„W planach miejscowych są określone parametry, które my musimy spełnić. Wysokość, kubatura, linia zabudowy, ilość mieszkań, lokale usługowe, wejście do ulicy – to wszystko koncesjonuje miasto. (...) Słyszymy te często zakłamanie historie, że tu coś sobie deweloper wybudował. Ale to miasto mu na to pozwoliło!” – opowiadał prezes Tomasz Stoga. Zapomniał wspomnieć, że deweloperzy nie przyglądają się biernie temu, jak powstają plany miejscowe, ale aktywnie biorą udział w ich uchwalaniu.

Na potrzeby książki przyglądałem się, jak zmieniał się plan miejscowy przed budową Bliska Wola Tower w Warszawie. Uwagi do uchwalanego właśnie planu zgłaszało Stowarzyszenie Nowa

Wola Zachodnia. Mieszkańcy prosili o większą gęstość zabudowy i wyższe budynki w swojej dzielnicy. Okazało się, że wśród członków i władz stowarzyszenia zasiadały te same osoby, które kierowały spółką Black Lion, będącą właścicielem działki. Urzędnicy przyjęli uwagi lipnego stowarzyszenia. Wkrótce potem spółka Black Lion sprzedawała teren deweloperowi za 155 mln zł, a na wspomnianej działce wyrosły wysokie na 90 metrów wieże mieszkalne.

Czasami radni uchwalają plan nie po myśli dewelopera albo urzędnicy wydadzą decyzję o warunkach zabudowy niezgodną z oczekiwaniami inwestora. Czy deweloperzy wtedy pokornie przyjmują decyzję? A skąd! Niekorzystne dla siebie decyzje zaskarzają do Samorządowego Kolegium Odwoławczego lub sądu, które często stają po stronie inwestorów. Tak było np. na osiedlu Avia w Krakowie, gdzie władze miasta chciały ograniczyć gęstość zabudowy i po wielu latach uchwały plan miejscowy dla tego terenu. Właściciel terenu, firma Budimex, zaskarżył plan do sądu, bo w miejscu, gdzie radni chcieli uratować wysokie drzewa przed wycinką, firma zaplanowała kolejne bloki.

Rząd atakuje deweloperów

Inwestorzy czują się atakowani przez każdą kolejną władzę.

„Rząd, jak zawsze, szuka kogoś, na kogo można zważyć winę. To jest budowanie pozycji politycznej na zawiści. (...) Na gonka na deweloperów, lub – jak się ich teraz nazywa – patodeweloperów, przypomina mechanizmami to, z czym mie-

liśmy do czynienia w głębokiej komunie, czyli walkę z kulakami i spekulantami” – mówi architekt Maciej Łobos w rozmowie z Głosem24.

„Rząd ogłosił walkę z patodeweloperką, mają być wprowadzane nowe ograniczenia. Państwo zamierza włożyć kij w szprychy, zaostrożając na tej podstawie regulacje, co się negatywnie odbije na nas wszystkich. To spowoduje, że będzie jeszcze drożej” – żali się w „Gazecie Wyborczej” Konrad Płochocki, ówczesny wiceprezes Polskiego Związku Firm Deweloperskich.

W rozmowie ze mną Płochocki dodał, że jego branża nie otrzymuje żadnego wsparcia od polskiego rządu. Trudno o stwierdzenie bardziej odbiegające od prawdy.

Kolejne gabinety nie mają pomysłu na politykę mieszkaniową – oprócz przelewania publicznych pieniędzy poprzez banki do kieszeni deweloperów. Temu służą programy dopłat do kredytów, np. realizowane w czasach pierwszych rządów PO programy „Mieszkanie dla Młodych” czy „Rodzina na Swoim” albo – to już za rządów PiS – program „Bezpieczny Kredyt 2%”. Kolejny program tego typu, czyli kredyt 0 procent, spowoduje jedynie jeszcze większy wzrost cen mieszkań. Skutki tego skoku skonsumują, oczywiście, deweloperzy.

Politycy przez lata zrobili wiele, aby ułatwić deweloperom budowanie wszędzie tam, gdzie im się podoba. Pod koniec 2003 r. w ciągu jednej nocy przestały obowiązywać wszystkie stare plany miejscowe, które kolejne rządy wolnej Polski traktowały jako spadek po komunistycznym centralnym planowaniu. Wyłano dziecko z kąpielą – Polska stała się areną całkowitej wolności urbanistycznej. Jeszcze na początku obecnej dekady tylko nieco ponad 30 proc. kraju pokrytych było planem miejscowym. 139 gmin nie miało ani jednego planu.

Dzięki temu gminy zarządzają swoją przestrzenią na podstawie decyzji o warunkach zabudowy. To często arbitralne urzędnicze decyzje, które mogą być bardzo korzystne dla deweloperów. A nawet jeśli nie są, to można zaskarżyć je dużo łatwiej niż plany miejscowe.

Politycy doszli do wniosku, że ograniczeń dla deweloperów jest wciąż za dużo. I tak rząd PiS retorycznie zwalczał patodeweloperkę, a jednocześnie uchwaliał

12 sierpnia 2024 r. zmarła w Krakowie

Ś.†P.

Maria Osterwa-Czekaj

dziennikarka i działaczka społeczna,
od lat związana z naszym środowiskiem.

Rodzinie i bliskim składamy wyrazy głębokiego współczucia
PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

POŻEGNANIE

prawo powszechnie nazywane „Lex Deweloper”, które pozwala inwestorom obchodzić zapisy planów miejscowych za zgodą rady gminy.

Dodajmy do tego, że kolejne ekipy dwukrotnie przekładały wejście w życie wspomnianych na początku przepisów ministra Budy. Wnioskowali o to przedstawiciele branży, którzy chcieli dokończyć rozpoczęte inwestycje jeszcze na starych zasadach. Nie mogli pozwolić sobie bowiem na finansowe straty.

Faktycznie, nagonka jak w komunizmie.

Patodeweloperka to margines

„W ciągu ostatnich 10 lat deweloperzy zbudowali milion mieszkań. Patodeweloperka, ta, którą ma na myśli pani czy autor książki, to może jedna, dwie, może pięć inwestycji na tysiące. Kiedy słyszę »patodeweloperka« w kontekście wszystkich deweloperów, czuję się, jakby ktoś mnie strzelił w twarz. (...) Niestety, zdarzają się czarne owce, oni robią rzeczy niegodne. Ale to jest promil. (...) Jeżdżąc po Polsce, mogę powiedzieć, że z większości inwestycji deweloperskich możemy być jednak dumni” – mówi Tomasz Stoga. Gratuluję prezesowi dobrego samopoczucia.

Deweloperzy próbują nam wmówić, że patologia dotyczy małego wycinka branży, tymczasem patologiczny jest cały system, w którym mieszkania traktowane są jak zwykły towar. Wszystkie kolejne problemy wynikają z tego pierwotnego grzechu.

To oczywiście nie oznacza, że nie ma w Polsce uczciwych deweloperów, choć według moich obserwacji mamy do czynienia z selekcją negatywną. Do branży budowania mieszkań ciągną ludzie liczący na szybki zysk, a nie zatroskani o nasz dobrostan społeczny.

Ale nie chodzi o indywidualne grzechy i grzeszki. Nawet uczciwy deweloper porusza się w systemie, w którym – aby być konkurencyjnym – musi stosować się do reguł gry, czyli oszczędzać na pracownikach i jakości wykonania przy jednocześnie podnoszeniu cen.

Państwo powinno budować mieszkania

Na koniec zostawiłem pogląd deweloperów, z którym zgadzam się w stu procentach.



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Kolejne rządy nie mają żadnego pomysłu na politykę mieszkaniową

– oprócz przelewania publicznych pieniędzy poprzez banki do kieszeni deweloperów.

„Pytał mnie pan wcześniej, dlaczego nie ma mieszkań dostępnych np. dla dwójki doktorantów. Faktycznie nie ma. Ale dlaczego ja mam za to świecić oczami? (...) Pan przychodzi pod zły adres, bo czy deweloperzy są od rozwiązywania problemów społecznych? W Polsce na nasze głowy próbuje się zrzucić nierealne oczekiwania, że załatwimy wszystkie potrzeby mieszkaniowe, a my jesteśmy od zarabiania pieniędzy” – żali się inwestor Kuba Karliński. I ma rację.

Deweloperzy są beneficjentami systemu, który nazywa się „polski rynek mieszkaniowy”, ale nie oni ten system stworzyli. Zaprojektowali go politycy jeszcze w latach 90., kiedy państwo było biedne, a potrzeby ogromne. To wtedy zapadały decyzje, które doprowadziły do przerzucenia całkowitej odpowiedzialności za zaspokojenie mieszkaniowych potrzeb Polaków na prywatne barki.

Kolejne rządy podtrzymywały ten system. Wyłomem był PiS-owski program „Mieszkanie Plus”. Dobry w założeniach projekt wykoleił się jednak w realizacji. Rząd Morawieckiego zbudował raptem kilka tysięcy mieszkań, a wobec ewidentnej porażki wrócił do robienia tego, co politykom wychodzi najlepiej – przelewania pieniędzy poprzez banki do deweloperów.

Efekt? Aż 35 proc. gospodarstw domowych wpada w lukę czynszową. To oznacza, że ich dochody są zbyt niskie, by dostali kredyt mieszkaniowy, a jednocześnie zbyt wysokie, by mogli liczyć na mieszkania socjalne i komunalne.

Także najbiedniejsi nie mają powodów do radości, bo w Polsce 126 tys. rodzin czeka na mieszkanie od gminy.

Gdyby kolejne rządy, zamiast wydawać publiczne pieniądze na pompowanie balonika na rynku nieruchomości, wydawały te miliardy na budownictwo społeczne, mielibyśmy dziś wiele tysięcy mieszkań społecznych.

W 2019 r. państwo polskie przeznaczało na mieszkalnictwo 0,08 proc. PKB, podczas gdy unijna średnia wynosi 0,5 proc. PKB. Kontrolerzy NIK ustalili, że osiągnięcie europejskiego poziomu wymagałoby od polskiego rządu dziesięciokrotnego zwiększenia nakładów na budownictwo mieszkalne, z 1,2 mld do 11-12 mld rocznie.

Problem w tym, że sprawa mieszkalnictwa (jak wiele innych zresztą) dzieli rządzącą dziś koalicję. PO i PSL obstają przy pomysle kredytu 0 procent, Lewica i Polska 2050 chcą stawiać na dofinansowanie budownictwa społecznego. Deweloperzy zaś przyznają, że oni po prostu więcej budować nie są w stanie, a państwo powinno wziąć się do roboty.

„Chcę jasno dać do zrozumienia – nie mamy nic przeciwko temu, aby ten segment (budownictwa społecznego – red.) się rozwijał. Zauważamy istnienie luki czynszowej. Są ludzie, których nie stać na kupno mieszkania za gotówkę i którzy nie mają zdolności kredytowej. (...) Samorządy mają tereny pod inwestycje, my mamy *know-how*. Dogadujemy się, jak ma wyglądać dany projekt, jaką część mają stanowić mieszkania komunalne, a jaką prywatne, jak ma wyglądać cała infrastruktura wokół” – mówi Maciej Wandzel, prezes Polskiego Związku Firm Deweloperskich, w rozmowie z „Dziennikiem Gazetą Prawną”.

Trudno się z nim nie zgodzić.

© BARTOSZ JÓZEPIAK

Autor jest reporterem, pracuje w „UWADZE!” TVN. Jego książka „Patodeweloperka. To nie jest kraj do mieszkania” ukazała się w maju nakładem wydawnictwa Znak, wcześniej opublikował „Wszyscy tak jeżdżą”.

W co gra Beata Szydło

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Do niedawna była jedną z najpopularniejszych twarzy PiS, dziś jej przyszłość w partii jest niepewna. Czy za ostatnimi zachowaniami byłej premier kryje się jakaś strategia?

POLITYCY PiS sĄ ZASKOCZENI POSTAWĄ byłej premier: konfrontacją z prezesem w sprawie obsady władz samorządowych w Małopolsce, ostrymi wpisami w sieci. Jedni widzą w tym potwierdzenie braku jej politycznych kwalifikacji, inni erupcję zadawnionych urazów. Są też hipotezy, że Beata Szydło, mimo bezpiecznej posady europosła i zapewnionej unijnej emerytury, ma jeszcze poważne polityczne aspiracje. Może nawet chcieć wystartować w wyborach prezydenckich.

Erupcje i emocje

„Jeśli tak bardzo nie chcecie mnie w kierownictwie PiS, to powiedzcie to publicznie, a nie biegajcie anonimowo szeptać dziennikarzom. Odwagi, Panowie” – ten wpis Beaty Szydło na portalu X zelektryzował pogrążoną w wakacyjnym letargu scenę polityczną. Była premier zareagowała w ten sposób na medialne doniesienia o planie pozbawienia jej funkcji wiceprezesa partii. Cała sprawa zaś jest echem niedawnej konfrontacji obozu Szydło z obozem Ryszarda Terleckiego w sejmiku małopolskim, a pośrednio: konfrontacji z Jarosławem Kaczyńskim.

Ludzie związani z Szydło spowodowali, że na marszałka nie udało się wybrać forsowanego przez frakcję Terleckiego (i samego Kaczyńskiego) Łukasza Kmity. W efekcie kierownictwo PiS musiało się zgodzić na Łukasza Smółkę: kandydata kompromisowego, choć bardziej związanego z frakcją byłej premier.

Postawa Szydło wywołała zrozumiałą gniew prezesa. Efektem było usuwanie jej ludzi z małopolskich struktur PiS, a także pozbawienie jej samej fotela współprzewodniczącej frakcji EKR w Parlamencie Europejskim na rzecz Joachima Brudzińskiego.

Politycy PiS, pytani nieoficjalnie o ostatnie komentarze byłej premier,

nie kryli zaskoczenia. Mówili o dyskwalifikującej polityka utracie kontroli nad emocjami, o erupcji dawnych urazów do prezesa. Mało kto upatrywał w tym prze-myślanej strategii.

Rzeczywiście, dotychczasowa droga polityczna byłej premier nie pozwala sądzić jej o zbyt wielką samodzielność.

Ratusz, Sejm, rząd

Polityczną karierą Beaty Szydło w PiS często rządził przypadek. Zaczęło się od tego, że ta etnografka po UJ w 1998 r. objęła z rekomendacji AWS urząd burmistrza górniczego miasta Brzeszcze. A kiedy w 2002 r. wygrała w Brzeszczach pierwsze bezpośrednie wybory na tę funkcję, uwierzyła w szansę na ogólnokrajową karierę.

Jednak jej pierwszym politycznym wyborem była PO. W 2005 r. miała nawet kandydować z list tej partii do Sejmu, ale dostała ofertę słabego miejsca. W efekcie wybrała PiS i z drugiego miejsca w Chrzanowie weszła do Sejmu po raz pierwszy. Swoją transfer zawdzięczała Zbigniewowi Ziobrze, który chciał zrównoważyć wpływy kandydującego z pierwszego miejsca w tym okręgu człowieka Lecha Kaczyńskiego – Pawła Kowala.

Początkowo jako posłanka niczym się nie wyróżniała, choć w kolejnych wyborach, w roku 2007 i 2011, zdobywała mandat z coraz lepszym wynikiem. Jak dla wielu innych polityków PiS drugiego szeregu, szanse dla niej otworzyły się po katastrofie smoleńskiej. To właśnie wtedy awansowała na stanowisko wiceprezesa, choć początkowo tę funkcję miała objąć szefowa sztabu Jarosława Kaczyńskiego w wyborach prezydenckich, Joanna Kluzik-Rostkowska. „Z klucza” wiceprezesem musiała być kobieta, wcześniej piastowała tę funkcję Aleksandra Natalli-Świat, która zginęła w katastrofie.



Lecz w międzyczasie prezes skłócił się ze swoim zapleczem z wyborów prezydenckich, zarzucając mu lansowanie zbyt miękkiej linii właśnie w kwestii katastrofy. W efekcie grupa Kluzik-Rostkowskiej opuściła PiS.

Nowa wiceprezes stała się niejako z automatu ekspertką gospodarczą PiS, bo rolę tę odgrywały wcześniej Natalli-Świat i inna ofiara katastrofy, Grażyna Gęsicka. Zaczęła występować w sejmowych debatach gospodarczych, choć na ekonomii znała się słabo.

W tym właśnie niektórzy politycy PiS upatrują praprzyczynę jej późniejszego konfliktu z Mateuszem Morawieckim. Oboje współpracowali w 2015 r. przy przygotowywaniu programu gospodarczego partii, ale Szydło miała się obawiać mającego znacznie większe kompetencje ówczesnego prezesa BZ WBK: – Jak już wiadomo było, że zostanie premierem, robiła wszystko, by Morawiecki nie wszedł do jej rządu. Zaproponowała mu resort finansów bez fotela wicepremiera, na którym mu zależało, licząc, że się obrazi. W końcu jednak, pod naciskiem m.in. Jarosława Gowina, zgodziła się, by Morawiecki został wicepremierem i ministrem rozwoju – opowiada polityk PiS.



JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Spotkanie z wyborcami w Hali Sokoła w Krakowie. 27 stycznia 2024 r.

Od zwycięstwa do zwycięstwa

Tak naprawdę to dwie wygrane kampanie 2015 r. – prezydencka i parlamentarna – zbudowały Szydło-polityka. W pierwszej była szefową sztabu Andrzeja Dudy i została opromieniona jego niespodziewanym sukcesem. Co z kolei było jedną z przyczyn, dla których została wskazana jako kandydatka PiS na premiera. Kierownictwu partii zależało, żeby w kampanii złagodzić wizerunek, a ponieważ liderką PO i premierem była Ewa Kopacz, postanowiono przeciwstawić jej kobietę. Sama Szydło na jednej z konwencji swój awans podsumowała przysłowiem: „Szydło wyszło z worka!”.

Politycy PiS przyznają, że po wygranych wyborach prezes Kaczyński, który nigdy nie cenił Szydło, rozważał rezygnację z pomysłu. Myślał, by stanowisko szefa rządu powierzyć albo Piotrowi Glińskiemu, albo objąć je samemu. W końcu się ugiął, bo pamiętał, jak mu wyciągano niespełnioną obietnicę, że nie będzie premierem, gdy jego brat zostanie prezydentem. – W czasie premierowania Szydło prezes cały czas szukał pretekstu, żeby jej się pozbyć – mówi jednak polityk PiS.

Trzeba przyznać, że w kampanii 2015 r. spisala się dobrze. Nie tylko utworzyła zgrany tandem z Dudą, ale też wypadła

lepiej od Kopacz w debacie telewizyjnej. Nawet jeśli nie obyło się bez wpadek – gdy już została premierem, wypominano jej deklarację, iż to Gowin, a nie Antoni Macierewicz będzie ministrem obrony.

Dwuletnie premierowanie Szydło przez zwolenników PiS jest kojarzone przede wszystkim z programem społecznym jej rządu. Z obniżeniem wieku emerytalnego, a zwłaszcza z wprowadzeniem świadczenia 500 plus. Realizacja tego spektakularnego elementu programowego PiS przykryła fakt, że rządowi nie udało się zrealizować szeregu innych zapowiedzi, np. utworzenia województwa śródkowopomorskiego, poprawy sytuacji w służbie zdrowia (włącznie z likwidacją NFZ) czy rozwiązania problemu frankowiczów.

Szydło miała też ciemne karty, np. odmowę publikacji niekorzystnych dla PiS orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego, czym wyznaczyła nowe standardy niszczenia państwa prawa.

Potakiwanie to za mało

Drugi i, jak się potem okazało, ostatni rok premierowania był znacznie mniej udany. Zaczęło się od wypadku samochodowego w Oświęcimiu, 10 lutego 2017 r. Rzecz była bez precedensu, bo był to pierwszy tak poważny wypadek urzę-

dującego premiera, obnażający pogorszenie się jakości kadr BOR. Szydło, mimo obrażeń, wyszła cało, ale sprawa ciągnęła się za nią przez lata: wszystko przez to, że w spowodowanie wypadku próbowano zrobić młodego kierowcę Sebastiana Kościelnika, a funkcjonariusze BOR mieli być namawiani do fałszywych zeznań. W efekcie Kościelnika przygarnęła PO: zaczął występować na konwentyklach tej partii jako ofiara PiS i samej Szydło.

Z punktu widzenia jej politycznych losów ważniejsza była jednak opinia Kaczyńskiego. A ta była coraz gorsza. Znający kulisy działacze PiS zgodnie przyznają, że wbrew rozpowszechnionej opinii Szydło nie słuchała się we wszystkim lidera. – Zwykle było tak, że podczas spotkań z prezesem wysłuchiwała go, potakiwała, ale i tak robiła swoje – mówi polityk PiS.

Znaczenie miało też to, że cały czas była „podgryzana” przez Morawieckiego, który miał stały kontakt z prezesem. Od pewnego momentu jej konflikt z wicepremierem stał się tajemnicą poliszynela, a Szydło nawet publicznie pozwalała sobie pytać Morawieckiego o stan realizacji jego „Strategii Odpowiedzialnego Rozwoju”.

Z dziejów pewnej rekonstrukcji

Do przesilenia doszło w grudniu 2017 r., w typowy dla PiS sposób. O rekonstrukcji rządu mówiło się od miesięcy, ale Szydło w ostatniej chwili dowiedziała się, że to ona ma jej podlegać. Posłowie usłyszeli od prezesa, że nowym premierem będzie Morawiecki na tym samym posiedzeniu klubu, na którym fetowano ją po obrońieniu w głosowaniu przed wnioskiem PO o wotum nieufności. Podczas debaty nad tym wnioskiem Szydło, ubrana w jaskrawo żółty żakiet, krzyczała do polityków PO: „Za co chcecie mnie odwołać?”. Obserwatorzy oceniali, że tak naprawdę słowa były adresowane do kierownictwa PiS.

W szeregach partii sytuacja była rzeczywiście napięta, więc by uniknąć cichego buntu przeciw odwołaniu popularnej premier, posłużono się fortelem – pierwotny skład rządu Morawieckiego był ten sam, co rządu Szydło. Ona sama została wicepremierem bez teki, którą to funkcję „na pocieszenie” przyjęła, mając do wyboru jeszcze fotel wicemarszałka Sejmu.

Oficjalnie wymiana premiera była podyktowana aspektami międzynarodowymi, przede wszystkim poprawą relacji →

→ z UE. Lepiej odbierany wtedy w Brukseli, bardziej „światowy” Morawiecki miał do tego doprowadzić. – Dziś widać, że mu się nie udało. Ale Szydło zyskała na tym, że się nie obraziła, nie zabrała zabawek. Została wynagrodzona kandydowaniem do Parlamentu Europejskiego w maju 2019 r. – mówi polityk PiS.

Prezes Kaczyński podobno nigdy nie żałował wymiany. – Morawiecki znosił wszystkie upokorzenia i testy prezesa bez mrugnienia okiem, nawet pozbawienie jego przyjaciela Zbigniewa Jagiełły fotela prezesa PKO BP. Z Szydło było inaczej. Często się obrażała, unikała kontaktu – opowiada polityk z kierownictwa PiS. – A ostatnia historia w Małopolsce to jeszcze jedno potwierdzenie, że prezes miał rację – dodaje.

W wyborach do PE odniosła bezprecedensowy sukces: otrzymała 525 tys. głosów, najwięcej w całej Unii. To pokazywało, że wyborcy PiS cały czas darzą ją sentymentem, i umacniało jej pozycję polityczną.

Ale w Parlamencie Europejskim nie potrafiła tego zdyskontować. Znaczenie mogło mieć to, że nie została wybrana na przewodniczącą komisji ds. zatrudnienia PE, choć stanowisko to przypadło przedstawicielowi frakcji EKR. Inne frakcje pamiętały jej agresywne wystąpienie ze stycznia 2016 r., znaczenie miał też konflikt struktur unijnych z jej rządem.

Po przegranych głosowaniu nie chciała ponownie kandydować, ale pod naciskiem Kaczyńskiego zrobiła to i znów przegrała. To, jak przynajmniej jej koledzy z PE, mogło zaciążyć na jej niezbyt dużej aktywności w roli europosłanki. Podczas kolejnych wyborów uzyskała słabszy wynik niż w 2019 r.: „tylko” 285 tys. głosów.

Według polityka KO Szydło nie umiała skorzystać ze swoich 5 minut. – Każdy prawdziwy polityczny drapieżnik by wykorzystał swoje premierostwo, ona nie umiała – ocenia.

Krakowska konfrontacja

Zdaniem polityków PiS to świadomość, że politycznie słabnie, mogła skłonić Szydło do małopolskiej konfrontacji z prezesem. W tle zaś był wieloletni lokalny konflikt z Ryszardem Terleckim.

Moi rozmówcy przekonują, że to Szydło była patronką zarówno marszałka województwa Witolda Kozłowskiego,

jak i byłego wojewody Piotra Ćwika. A także poprzedniego szefa krakowskich struktur partii, Andrzeja Adamczyka. Wobec których związani z innymi frakcjami działacze PiS wysuwają litanie zarzutów – np. że byli zblatowani z ludźmi PO i w wielu instytucjach, choćby kulturalnych, zostawili ich na stanowiskach.

Choć konflikt z Terleckim był wieloletni, do niedawna utrzymywano względną równowagę – Szydło miała sejmik i marszałka, Terlecki wojewodę. Wszystko zawało się po ostatniej serii wyborów.

Prezes będzie pamiętał wiceprezesce akcję w Małopolsce.

„Ostatnio wyrażał się o niej bardzo negatywnie, więc nie zdziwiłbym się, gdyby ją wyrzucił” – mówi osoba z kierownictwa PiS.

Jednak twarda postawa frakcji Szydło w sporze o obsadę urzędu marszałka wielu zaskoczyła. – Popeliła błąd, że nie dała się prezesowi wycofać z Kmity z honorem – mówi polityk PiS. Inni działacze zauważają, że choć zwolennicy byłej premier stracili najważniejsze funkcje partyjne w Małopolsce, zachowali znacznie cenniejsze posady w spółkach.

Czy za postępowaniem Szydło kryje się jakaś strategia? Część naszych rozmówców przekonuje, że nawet jeśli tak, wątpliwe, by udało się ją zrealizować. Wielu uważa, że Szydło stara się po prostu zabezpieczyć swoich ludzi w regionie, a dla partii opozycyjnej samorząd nabiera szczególnego znaczenia. Niektórzy przyznają, że potrzeba odegrania się na prezesie również jest istotna.

Są wreszcie tacy, którzy wskazują na bardzo dobre relacje Szydło z Suwerenną Polską. Gdy była jeszcze premierem, Zbigniew Ziobro do końca był z nią w sojuszu przeciw Morawieckiemu. Dziś, wobec jego choroby, niektórzy spekulują, że Szydło mogłaby zostać nowym liderem środo-

wiska SP, tym bardziej że Patryk Jaki nie ma wielkiego autorytetu. Jednak inni politycy PiS przekonują, że Suwerenna Polska praktycznie już nie istnieje i na dniach nastąpi jej wchłonięcie przez PiS.

Czas przetasowań

Na przełom września i października planowany jest kongres PiS, podczas którego ma dojść do powołania nowych struktur. Mówi się o utworzeniu czegoś w rodzaju rady naczelnej, do której wejdą najbardziej doświadczeni politycy, a także złożonego z młodych komitetu wykonawczego. Wbrew medialnym pogłoskom, które mogą być rozpuszczane za zgodą prezesa jako forma kary, Szydło z innymi wiceprezesami ma do tej nowej rady trafić.

– Beata Szydło jest częścią naszej tradycji politycznej, a dla wielu wyborców symbolem PiS, jej zmarginalizowanie na pewno nie byłoby dobrze przyjęte w elektoracie – przekonuje poseł Michał Moskal.

– W sytuacji, gdy być może obetną nam finansowanie, a być może grozi nam nawet delegalizacja, nierozsądne byłoby pozbywanie się kogokolwiek z kierownictwa – dodaje Zbigniew Kuźmiuk.

Prezes jednak będzie pamiętał wiceprezesce akcję w Małopolsce. – Ostatnio wyrażał się o niej bardzo negatywnie, więc nie zdziwiłbym się, gdyby ją wyrzucił – mówi osoba z kierownictwa PiS.

Niewykluczone więc, że zechce się jej pozbyć z władz. I może z tym poczękać do wyborów prezydenckich. W PiS można bowiem usłyszeć o jeszcze jednym scenariuszu, który Szydło bierze pod uwagę. Choć nie ma szans na nominację PiS, może zagrozić, że wystartuje jako kandydat niezależny.

Niektórzy nasi rozmówcy uważają zresztą, że to ona miałaby największe szanse na zwycięstwo w drugiej turze z Trzaskowskim czy Tuskiem. Jednak inni przekonują, że jednym z powodów wycofania się Szydło z aktywności w Parlamencie Europejskim była historia jej syna Tymoteusza: księdza, który odszedł od kapłaństwa. – Bardzo to przeżyła, była w depresji. A wie, że gdyby wystartowała w wyborach prezydenckich, byłoby to znów wywlekane – mówi polityk PiS.

Ale to nie znaczy, że scenariusz ze starciem Szydło do prezydentury nie zostanie jednak zrealizowany. Znowu przecież może zdecydować przypadek.

© P. PIOTR ŚMIŁOWICZ

AUTENTYCZNOŚĆ
CONRAD FESTIVAL
23 – 29.X.2024
KRAKÓW



Wybierz swoją prenumeratę

TYGODNIK
POWSZECHNY

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta prenumeraty Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy
udziela Agnieszka Dyrz w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej
przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel
w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem
e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
■ Kwartal – 12 wydań	160 zł	200 zł
■ Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
■ Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
■ 4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Suwerenni dzięki Wam

Suwerenni dzięki Wam – to hasło towarzyszy „Tygodnikowi” od dłuższego czasu. Oznacza tyle, że przetrwanie pisma zależy od jego Czytelniczek i Czytelników, a nie od widzimisię władzy politycznej czy kapitałowej. Zalety takiej sytuacji są obopólne: Państwo mają pewność, że publikacje „Tygodnika” są niezależne,

redakcja natomiast ma możliwość pisania obiektywnego i o sprawach najważniejszych.

Misja „Tygodnika”

Każda osoba prenumerująca nasze pismo wspiera realizację naszej misji: Odważnie prowadzimy Czytelniczki i Czytelników przez świat, zachęcając do patrzenia na rzeczywistość

z różnych perspektyw. Nasze publikacje i działania poszerzają horyzonty myślenia i wolności. Prawda jest dla nas sprawą nadrzędną. Ważne są dla nas wzajemny szacunek i otwartość – nie zamykamy się na żadną ze stron dialogu. **Wierzimy, że świat da się naprawić.**

TOMASZ

Stawiszyński:

Miejsca i nie-miejsca



KIEDY DOWIADUJĘ SIĘ O KOLEJNYM osiedlowym sklepiu (albo księgarni) zamienionym w oddział jakiejś popularnej sieciówki, nieodmiennie przypomina mi się kategoria „nie-miejsca”. Ukuł ją przed laty francuski antropolog Marc Auge. Przeglądając się nowo-

czesnym miejskim przestrzeniom, zwrócił uwagę, że coraz więcej dookoła obszarów, by tak rzec, emocjonalnie sterylnych. „Nie-miejsce” to bowiem właśnie taka sfera, z którą nic nas uczuciowo nie wiąże, żadne głębsze relacje i afekty. Sfera czyśto użytkowa, w której pojawiajemy się i spełniamy rozmaite zapotrzebowania lub obowiązki, a potem wracamy do innych spraw. Przykładem – supermarkety, lotniska albo dworce. Oczywiście te nowe, nieróżniące się niczym od siebie, bo taki Grand Central w Nowym Jorku albo stara stacyjka kolejowa gdzieś na polskiej prowincji to są zdecydowanie miejsca, a nie ich ściśle funkcjonalna atrapa. Zatem: zero więzi, powtarzalność, brak punktów mentalnego zaczepienia, unifikacja. Oto konstytutywne cechy nie-miejsc.

Do tego zestawu należałoby jeszcze dodać systematyczne zastępowanie ludzi technologicznymi artefaktami, dla nie-miejsc dziś bardzo charakterystyczne. O ile bowiem z pracownicą czy pracownikiem nawet najbardziej zunifikowanej sieciówki można się zaprzyjaźnić, można, przychodząc po zakupy, zamienić kilka słów, pogadać o pogodzie, zapytać, co tam słychać – a zatem: nawiązać relację – o tyle z cyborgiem, który szczytuje kody kreskowe, a następnie inkasuje opłaty, to się nie może udać. Cóż, w tym nowoczesnym technoświecie wszystko odbywa się niczym na taśmie produkcyjnej. Pełna depersonalizacja. Automatyczne komunikaty, syntetyczne głosy, sztucznie spokojna, przesłodzona dykcja, wyzbyta gór i dołów – i chyba właśnie dlatego sprawiająca wrażenie balansu na granicy biernego agresji. Laser skanujący towary, jego miarowe, hipnotyczne pikanie. Albo – tu i ówdzie – jakieś już zupełne cuda: kładziesz zakupy we wnęce, a niewidoczne czujniki natychmiast same wszystko wykrywają, musisz to tylko zaakceptować na ekranie. Optymalizacja, regulacja, maksymalizacja (zysku, oczywiście, zysku).

Od kilku lat to zjawisko stopniowo narasta. W kolejnych miejscach, pardon, nie-miejscach, w kolejnych sferach życia interakcje z ludźmi zastępowane są interakcjami z automatem. Takim na dodatek, który ludzkie zachowania i cechy stara się imitować. Wydaje komunikaty, mówi „dzień dobry” i „do widzenia”. A czasami – jak telefonujące do nas boty albo „wirtualni asystenci”, z którymi prowadzimy długie, kafkowskie konwersacje w aplikacjach lub na stronach internetowych, bezskutecznie usiłując

zgłosić jakąś nieprawidłowość albo dochodzić jakichś swoich praw – przemawia nawet pełnymi zdaniem. Co z tego, skoro tak naprawdę nas nie słucha, a tylko – posługując się zaawansowanymi algorytmami – analizuje nasze zdania i konstruuje odpowiedzi wedle zaprogramowanych z góry schematów.

Czy jest to zatem nieuchronny proces? Czy trajektorie technologicznego postępu – od naszej woli przecież niezależne, wyznaczane osiągnięciami nauki – prowadzą nas w kierunku świata, w którym już za chwilę nie-miejsca będą dominować nad miejscami? Rzecz w tym, że niewiele w rzeczywistości społecznej spraw nieuchronnych, wiele tam bowiem zależy od konkretnych decyzji. Jest to prawda tyleż oczywista, co aktywne i efektywnie ukrywana przez tych, którzy są faktycznymi beneficjentami naszej w tym względzie ignorancji.

Dobrze to pokazała Shoshana Zuboff w monumentalnym „Wiek kapitalizmu inwigilacji”: wielkie cyfrowe korporacje inwestują duże pieniądze w budowanie narracji, w myśl której rola technologii w naszym życiu kształtuje się rzekomo w sposób całkowicie bezwiedny. „Tak po prostu jest”, „tak to wygląda” – myślimy, przyjmując ten punkt widzenia, nieświadomi, że ktoś nam go chytrze sufluje. A tym samym godzimy się na wszystko, co pod płaszczykiem takiej „naturalnej technologicznej ewolucji” do nas przychodzi. I co któregoś dnia po prostu zastajemy jako tzw. dobrodziejstwo inwentarza – np. ulubiony osiedlowy warzywniak, który właśnie został zastąpiony sterylną emocjonalnie sieciówką.

A przecież nie sposób przecenić wagi takich drobnych więzi. Małe sklepy, lokalne księgarnie, rodzinne bary czy restauracje, zakłady usługowe, serwisy – w nich zaś ludzie, z którymi wchodzimy w relacje – to wszystko jest wspólnotowa sieć, to wszystko są małe laboratoria, w których formują się nasze społeczne umiejętności. Ba, w których wykuwa się – podobnie jak w interakcjach z rówieśnikami – nasza zdolność nawiązywania kontaktu, rozumienia siebie nawzajem. W których uczymy się – wiem, że to określenie niemal już zapomniane – dobrych manier, szacunku dla innych, dla ich pracy, wysiłku i zaangażowania. Uczymy się postrzegać społeczny świat jako przestrzeń zróżnicowaną, gdzie każdy ma swoje miejsce. Swoje niezbywalne miejsce, w którym żyje, działa, i w którym – a może raczej: z którego – jest na swój niepowtarzalny sposób pożyteczny dla wspólnoty, dla innych.

Nie ma i nie będzie – bo być nie może – takiej nauki, takiej zaprawy do życia we wspólnocie, jeśli całą tę sieć lokalnych miejsc zastąpią bezduszne nie-miejsca. I jeśli naszych sprzedawców, szewców, mechaników, księgarzy, bibliotekarzy czy cukierników zastąpią boty i skanery.

Czy aby na pewno chcemy takiego świata? Na to pytanie nie odpowie za nas żadna maszyna, nawet ta najnowocześniejsza, która doskonale robi „ping”. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podcastu „Skądinąd”. Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności” i „Reguła na czas chaosu”.

DYSYDENT W KOŚCIELE

KS. ADAM ŚWIEŻYŃSKI, FILOZOF:

Jest mała szansa, by zmienić tak skostniałą instytucję.
Ale możemy tworzyć w niej przestrzeń wolności.

ZUZANNA RADZIK: Kim jest ksiądz, o którym piętnaście lat temu zapomniała diecezja?

KS. ADAM ŚWIEŻYŃSKI: Od 20 lat wykładam na Wydziale Filozofii Chrześcijańskiej UKSW w Warszawie, w tym roku uzyskałem tytuł profesora filozofii. Od 10 lat mieszkam w Legionowie, w swoim prywatnym mieszkaniu, kupionym na kredyt, obecnie już spłacony. Na co dzień nie zajmuję się w zasadzie duszpasterstwem, może ostatnio trochę bardziej z racji moich kontaktów z „Wiarą i Tęczą” i z Kongresem Katoliczek i Katolików, choć nie nazwałbym tego duszpasterstwem, lecz wspólnym poszukiwaniem Boga i przeżywaniem wiary. Od 25 lat jestem księdzem, a od 15 lat przebywam poza diecezją, a poza tym skończyłem w tym roku 50 lat, więc ten rok jest dla mnie z wielu względów jubileuszowy.

Jak to jest być księdzem poza swoją diecezją?

To sytuacja raczej niestandardowa i bardzo dziwna. Nie spodziewałem się, że spotka mnie coś takiego. Było to dla mnie duże wyzwanie, nie tylko organizacyjne i bytowe. Musiałem odpowiedzieć sobie na pytanie najistotniejsze: czy chcę nadal być księdzem i po co mam nim być. Do pracy na uczelni nie jest to potrzebne. A inne możliwości realizowania się jako ksiądz urwały się, podobnie jak moje kontakty koleżeńskie z księżmi

z diecezji. Przez parę pierwszych lat zadawałem sobie pytanie, co mam dalej w życiu robić. W końcu postanowiłem, że spróbuję odnaleźć się w rzeczywistości takiej, jaką ona jest, bez elementu duszpasterskiego, tylko w mojej relacji z Bogiem. Wróciłem więc do korzeni swojego duchowego doświadczenia i wyboru sprzed lat. Gdybym nie miał takiego założeńińskiego, fundamentalnego dla mnie przeświadczenia, że to moja droga życia, pewnie po prostu przestałbym być księdzem. Postanowiłem jednak żyć w mojej aktualnej rzeczywistości ze wszystkimi jej ograniczeniami, mankamentami, ale również plusami. Należy do nich m.in. duża swoboda działania i poczucie niezależności oraz wolności, dla mnie szczególnie cenne. Ale także zrozumienie, że bycie księdzem ma sens nawet na „bocznym torze”. Nie mam jednak pewności, czy jestem z tym wszystkim, co stało się w moim życiu, w pełni pogodzony. Czasami odczuwam wewnętrzny sprzeciw oraz złość, że tak właśnie sprawy się ułożyły.

Sprzeciw wobec czego?

Wypłucia ze środowiska, w którym pracowałem, które było dla mnie ważne i któremu poświęciłem wiele zaangażowania. Z tym pogodzony chyba nie jestem. Uważam, że tak nie powinno być. Z drugiej strony pewnych rzeczy już się nie da zmienić czy cofnąć. Nie wyobra-



zam sobie powrotu do diecezji na parafię, mieszkania na plebanii itd. Za bardzo wszedłem w życie zwykłego człowieka, żeby przestawić się znów na funkcjonowanie w rytmie księdza diecezjalnego. Natomiast boli mnie, że nie ma ze strony diecezji żadnego zapotrzebowania na mnie, na moją wiedzę, na to, w czym, jak sądzę, mógłbym być przydatny. Sprawa stała się dla mnie jasna już za poprzedniego arcybiskupa, który był poniekąd sprawcą mojej banicji, ale po zmianie arcybiskupa niestety nic w tej kwestii się nie zmieniło. Czuję, że w diecezji jestem



JEFF PACHOUD / AFP / EAST NEWS

niemile widziany – to przykre. Przeżyłam to jako odrzucenie. Jakby powiedziano mi: rób sobie, co chcesz, żyj sobie, jak chcesz, ale z daleka od nas. Nie chcę robić z siebie ofiary i pokrzywdzonego. Wiem, że w tej sprawie ja także nie jestem całkiem bez winy. Po prostu mówię o swoich odczuciach.

O co wtedy poszło?

Poprzedni przełożony archidiecezji gdańskiej, abp Tadeusz Gocłowski, był człowiekiem, wobec którego nie trzeba było się jakoś szczególnie definiować

w kwestiach fundamentalnych, związanych z wartościami takimi jak prawda czy uczciwość. Różnie bywało w diecezji (były na przykład problemy finansowe związane z aferą „Stella Maris”), ale nie wpływało to w takim stopniu na funkcjonowanie księży. Natomiast przyście abp. Sławoja Leszka Głódzia sprawiło, że trzeba było się określić. Jego sposób bycia wymuszał na księżach, by zdecydowali, co jest dla nich ważne: uczciwość, prawda, ideały ewangeliczne czy troska, żeby dalej być proboszczem, awansować, mieć święty spokój i być dobrze postrze-

ganym. Swoim grubiaństwem, przemocowością i patologicznymi działaniami arcybiskup niejako zmuszał do tego.

Albo obojętność, albo reakcja, albo koniunkturalizm?

Nie było miejsca na obojętność. W praktyce konkretne sytuacje oznaczały, że albo stawiam opór i głośno mówię, że tak nie wolno, że to jest wbrew Ewangelii, albo popieram i akceptuję, a nawet jeśli milczę, to w gruncie rzeczy zgadzam się i przyzwalam na takie działania.



→ **Nie można powiedzieć: nie widziałem, bo byłem zajęty swoją parafią?**

Moim zdaniem każdy z księży w Gdańsku, który mówi, że nie miał świadomości, co się dzieje, nie mówi prawdy. Zwłaszcza ci, którzy byli najbliżsi arcybiskupa, czyli kuria, seminarium, proboszczowie, dziekani. Tę konieczność określenia się nazywam paradoksalnie największą „zasługą” abp. Głódzia, ponieważ człowiek w życiu potrzebuje momentów, w których szczerze odpowie najpierw sam sobie, a potem także na zewnątrz, co jest dla niego ważne. Niestety większość księży wybrała opcję milczenia, zgody albo robienia na tym wszystkim kariery. Bardzo niewielu zdołało zareagować sprzeciwem, a ponieważ było ich niewielu, szybko ich pacyfikowano. Istniały trzy strategie. Najpierw był „kij” (zastraszenie), jeśli kij nie działał, to „marchewka” (obłaskawienie), a jak i to nie działało, trzeba było się gościa pozbyć.

Księdza ta sytuacja zastała jako prorektora seminarium.

Szczerze mówiąc chciałem skorzystać ze zmiany arcybiskupa, żeby odejść z seminarium i zająć się bardziej pracą naukową. Oczywiście słyszałem już wcześniej, kim jest abp Głódź, czarne wizje przedstawiano nam z różnych stron. To sprawiło, że byłem ciekaw, jak faktycznie będzie, i postanowiłem zostać w seminarium jeszcze rok. Przez ten rok z bardzo bliska mogłem obserwować jego zachowania.

Seminarium jest w skrzydle tego samego gmachu?

Tak. Po krótkim czasie abp Głódź przeniósł się do tej części, w której było seminarium, więc był obecny na posiłkach i wszystkich uroczystościach. Jeśli miałbym go ocenić przez pryzmat moich prywatnych kontaktów z nim, to nie mogę powiedzieć, by np. przeklinał czy krzyczał. Osobiście nie widziałem takich akcji, o jakich mi opowiadano. Natomiast nie mogę tych opowieści kwestionować. Zauważyłem, że istotne były przede wszystkim sprawy materialne i wizerunkowe. Na przykład arcybiskup, znudzony w trakcie spotkania z zarządem seminarium słuchaniem o tym, jak pracujemy z klerykami, zadał mi tylko jedno pytanie: czy ksiądz musi nosić brodę? Później zaczął w seminarium przedstawiać me-



KS. ADAM ŚWIEŻYŃSKI (ur. 1974) jest duchownym archidiecezji gdańskiej, doktorem habilitowanym nauk humanistycznych w zakresie filozofii. Zajmuje się filozofią religii i zagadnieniami z pogranicza nauki i religii. Jest profesorem UKSW w Warszawie. Członek Komitetu Nauk Filozoficznych Polskiej Akademii Nauk.

ble na korytarzach, przewieszał obrazy, zmieniał, często osobiście, wystrój pomieszczeń. Najpierw mnie to nawet bawiło, a potem zaczęło drażnić, ale to nie były sprawy istotne, choć trochę groteskowe. Gdy jednak dowiedziałem się, że arcybiskup zarządził, bez porozumienia z kimkolwiek, że kaplica seminaryjna, która była miejscem modlitwy kleryków od początku istnienia seminarium, przestaje być kaplicą seminaryjną, a ma się nią stać obecna aula, zapaliło mi się czerwone światło. Całe pokolenia księży wychowały się i modliły w tej kaplicy, to miejsce ważne także w sensie emocjonalnym, w którym można przypomnieć sobie ważne doświadczenia dotyczące relacji z Bogiem. I nagle abp Głódź zmienia sobie to ot tak. Ale jakoś nikt z księży się nie sprzeciwił!

Od początku nikt się nie sprzeciwiał?

Gdy spotkałem nowego arcybiskupa pierwszy raz przy posiłku, jeszcze przed ingresem, robił wrażenie człowieka, który jest bardzo niepewny i wręcz boi się, jak zostanie przyjęty w nowym środowisku. Był uprzedzająco grzeczny i wycofany. Oczywiście później, gdy się zorientował, że nic złego go tu nie czeka i że jak krzyknie, to wszyscy kładą uszy po sobie, stopniowo przejął inicjatywę.

Mogło być inaczej?

Gdyby reakcja środowiska księży była inna, nie mógłby sobie pozwolić na to, co robił. Zawsze księżom w Gdańsku powtarzałem, gdy docierały do mnie ich narzekania i skargi: to jest wasza wina, że Głódź jest taki. Wyście mu na to pozwolili, wyście go takim wręcz stworzyli, będąc biernymi albo podejmując z nim współpracę przy działaniach, które były ewidentnie szkodliwe.

A o co poszło w Księdza przypadku?

Po roku czułem, że nie mam w seminarium czego szukać, bo arcybiskupa wizja seminarium jest bardzo daleka od tego, czym seminarium być powinno. Co więcej, miałem wrażenie, że jesteśmy na kolizyjnym kursie i prędzej czy później musi między nami dojść do jakiegoś katastrofalnego zderzenia. Dlatego wykorzystałem sytuację końca roku akademickiego i zwróciłem się o zmianę. W tym samym czasie rektor seminarium dowiedział się, że przestaje być rektorem. Ogłoszono to w dniu święceń kapłańskich, który był praktycznie ostatnim dniem działania seminarium przed wyjazdem kleryków na wakacje. Czyli nawet nie było możliwości, żeby po 10 latach jego pracy jako rektora zorganizować pożegnanie i podziękować mu. W wielu kwestiach się z nim różniłem, nawet kłóciłem, ale miałem do niego szacunek. Powiedziałem: nie! Naprawdę zwołałem kolegów. Rektor marzył zawsze o starym, stojącym zegarze, więc kupiliśmy taki zegar i postawiliśmy zapakowany w czasie śniadania po mszy prymicyjnej, w której uczestniczyło całe seminarium. Poprosiłem o głos, podziękowałem rektorowi w imieniu całego seminarium i wręczyliśmy mu ten prezent. Abp Głódź był wściekły, obecny na śniadaniu abp Gocłowski przerażony, a rektor szczęśliwy i wzruszony. Po czym poszedłem na umówioną wcześniej rozmowę z abp. Głodziem na temat mojego odejścia. Byłem przekonany, że on po tym wszystkim wpadnie w furję. Tymczasem rozmowa była spokojna, nie podniósł nawet głosu. Twierdził, że nie ma mnie kim zastąpić w seminarium. Naciskałem, ale nie ulegał, więc w końcu powiedziałem, że zostanę jeszcze na rok, ale proszę, aby ograniczył moje obowiązki, bym mógł zająć się bardziej pracą naukową. Wtedy on wstał i obrażonym głosem powiedział: „To ja nie będę stawał księdzu na drodze”.

Następnego dnia dostałem dekret, w którym zwalniał mnie z wszystkich funkcji i zajęć w diecezji i nie dawał żadnego innego przydziału, miejsca do zamieszkania – nic. Wrzucił mnie w diecezjalny niebyt.

Protestował Ksiądz?

Gdybym się bardzo uparł, mógłbym otworzyć Kodeks Prawa Kanonicznego i pokazać, jakie są jego obowiązki wobec mnie. Między innymi zapewnienie mi miejsca do mieszkania i środków do życia jako księdzu. Nie zrobiłem tego, bo wiedziałem, że w mojej sytuacji to nie ma sensu.

Byliście potem w kontakcie?

Gdy nosiłem się z zamysłem bycia pustelnikiem, zwróciłem się do jego sekretarza z prośbą o spotkanie z arcybiskupem w tej sprawie. Dostałem odpowiedź, że arcybiskup się ze mną nie spotka. Żadnego kontaktu już potem nie było.

Czyli poszło o błahostkę?

Wcale nie! Chodziło o coś kluczowego, mianowicie o traktowanie drugiego człowieka. Miał prawo zmienić rektora, ale nie miał prawa go poniżyć! Zwłaszcza wobec wspólnoty, w której ten człowiek 10 lat rzetelnie pracował. To jest dla mnie sprawa fundamentalna. Wszystko, co potem działo się w diecezji, oraz sposób traktowania przez niego ludzi, świeckich i księży, wynikało z braku elementarnego szacunku dla drugiego człowieka. Poniżanie, mobbing, wyzwiska – to był zewnętrzny wyraz jego pogardy, wielokrotnie okazywanej różnym ludziom.

W Gdańsku jest nowy metropolita.

Spodziewa się Ksiądz zmiany swojej sytuacji?

Obecnie nie. Dwukrotnie spotkałem się z abp. Tadeuszem Wojdą. Raz było to spotkanie na początku jego urzędowania. W gronie innych księży chcieliśmy przedstawić sytuację, jaka miała miejsce za jego poprzednika, i wyrazić oczekiwania, żeby się do tego ustosunkował publicznie, zwłaszcza wobec księży, nazywał rzeczy po imieniu i wyraźnie wskazał, jakie postawy były właściwe, a jakie nie. To nie nastąpiło. Drugie spotkanie było prywatne. Jak wspomniałem, chciałem zostać pustelnikiem, więc zwróciłem się do swojego arcybiskupa, by przeprowadzić to formalnie. Niestety wcześniej

Człowiek potrzebuje
w życiu takich momentów,
w których musi szczerze
odpowiedzieć sobie,
mimo ryzyka,
co jest dla niego ważne.

umówiona rozmowa wypadła krótko po moim liście otwartym, który do niego napisałem. Była to moja reakcja na jego list do księży w diecezji, w którym odpowiedział na wspomniane pierwsze spotkanie, a właściwie oskarżył tych, którzy zachowali się uczciwie i porządnie, że są winni podziału i niezgody. Nie wytrzymałem, a mój list otwarty ukazał się w „Więzi”. Miał pretensje, że go napisałem, a nie przyszedłem do niego. Jego list był odpowiedzią na spotkanie, z którego nic pozytywnego nie wynikło, i nawet pogorszył sytuację, więc po co miałem przychodzić? Usłyszałem też, że zasięgnął o mnie języka na uczelni i dowiedział się, że tam też „są ze mną kłopoty”, bo „mam trudny charakter”. Jeśli nowy biskup nie próbuje się niczego dowiedzieć bezpośrednio ode mnie, tylko bazuje na cudzych opiniach, to pozostało mi tylko zakończyć spotkanie. To było trzy lata temu i potem nie mieliśmy już bezpośredniego kontaktu.

Nie na taką zmianę w Gdańsku Ksiądz czekał?

Biskup się zmienił, ale w mojej ocenie nie zmieniło się w diecezji to, co najistotniejsze w kontekście niedawnej przeszłości, czyli stosunek do prawdy, trudnej i niewygodnej. Owszem, nowy arcybiskup jest kulturalny, nie przeklina, jak jego poprzednik, rozmawia z uśmiechem na ustach. Natomiast sposób reagowania na rzeczywiste problemy, zwłaszcza wśród duchowieństwa, nie uległ zasadniczej zmianie. Uważam, że nierozliczone sprawy z ponad dziesięciu lat po bytu abp. Głódzia w Gdańsku będą się odbijać czkawką w tym środowisku. Wielu księży było ofiarami przemocy słownej i wynikającej ze złe realizowanego przełożenia i sprawowania władzy, a byli też tacy, którzy na tym środowisku korzystali dla własnej korzyści.

Jak być księdzem we wspólnocie, która tak łatwo pęka i porzuca?

Uważam, że ogromna większość odejść księży nie jest spowodowana jedynie różnymi trudnymi sytuacjami osobistymi, lecz także brakiem wsparcia ze strony środowiska, w którym są i pracują. Nie znajduję w innych księżach i w biskupach wystarczającego wsparcia. Myślę, że wielu z nich dałoby radę przetrwać rozmaite kryzysy, ale w pojedynkę bardzo ciężko sobie poradzić, zwłaszcza gdy pojawia się napiętnowanie i ostracyzm, jak w Gdańsku. Nie jesteśmy jako księża kształtowani w kierunku budowania wspólnoty, i moim zdaniem dzieje się tak świadomie. Grupa księży, która nagle się zjednoczy, zacznie wysuwać jakieś postulaty lub blokować pewne rzeczy, jest kłopotliwa. Gdy środowisko jest zatamizowane, można je rozgrywać na rozmaite sposoby. Wrzuca się nas w duszpasterstwo, gdzie roboty pod sufit, a efektywność działania stanowi zasadnicze kryterium oceny bycia dobrym księdzem, nie to, czy potrafi on wejść w dobre relacje z innymi księżmi i świeckimi.

Czy otrzymał Ksiądz jakieś wsparcie w czasie kryzysu?

Doświadczyłem go przede wszystkim od osób świeckich, a jeśli chodzi o duchowieństwo, to z całej diecezji mogę tylko powiedzieć o proboszczu z parafii, z której pochodzę. On jeden do mnie zadzwonił i powiedział, że jeśli nie mam gdzie mieszkać albo potrzebuję pomocy, w każdej chwili jest gotów mnie przyjąć. Wielokrotnie później ponawiał to zaproszenie. Nie musiałem z niego korzystać, ale to był dla mnie bardzo ważny gest.

Czy łatwiej jest zostać księdzem dystryktem, jak się ma inny zawód?

Byłem w szczęśliwej sytuacji, bo gdy znalazłem się poza diecezją, pracowałem na UKSW już od kilku lat. Dzięki temu miałem pracę, z której mogłem się utrzymać, ale poza tym nic. Owszem, praca zawodowa dała mi niezależność finansową, co jest w jakimś stopniu kluczowe. Ale ta niezależność w moim przypadku była przez długi czas dosyć krucha, bo na moją pracę na uczelni musiał wyrazić zgodę mój biskup (zrobił to jeszcze abp Gocłowski). Każdy kolejny biskup w każdej chwili mógł ją cofnąć. Wiem, że abp Głódź wykonywał do poprzedniego

→ rektora telefony z oczekiwaniem, że zostaną zwolniony. Wiem, że nuncjatura, w związku z moimi wypowiedziami, też dzwoniła z takimi naciskami. Szczęśliwie poprzedni rektor tak to rozegrał, żeby mi się nie stała krzywda. Do mnie to bezpośrednio nie dochodziło, do wiedziałem się o tym od innych osób. Sprawa mogła być postawiona na ostrzu noża i mogłem zostać z niczym. Nie chciałem jednak, żeby to strach decydował o moich działaniach.

Jakie jest po tym wszystkim Księdza zaufanie do Kościoła jako instytucji?

Moje zaufanie zostało podkopane w wielu momentach. Na przykład gdy byłem u nuncjusza, abp. Celestina Migliore w sprawie abp. Głódzia, nuncjusz z własnej inicjatywy powiedział, że rozmowa pozostanie między nami. Wydawało mi się to czymś naturalnym, więc zdziwiło mnie takie zapewnienie. Po czym dowiedziałem się, że jak tylko wyszedłem, wykonał telefon do abp. Głódzia i poinformował go, o czym rozmawialiśmy. Wiem to z dwóch niezależnych źródeł, od świadków, którzy słyszeli tę rozmowę. Zatem jakie mogę mieć zaufanie do Kościoła jako instytucji? Choć nie mam jedynie negatywnych doświadczeń, pamiętam też o dobrym spotkaniu z abp. Wojciechem Polakiem czy abp. Charlesem Scicluną, którzy wysłuchali informacji na temat sytuacji w diecezji za abp. Głódzia.

Współpracuje Ksiądz z „Wiarą i Tęczę”, gromadzącą chrześcijan LGBT+. Czy dysydenci przyciągają dysydentów?

Przyznam, że wcześniej ten temat zupełnie mnie nie interesował. Trafiłem kilka lat temu na ich spotkanie. Potem wielokrotnie rozmawiałem z nimi, modliliśmy się wspólnie, piliśmy kawę. Spotkałem ludzi, którym bardzo zależy na ich relacji z Bogiem i byciu w Kościele. Są wyrzucani, piętnowani, a dalej chcą w tym Kościele być. Autentyzm ich poszukiwania Boga był dla mnie uderzający i pociągający. To nienormalne i nieewangeliczne, że nie są w stanie znaleźć dla siebie miejsca w żadnym kościele, żeby spotykać się choćby na wspólnej modlitwie. Po-

rozumieliśmy się poniekąd bez słów na płaszczyźnie duchowej i ze względu na to doświadczenie odrzucenia i bycia na marginesie. Nawet tak to sobie nazwał: chcę z nimi być, bo są na marginesie Kościoła...

Z tej solidarności ludzi marginesu wziął Ksiądz udział w błogosławieństwie osób LGBT+?

Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Błogosławieństwo odbyło się podczas nabożeństwa ekumenicznego i było zgodne z dokumentem papieskim na ten temat. Byłem przekonany, że nie będzie żadnej negatywnej reakcji czynników kościelnych, i tak się też stało. Były za to gwałtowne i pełne nienawiści reakcje niektórych ludzi. To daje do myślenia: życząc mi najgorszych doświadczeń i wyzywając, jednocześnie deklarowali, że są głęboko wierzącymi katolikami. W imię religii, w imię swojego obrazu Boga i swojego rozumienia Kościoła są gotowi zniszczyć innych ludzi. Przychodzą mi na myśl faryzeusze i arcykapłani, którzy byli gotowi posunąć się nawet do morderstwa w imię zachowania zabsolutyzowanych zasad wspólnoty religijnej.

Jaka jest Księdza nadzieja dla Kościoła w Polsce?

Nadzieja... Ostatnio współprowadziłem rekolekcje dla Kongresu Katolików i Katolików. To jest oddolny ruch, który usiłuje dokonać pewnych zmian. Obecnie dochodzą do etapu, gdy widzą, że wszystkie drzwi Kościoła-instytucji są zabetonowane i pojawia się frustracja. Powiedziałem im, że moim zdaniem należy starać się tworzyć Kościół w Kościele – czyli przestrzeń, w której poczuć się u siebie ludzie niezgadzający się na obecny sposób instytucjonalnego funkcjonowania Kościoła. Niezależnie od ambitnych celów reformowania Kościoła, należy być realistami. Stwórzmy więc taką przestrzeń dla samych siebie i dla tych, którzy jej potrzebują. W tym jest dla mnie nadzieja. Czy to zmienia cały Kościół-instytucję? Może zmieni, a może nie. Ale da miejsce w Kościele tym, którzy już się w nim nie odnajdują w jego obecnej formie kształcie.

© Rozmawiała ZUZANNA RADZIK

Na krawędzi życia i śmierci

ARTUR SPORNIAK

Czy Kościół może zaakceptować przerwanie sztucznego podtrzymywania życia i zostać wiernym piątemu przykazaniu? Papieska Akademia Życia opublikowała właśnie dokument, który mierzy się z tym zagadnieniem w stylu dotąd niespotykanym.

W WATYKANIE UKAZAŁ SIĘ WŁAŚNIE „Mały leksykon końca życia”. Czytając autoprezentację obecną na stronie Papieskiej Akademii Życia, można dojść do przekonania, że mamy do czynienia ze zwykłym tekstem porządkującym i precyzującym zagadnienia związane z delikatną sferą etyczną. 88-stronicowa broszura, wydana na razie po włosku, zawiera – jak czytamy – „jasne definicje i nauczanie Kościoła katolickiego na temat bioetyki, w celu wyjaśnienia nieporozumień i wspierania świadomego dialogu”. Tymczasem publikacja już wywołała dyskusję i oskarżenia o zmianę doktryny Kościoła w ważnych punktach.

Prezes Papieskiej Akademii Życia i pomysłodawca leksykonu abp Vincenzo Paglia broni się, stwierdzając, że dokument potwierdza sprzeciw Kościoła wobec eutanazji i wspomaganego samobójstwa, ale jednocześnie ma na celu osiągnięcie konsensusu, który z szacunkiem uwzględni różne wrażliwości i przekonania religijne. Hierarcha ujawnił, że papież, który otrzymał egzemplarz leksykonu 8 sierpnia, wyraził uznanie dla pracy wykonywanej przez Akademię. Leksykon – zajmujący się m.in. transplantacją, kremacją i uporczywą terapią – trafił także do wszystkich włoskich biskupów,

z sugestią, by rozpropagowali go wśród księży. Nie oni jednak są ostatecznymi adresatami publikacji – są nimi katolicy biorący udział w publicznych dyskusjach na trudne bioetyczne tematy.

Ignorowany głos

A takie głośnie i gorące debaty co jakiś czas wybuchają w światowych mediach. Zauważa je Paglia we wstępie do leksykonu: „Jest faktem pozytywnym, że cała wspólnota czuje się zaangażowana i wezwana do wspólnego wypracowywania sensu najdelikatniejszych wydarzeń egzystencji”. Dyskusje te zwykle wieńczą są prawnymi precedensami. Dlatego mają duże społeczne znaczenie i abp Paglia chce, by głos katolików był brany w nich pod uwagę. Czy tak się dzieje?

Przewodniczący Papieskiej Akademii Życia nie pisze tego wprost, ale między wierszami odczytać można sugestie, że głos ten był utożsamiany do tej pory ze sztywnym doktrynalnym stanowiskiem Kościoła z oficjalnych dokumentów, odbieranym jako fundamentalistyczny i przez to niebrany pod uwagę. Paglia chciałby, żeby stanowisko katolików w publicznej debacie unikało dwóch skrajności. Zauważa: „Wkład chrześcijan dokonuje się w obrębie różnych kultur: nie z *góry* – jak gdyby posiadali prawdę daną *a priori* – ani z *dołu* – jak gdyby głosili opinie, które nie zobowiązują ich do dawania świadectwa o wspólnej sprawiedliwości”. Podejście, które proponuje, trudne jest do precyzyjnego ujęcia, dlatego łatwo je atakować. W każdym razie nie tylko chrześcijanie mają coś ważnego do powiedzenia i oni także czegoś się w takich dyskusjach uczą. „W ten sposób ustanawia się relacja wzajemnego uczenia się między wierzącymi i niewierzącymi” – pisze abp Paglia i przypomina, że w perspektywie chrześcijańskiej ważne jest rozumienie człowieka „uwikłanego w Ewangelię Jezusa”.

Co to jednak znaczy, gdy ktoś staje przed pytaniem, czy przez lata podtrzymywać życie bliskiej osoby znajdującej się w stanie wegetatywnym?

Zmiana nauczania?

Na łamach portalu „The Pillar” bioetyk Charles Camosy przypomina, że dotychczas Kościół stał na stanowisku, iż sztucznego odżywiania i nawadniania nie wolno przerywać, o ile nie szkodzą



Abp Vincenzo Paglia na schodach nowej Bazyliki Świętych Piotra i Pawła, Rzym, lipiec 2023 r.

pacjentowi. Tymczasem leksykon sugeruje, że można je uznać w pewnych przypadkach za uporczywą terapię, którą wolno, a nawet należy przerwać. „W rzeczywistości to, co jest wprowadzane do organizmu, jest przygotowywane w laboratorium i podawane za pomocą urządzeń technicznych, na receptę i poprzez interwencję medyczną. Nie są to zatem proste procedury pielęgnacyjne i lekarz jest zobowiązany do uszanowania woli pacjenta, który odmawia ich podjęcia w sposób świadomy, nawet wyrażony z góry, w oczekiwaniu na możliwą utratę zdolności do wyrażania siebie i wyboru” – czytamy w leksykonie.

Zdaniem Camosy’ego leksykon zamiast pomagać w poruszaniu się w „gąszczu zawiłych kwestii” związanych z końcem życia, jak zapowiada we wstępie abp Paglia, „w najlepszym razie wprowadza zamieszanie w najbardziej delikatnych przypadkach”.

Granice dialogu

Czytając leksykon, warto zdawać sobie sprawę, czym on w istocie jest. Papieska Akademia Życia nie należy do urzędów kurii rzymskiej, nie wypowiada się zatem wprost w imieniu papieża. Można powiedzieć, że jest jego think-tankiem, który może proponować rozstrzygnięcia bardziej odważne niż np. Dykasteria Nauki Wiary. W tym sensie o wiele głębiej może wejść w dialog ze światem, stając się głosem Kościoła lepiej przez świat „słyszonym”.

Abp Paglia wierzy w skuteczność dialogu (biorącego pod uwagę m.in. współczesną wiedzę) w docieraniu do skomplikowanej prawdy, natomiast nie wierzy, że Kościół ma dostęp do trudnych prawd zagwarantowany „z góry”. Poważnie traktuje też współczesne rozstrzygnięcia prawne. Gdy przyjrzymy się epilogom wspomnianych wyżej głośniejszych spraw, wszystkie skończyły się sądową decyzją o zaprzestaniu sztucznego karmienia.

W 1990 r. Amerykanka Terri Schiavo doznała ciężkiego uszkodzenia mózgu w wyniku zatrzymania krążenia, które wystąpiło prawdopodobnie w związku z zaburzeniami metabolicznymi spowodowanymi bulimią. Po 8 latach mąż wszedł w spór sądowy z rodzicami Terri o odłączenie jej od sztucznego żywienia. Sprawę wygrał w 2005 r., po wielu bataliach sądowych, w które zaangażował się Kongres i prezydent USA.

Równie gorącą dyskusję wywołał we Włoszech przypadek Eluany Englaro, która wpadła w stan wegetatywny w wyniku wypadku w 1992 r. Przez 17 lat była podtrzymywana przy życiu przez sztuczne odżywianie.

Wypadkowi uległ, popadając w stan wegetatywny, także Francuz Vincent Lambert w 2008 r. W 2019 r. na wniosek żony sąd pozwolił wstrzymać sztuczne odżywianie.

Rzeczywistość stawia przed dylematami, które wcale nie jest łatwo rozstrzygać przy pomocy – zdawać by się mogło – precyzyjnych rozróżnień. ©

Batalion kapelanów

TEKST I ZDJĘCIA **ANTONINA PALARCZYK**

W piwnicach wciąż zamieszkałych bloków, w medycznych punktach stabilizacyjnych i na opustoszałych ulicach przyfrontowych miast – wszędzie tam zostawiają swój ślad.

KAŻDY DZIEŃ ZACZYNA SIĘ TU OD MAŁEGO koncertu. W niedużej salce przy magazynie pomocy humanitarnej, w przemysłowej dzielnicy Zaporozia we wschodniej Ukrainie. Czterdzieści kilometrów od frontu i dwieście od okupowanego Mariupola. Nad grupą członków Kapelańskiego Batalionu „Mariupol” góruje głos i niedźwiedziowata sylwetka ich lidera, Giennadija Mochnenki, pastora zielonoświątkowego Kościoła Dobrych Przemian. Teraz z gitarą w ręce – śpiew jest wśród jego wiernych jedną z najczęstszych form modlitwy.

– A u artylerzystów to jest taki hit, że mówię wam! Ogień – mówi i intonuje kolejny kawałek, tym razem zupełnie niereligijny, ze skandowanym refrenem: „Wroga trzeba bić!”. Nad głowami śpiewających wiszą flagi Ukrainy, Mołdawii, Czecheńskiej Republiki Iczkerii, Polski oraz Watykanu i Stanów Zjednoczonych, szczególnie pokrywające ściany.

Modlitwa z papieżem

Z Watykanem Giennadij Mochnenko jest, jak na duchownego niewielkiego Kościoła z obwodu donieckiego, dość mocno związany. Tak pisał o wizycie zesłej zimy w Stolicy Apostolskiej w swoich mediach społecznościowych: „Zelenski przyjechał do Bidena prosto z Bachmutu, tak ja, z piekła wojny, przyjechałem do Papieża Franciszka. I jak Prezydent Ukrainy naruszyłem oficjalny protokół, przyjechałem do Watykanu w swoim codziennym, frontowym ubraniu. Spotkanie z Papieżem zacząłem od przeprosin. Jednak od 24 lutego nie mam w szafie żadnych garniturów, półbutów ani muszek. Nie mam ani szafy, ani domu. Papież odpuścił mi ten grzech. To była bardzo interesująca i szczegółowa rozmowa. O wielu rzeczach, ale przede wszystkim o Ukrainie, o moim rodzinnym Mariu-

polu. Modliliśmy się (przypomnę, że jestem biskupem protestanckim) razem z papieżem Franciszkiem za ojczyznę. Nigdy nie myślałem, że pewnego dnia Papież poprosi mnie o poprowadzenie modlitwy, a po moim »Amen« będzie ją kontynuował ze łzami w oczach. Podzieliłem się wizją powojennej odbudowy Ukrainy. Wyznaję, że jestem szokowany, że pomimo swojego zapracowania, w przeddzień pogrzebu swojego poprzednika, Benedykta XVI, Franciszek znalazł prawie półtorej godziny na spotkanie pozabiznesowe z ukraińskim kapłanem”.

Rozpoznawalność Giennadij zyskał na długo przed wojną, prowadząc w Mariupolu spory dom opieki „Republika Pielgrzyma: dla dzieci ulicy”, sam wywodząc się z rodziny alkoholików zaniedbującej potomstwo. Własnego potomstwa Giennadij Mochnenko ma ponad trzydzieści, z czego trójka biologicznych dzieci i reszta adoptowanych. Jedna z córeczek pastora zginęła w trakcie ewakuacji z oblężonego Mariupola zimą 2022 r., kilkanaście z dorosłych dzieci aktywnie służy obecnie w ukraińskich siłach zbrojnych. A Giennadij razem z nimi przed wojną prowadził w amerykańskim stylu jedną z wielu kampanii w swoim dorobku (poświęconych m.in. walce z narkotykami), propagując adopcyjne rodzicielstwo. Zapożyczony w Ukrainie pomysł wyścigu rowerowego „Ukraina bez sierot” rozlał się na cały świat.

Po rozpoczęciu wojny Giennadij wstąpił w 2015 r. do Międzywyznaniowego Batalionu Kapelanów służących w Siłach Zbrojnych Ukrainy. Teraz kontynuuje posługę w Kapelańskim Batalionie „Mariupol”, na którego czele stoi.

Za Hitlera dwa procent zniszczeń

– Artiom, chodźże tu wreszcie! Saksofon leży, trąbka leży, a ja tu za was odwalam

robotę! – woła tubalnym głosem Giennadij i wali ręką w pudło gitary. Ku ogólnemu entuzjazmowi Artiom, jeden z kapelanów, wyciąga z futerału saksofon i po pomieszczeniu rozplywa się melodia starej pieśni żydowskiej. „Hawa Nagila” to żelazny punkt codziennych koncertów w bazie batalionu. Razem z repertuarem sowieckich piosenek, które są tu jedyną pozostałością z czasów Sojuza.

– Dobra, teraz nowości! – ogłasza Giennadij. – Kto gdzie był i co robiliście wczoraj?

Z przerwami na śpiew kapelani opowiadają, czym zajmowali się poprzedniego dnia. Kto rozwoził zaopatrzenie medyczne do punktów stabilizacyjnych, kto zajmował się ewakuacją cywili; nad czym się zadumali.

– Zawieźliśmy chłopakom do Orichowa drona z termowizją, potem przyszedł i czas na najlepsze zajęcie. Zejście do jakiejś piwnicy, do okopu albo ziemianki, żeby wypić herbatę i porozmawiać z chłopakami. Bo mamy o czym mówić i mamy się czym dzielić.

– Wczoraj w piwnicy w Orichowie spotkałem staruszkę, która miała prawie dziewięćdziesiąt lat. Była małym dzieckiem w czasie drugiej wojny światowej; pamięta, jak naziści wzięli Ukrainę i ówczesne zniszczenia Orichowa, zdecydowanie mniejsze od tego, co Rosjanie zgotowali miastu. Ludzie bez prądu i świeżego powietrza żyją w trzęsących się w posadach piwnicach pod ruinami. Dożywają tam swoich dni bez swoich dzieci i wnuków. Hitler umiał narobić najwyżej dwa procent tych zniszczeń, za jakie odpowiedzialna jest Rosja.

Wojenny humor

Opowieści przerywa skinienie Giennadija w stronę jednego z kapelanów, Olega. Ten zaczyna odmawiać na głos modlitwę, wszyscy w krąg zastygają w milczeniu.

– Panie, Ojcze Niebieski, klękamy przed Tobą. Modlimy się o jedność, modlimy się za naszą Ukrainę. Zwycięstwo może przyjść tylko od Ciebie, Panie. Jesteś naszą wiarą, nadzieją i miłością. Modlimy się także za naszych żołnierzy na pierwszej linii frontu. Za tych, którzy są w niewoli. Prowadź ich swoją ręką, Panie. Modlimy się także za nasze rodziny i przyjaciół, za nasze relacje, przyjaciół, sponzorów. Dziękuję za wszystko, Tatusiu.



Pastor **GIENNADIJ MOCHNENKO**, lider Kapelańskiego Batalionu „Mariupol”, z wiernymi w salce magazynu pomocy humanitarnej w Zaporozżu, marzec 2024 r.

Poniżej:

ARSENIJ, jeden z kapelanów, dostarcza pomoc humanitarną mieszkańcom Hulajpola, marzec 2024 r.



Modlimy się za Twój Kościół, Panie. Za pasterzy, za kapelanów, za duchownych. Dziękujemy dzielnym chłopakom z RDK (Rosyjskiego Korpusu Ochotniczego) i Legionu „Swoboda Rosji”, którzy odważyli się sprzeciwić reżimowi. Chwała Tobie, Panie. W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego. Amen!

Po skończonej modlitwie ludzie wychodzą na podwórze przed magazyn, wszyscy wystawiają twarze do słońca.

– Tłum ludzi w mundurach, prosimy się o nieszczęście. Jeszcze ktoś z drona zobaczy – mruczy na ten widok Arsenij, jeden z kapelanów. Na jednym jego ramieniu widać proste logo z krzyżem, symbol kapelańskiego batalionu, na drugim naszywka z napisem „ukrop” i adekwatną roślinką pod nim. Bo „ukrop” oznacza koperek, a jednocześnie jest też rosyjskim obraźliwym określeniem na Ukraińców, które z czasem przeniknęło

do wojskowego humoru. Podobny los w pewnym sensie spotkał nawet nazistowską symbolikę – pojawiający się coraz częściej na naszywkach orzeł Trzeciej Rzeszy, z jedynym niuansiem polegającym na zastąpieniu swastyki w kole tryzubem – miał być humorystyczną odpowiedzią na nazywanie Ukraińców przez Rosję nazistami.

Miłość od pierwszego wejrzenia

Oksana to dobry duch magazynu. Rzadko się odzywa, z uśmiechem przemyka przez rozgadany tłum, niezależnie od otoczenia zajęta swoimi obowiązkami. Ubrana w prosty mundur z brytyjskim wzorem kamuflażu, jako jedyna z kilku kobiet znajdujących się w okolicy. Do Kościoła Dobrych Zmian w Mariupolu trafiła jeszcze w 2016 r., na nabożeństwo przyprowadziła ją koleżanka.

– Zgodziłam się, powiedziałam, że zapalimy świeczki, a później pójdziemy gdzieś na kawę. Mniej więcej do tego ograniczała się wtedy moja religijność. Przyszłam pierwszy raz i to było jak pierwsza miłość – zapewnia z uśmiechem.

– To żywy Kościół. Znałam dotychczas tylko poważne oblicze prawosławnej Cerkwi, pełnej ikon i kadzidła. Sam Kościół Dobrych Zmian znajdował się w budynku byłego kinoteatru, została w nim jeszcze scena. Pachniało kawą i wokół biegały dzieci. Przyszliśmy do cerkwi czy gdzie, co tu się dzieje? W cerkwi powinny siedzieć babuszki, powinny być kwiaty i mnóstwo świeczek. A tu? Ludzie rozmawiają głośno, śmieją się i piją kawę. Na scenie stoją muzyczne instrumenty. Masza, moja koleżanka, łapie się za głowę i mówi: Zapomniałam zapytać, jak znosisz głośną muzykę? Potem ze sceny rozlegają się pieśni, w sali ludzie zaczynają tańczyć. Wychodzi pastor, po raz pierwszy usłyszałam żywe słowo; pastor w prostych słowach opowiadał o narodzinach →

→ Jezusa. Kolejne niezwykle zdziwienie, dotychczas słyszałam tylko niewyraźne mamrotanie w języku starosłowiańskim, wszystkie prawosławne cerkwie w Mariupolu należały do patriarchatu moskiewskiego.

W silnie zlaicyzowanym regionie Donieckiego Zagłębia Węglowego, potocznie zwanym Donbasem, początkiem stulecia zaczęło przybywać różnej maści wspólnot protestanckich. Według statystyk ukraińskiego Centrum im. Razumkowa w okresie szczytowym, przypadającym na 2010 r., wśród mieszkańców regionu ponad trzy procent deklarowało przynależność do którejś z nich. W całej Ukrainie liczba ta nie przekraczała dwóch procent. Statystyka obejmuje całą gamę wspólnot, od charyzmatycznych, przez Adwentystów Dnia Siódmego, aż po mormonów.

Oksana: – Od tej pory regularnie pojawiałam się w kościele. Aż przyszedł 24 lutego i zagłada naszego miasta. Dla nas, „mariupolców”, świat stanął wówczas otworem, mogliśmy uciec w każde miejsce. Ja zatrzymałam się tutaj, w Zaporozu, gdzie żyje teraz większość wierznych Kościoła Dobrych Zmian, tworząc kapelański batalion. Bo stąd najbliższe do Mariupola.

Nalot

Około piątej rano Zaporozem wstrząsa seria wybuchów. Dość szybko wiadomo, że poważnie oberwała zaporoska elektrownia wodna znajdująca się na Dnieprze. Widoczny z daleka czarny dym kładzie się na mieście. W piwnicznym schronie bloku, gdzie mieszkam, spotykam tylko dwóch sąsiadów.

– Nie masz może papierosów? – pyta młodszy, zaspany i nieogolony. – Przepraszam, że jestem w samych majtkach.

Drugi dzwoni do żony i popędza ją, żeby czym prędzej też zeszła do piwnicy.

– A daj też zadzwonić. Można po te fajki? – Przebiera ze zniecierpliwieniem nogami pierwszy.

– Można, tylko szybko i zaraz wracaj – mruczy sąsiad i przegląda powiadomienia z komunikatora Telegram. – W Krzywy Róg też walnęli. I w Charków!

Piknięcie i jednoczesny komunikat z kilku kanałów: Zaporozie, rakietą do was!

– No cóż, wygląda na to że przejazd na prawy brzeg dzisiaj nie przez zaporę.



Pastor Giennadij Mochnenko (z lewej) wręcza odznaczenie batalionu amerykańskiemu wolontariuszowi, Zaporozie, marzec 2024 r.

– Sąsiadka, wpadnij na kolację, będą dzisiaj gołąbki.

– Aż wypadł mi ze ściany wentylator, tak rąbnęło – opowiada z kolei Arsenij, gdy o zwyczajowej siódmej jesteśmy już w samochodzie, w drodze do magazynu. I w korku na okrężnej drodze przez wyspę Chortycę, z którego każdy pilnie obserwuje kłęb dymu znad wyrwy zięjącej w ścianie hydroelektrowni. – A tak długo mieliśmy spokój w Zaporozu.

Pastor ogłosił dzisiaj wychodne, w związku z kryzysowym chaosem, który spadł na miasto. Po magazynowym obejściu kręci się tylko pięć osób, w tym Oksana i Arsenij, którzy przygotowują busa na wyjazd do Hulajpola, położonej sto kilometrów od Zaporozia niewielkiej przyfrontowej miejscowości – jednego z całej listy miejsc odwiedzanych regularnie przez kapelanów. Do bagażnika ładowane są kartony z zaopatrzeniem medycznym dla punktu stabilizacyjnego oraz drobiazgami pierwszej potrzeby do rozdania, które zawsze przydają się podczas wyjazdu.

Biznesmen kapelanem

Do wojny Arsenij wiódł beztroskie życie, zjeździł ponad trzydzieści krajów, lubił szczególnie wyspy. Miał spory biznes w Tokmaku – obróbka metalu, rolnictwo i do tego niemal setka pracowników.

Teraz Orichiw–Tokmak to główny kierunek na zaporoskim odcinku frontu, okupowane miasto jest tutaj najważniejszym rosyjskim węzłem i zdobycie go miało być kluczowe dla zakończonej fiaskiem letniej kontrofensywy.

Z fortuny Arsenija niewiele zostało, Rosjanie rozkradli cały majątek, sporą część sprzętu wywożąc na Krym, jeszcze zanim spłonął w ukraińskich ostrzałach. Jeden z jego współpracowników, który nie zdecydował się wyjechać, został postawiony przed rosyjskim sądem i wlepili mu piętnaście lat z artykułu o współuczestnictwie w terroryzmie. Za produkcję metalowych elementów sprzedawanych ukraińskiemu wojsku.

– To wszystko kiedyś – opowiada Arsenij zza kierownicy busa przemierzającego zaporoskie peryferia, o których Bóg zapomniał. – Teraz jestem w Kościele Dobrych Zmian. Kościół specyficzny, jak na warunki Ukrainy, ale dla Europejczyków i zwłaszcza Amerykanów, jacy nas odwiedzają, zupełnie zwyczajny, odpowiadający ich standardom. Czemu trafiłem właśnie tu, a nie do którejś ze świeckich organizacji wolontariuszy? Bóg mnie tu przywiódł i poznał z tymi ludźmi. Miesiąc temu przechrzciłem się z prawosławia.

W rękach każdej napotkanej tego dnia osoby Arsenij zostawia paczkę z produktami pierwszej potrzeby.

– Choć nie zawsze spotykamy się przy tym z dobrym słowem – opowiada. – Kiedyś po wręczeniu jednej z babć paczki usłyszałem, jak mruczy pod nosem: „Suki, obyście wszyscy pozdychali”. To niestety częste myśli wśród odwiedzanych przez nas starszych ludzi, z których część nie ruszy się ze swoich domów. Czekają na Rosjan.

W piwnicy jednego z hulajpolskich bloków, w medycznym punkcie stabilizacyjnym i na opustoszałych ulicach – wszędzie tam kapelan zostawi swój ślad, porozmawia. Poza paczkami przewozi tym razem ponure wieści z Zaporozia. Długo uspokaja spotkaną na drodze wyjazdowej z miasta starszą panią. Ta dopiero od Arsenija dowiaduje się o dwóch rakietach, które uderzyły w zaporoską hydroelektrownię, i wybucha płaczem. Hulajpole, odcięte na znacznym terenie od internetu, informacje o wydarzeniach zdobywa jako ostatnie, od przyjezdnych.

© ANTONINA PALARCZYK

WOJCIECH

Bonowicz:

Folder reklamujący ciszę



TAK, TAK, TO WAŻNE. MIEĆ PRAWDZIWE wakacje, wypocząć, zapomnieć na chwilę o tym, co w pracy, co w świecie. Zrobić sobie wolne od tego, co niewolne, co nas w taki czy inny sposób oplątuje, osacza, wpędza w po-

czucie winy, w bezradność, w absurd. Wakat to pusta, niezadrukowana strona. Ktoś coś bez przerwy w nas zapisuje, wypełnia nasze wewnętrzne stronicę – pora na czytą kartkę, kartkę odpoczynku, nawet lenistwa, leżenia brzuchem do góry, z oczami zwróconymi w niebo. Albo, jeszcze lepiej, zamkniętymi. Kartkę wyzwolenia, uspokojenia, rezerwy, ulotkę niezawierającą żadnej oferty, folder reklamujący ciszę i przerwę w dopływie informacji.

No tak, ale czystych kart nie ma. Cokolwiek by mówili filozofowie, nawet kiedy przychodziliśmy na świat, wcale nie byliśmy czysti ani czyste. Zjawiliśmy się z bagażem odziedziczonym, ze zmysłami, które już zdążyły to i owo schwytać i zapamiętać, jeszcze niewiele umiejący wyrazić – ale na pewno nie jako niezapisana tablica. A potem od razu na tej tablicy zaczęło się bazgrolenie i mazanie, i bazgrolenie od nowa, i znowu mazanie.

I tak bez końca. Co rusz ktoś przychodził i coś zapisywał, dobrze, jeśli to nie były rzeczy wpędzające w smutek czy poczucie winy, jeśli pomogły nam zorientować się w tym czy owym, a najlepiej, jeśli dały nam owe zapisy wsparcie na długie lata.

Pustka? Ależ skąd! Głowy (weźmy tylko je pod uwagę) mamy pełne myśli – myśli własnych, myśli podrzuconych, myśli-odkryć, ale też myśli do bólu banalnych, myśli, które „za nas myślą”, myśli, co się dopiero rodzą i nie mogą urodzić, i tak dalej. Każdy i każda z nas jest wielką kakofonią i tylko nielicznym udaje się w tym zaprowadzić porządek. Czysta kartka to ideał, marzenie, niewyobrażalny – i niemożliwy – luksus. Wczasy *all excuse me*, zamiast *all inclusive*, gdyby te pierwsze rzeczywiście istniały, a nie były jedynie przejęzyczeniem. (Przykład owego przejęzyczenia podrzucił mi Grześ Kasdepke.) Ale na to wszystko nakłada się jeszcze coś. Świat bez nas się zawali – taka jest prawda.

Odpoczynek nie może być niefrasobliwością. Musi być odpoczynkiem od śmietnika, ale nie może być odpoczynkiem od świata jako takiego. Największym wyzwaniem dla życia w ogóle, a życia na wakacie w szczególności, jest umiejętność zdystansowania się od tego, co zbędne, a co „pcha się na afisz”, wypełnia kanały komunikacyjne, niczego istotnego nie komunikując. Od tego, co nas pobudza, rozbudza, ale bynajmniej nie budzi z prawdziwie głębokiej drzemki. Wakat ma nam uświadomić, jak wiele tego śmiecia się wokół nas gromadzi, jak wiele przenika do wnętrza, sprawiając, że coraz częściej nie widzimy nawet tego, na co patrzymy. Urlop jest, a na pewno powinien być okazją do skorygowania poglądu choćby w jednej tylko, za to ważnej sprawie. Gdyby każdy wolny czas leczył nas z jednej iluzji, byłibyśmy dłużej zdrowsi i silniejsi, to na pewno.

Tak, trzeba uciekać. Tak, nie ma ucieczki. Ucieczka od odpowiedzialności jeszcze nigdy się nie powiodła. A dokładniej – nawet gdy jedni uciekają, inni muszą za to zapłacić. Odpowiedzialność zawsze jest zbiorowa. Na odkładaniu spraw na przyszłość zbudowano lwią część współczesnej polityki, także w Polsce. Przyszłość zapłaci, ale nas to już nie będzie nic obchodzić, my będziemy już na wakacie absolutnym, rachunki przyjdą na adres, pod którym od dawna nie będziemy mieszkać. My płacimy za błędy przeszłości, dlatego przyszłość nie miałaby zapłacić za nasze?

Zresztą, nie przesadzajmy, rachunki nie będą przesadnie wysokie... Tak, niemało jest takich, którzy twierdzą, że nic szczególnego się nie dzieje. No, może ta wojna zbyt blisko... Ale gdyby nie wojna, to przecież wszystko byłoby w porządku.

„Może i tak – ale nie bardzo”, jak mawiał majster Klasa na budowie, na której pracowałem, a robotnicy przychodzili do niego z różnymi pomysłami, jak coś zrobić szybciej i taniej. Majster Klasa wiedział, że pewnych rzeczy nie da się zrobić na skróty, a pewnych praw – na przykład praw fizyki – oszukać. No więc i ja namawiam do tego, żeby czas wolny był czasem opróżniania śmietnika, a nie dosypywania nowych śmieci. Czasem, po którym będziemy widzieć ostrzej, myśleć jaśniej, wnioskować precyzyjniej. Wyleczyć się z choć jednej iluzji. Czy to mało? ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia”.

BRUDNA FLOTA IMPERIUM

Zdezelowane i nieubezpieczone tankowce wożą rosyjską ropę, łamiąc zachodnie sankcje. Są także na Bałtyku.

FILIP RUDNIK



DO KOLIZJI DOSZŁO 2 MARCA W DUŃSKICH cieśninach na południe od Kopenhagi. Tankowiec „Andromeda Star”, zmierzający do rosyjskiego portu niedaleko Sankt Petersburga, zderzył się z niewielkim kontenerowcem, uszkadzając część własnego kadłuba. Tankowiec był pusty. Do Rosji miał przybyć 4 marca i dopiero tam załadować ropę. Tylko dlatego uniknięto rozlania się surowca w wąskich cieśninach, co doprowadziłoby do katastrofy środowiskowej.

Krótko po kolizji załoga jednostki przekazała Duńczykom dokumenty ubezpieczenia statku, na podstawie których wypłać się odszkodowanie za wyciek łądunku. Okazało się, że polisa była nieaktualna. Co więcej, podjęte przez dziennikarzy Bloomberga próby nawiązania kontaktu z rzekomym właścicielem statku – indyjską firmą zarejestrowaną w najprawdopodobniej nieistniejącym budynku – również spełzły na niczym.

Gdyby kolizja skończyła się rozlaniem surowca, trudno byłoby znaleźć kogoś, kto by za to zapłacił.

Niebezpieczne i nieubezpieczone

Mogłoby się wydawać, że w branży żeglutowej tego rodzaju lekkomyślność jest czymś wyjątkowym. Rosyjska ropa jest jednak często przewożona w taki sposób, a jednostki transportujące ten surowiec z krajów objętych sankcjami – Rosji, Wenezueli czy Iranu – nazywane są „flotą cienia”. Statki tej grupy często mają niejasną strukturę właścicielską i nie dysponują rzetelnym ubezpieczeniem. Albo wyłączają transpondery lokalizujące ich kurs, by ukryć swą działalność.

Jednostki „floty cienia” umożliwiły Iranowi sprzedaż własnej ropy i wymknięcie się z dławiącej pętli sankcji. Po rozpoczęciu pełnoskalowej agresji na Ukrainę, gdy na Moskwę nałożono obostrzenia o bezprecedensowej skali, okazały się zbawienne również dla Rosji.

Embargo i limit cenowy

Od lutego 2022 r. Zachód systematycznie rozbudowuje reżim

sankcyjny, który ma na celu uderzenie w Kreml. Jednym z jego filarów jest embargo na dostawy ropy naftowej drogą morską, wprowadzone przed niespełna dwoma laty, które ograniczyły dochody Moskwy z eksportu i wyeliminowały unijną zależność od rosyjskiego surowca.

W skarbiec Kremla uderzono także za pomocą innego narzędzia, a mianowicie wprowadzonego przez kraje G7 mechanizmu tzw. limitu cenowego. Władze państw należących do grupy zabroniły własnym firmom uczestnictwa w eksporcie rosyjskiej ropy sprzedawanej po cenie wyższej niż 60 dolarów za baryłkę. Zakaz dotyczy zarówno armatorów i właścicieli tankowców, jak też firm ubezpieczeniowych i finansowych.

Wprowadzając ten mechanizm, zachodni decydenci chcieli wpłynąć na obniżenie ceny sprzedawanego przez Rosję surowca – a więc i dochodów eksportowych Kremla – przy jednoczesnym uniknięciu szoku podaźowego. Deficyt na rynkach paliwowych, spowodowany całkowitym brakiem rosyjskiej ropy, pozbawionej transportu, wywindowałyby ceny tego surowca. Rosja odpowiada przecież za około 12 proc. światowego rynku tego krytycznego węglowodoru.



Rosyjski tankowiec „Ust Ługa” blokowany przez aktywistów Greenpeace w porcie Asgardstrand koło Oslo, kwiecień 2022 r.



Wojna i sankcje

WEDŁUG DANYCH Banku Centralnego Rosji w 2021 r. eksport rosyjskiej ropy był wart 110,2 mld USD, a 68,7 mld USD pochodziło ze sprzedaży za granicę produktów ropopochodnych. Wraz z eksportem gazu ziemnego, który w 2021 r. przyniósł 61,8 mld USD, sprzedaż paliw kopalnych stanowiła aż 36 proc. dochodów budżetowych Rosji.

Głównym odbiorcą były państwa OECD, do których trafiło ok. 60 proc. z 214 mln ton rosyjskiej ropy. Na drugim miejscu znalazły się Chiny, jako odbiorca ok. 20 proc. eksportu tego surowca.

ODCIĘCIE ROSJI od znacznej części rynków europejskich sprawiło, że Kreml zaczął szukać nowych rynków zbytu. Moskwa oferowała swoje węglowodory z rabatem przekraczającym 30 proc. i długo

nie musiała szukać chętnych. W 2022 r. Turcja podwoiła import ropy do około 400 tys. baryłek dziennie. Indie w styczniu 2023 r. zakupiły rekordowe 1,8 mln baryłek (w tym roku przedłużyły kontrakt z Rosnieftem opiewający na co najmniej 3 mln baryłek miesięcznie). Znacząco wzrósł także eksport gazu i ropy do Chin. Niepokój na rynkach surowcowych wywindował tymczasem globalne ceny obu tych surowców. W rezultacie – jak wynika z danych Międzynarodowej Agencji Energetycznej – średnie dochody Rosji z eksportu ropy wzrosły z 16,4 mld USD miesięcznie w 2021 r. do 18,1 mld USD rok później.

KOLEJNY ROK nie był już dla Kremla równie udany. Wejście w życie sankcji unijnych i okre-

ślenie pułapów cenowych już w pierwszym półroczu doprowadziło do spadku dochodów ze sprzedaży węglowodorów o 36 proc. Według wyliczeń Komisji Europejskiej, sankcje i obostrzenia w obrocie gazem i ropą kosztują Rosję ok. 174 mln USD dziennie. Kreml oczywiście reaguje zmniejszeniem wydobycia, co podbija cenę, nie może jednak pozwolić sobie na zejście poniżej progów technologicznego i ekonomicznego minimum.

SANKCJE mogłyby być bardziej dotkliwe, ale ani Europie, ani USA, ani tym bardziej partnerom Moskwy z grupy OPEC+ nie zależy na pełnym wyłączeniu tego kraju z globalnego rynku surowcowego. Mogłoby to wywołać globalny kryzys energetyczny. ©P MR

Boom zakupowy

→ Zaburzenia podaży udało się uniknąć, a rosyjski surowiec był przez pewien czas sprzedawany po bardzo niskiej cenie – niższej nawet o 30 dolarów w porównaniu do innych gatunków ropy. Wydawać by się mogło, że uzależnienie od zachodniej floty i systemu ubezpieczeń jest na tyle silne, że wymusza na rosyjskich eksporterach sprzedaż poniżej wyznaczonego progu 60 dolarów za baryłkę. Mechanizm początkowo działał, co uspiło czujność zachodnich decydentów.

Niemniej, w obliczu narastającej konfrontacji z Zachodem – i braku sygnałów, aby reżim sankcyjny mógł zelżeć – Rosjanie rozpoczęli aktywny proces uniezależniania się od zachodnich firm. Tu w sukurs przyszła „flota cienia”, której wielkość od 2022 r. gwałtownie wzrosła. Tankowce o niejasnej proveniencji zaczęły wozic nie tylko ropę z Iranu czy Wenezueli, ale także tę wydobywaną w Tatarstanie czy na Syberii.

W 2022 r. na rynku pojawili się kupcy zainteresowani pozyskaniem dużej liczby statków z drugiej ręki. Stan techniczny nie grał roli, kupowano również mocno wykorzystywane, które już dawno powinny

trafić na złom. Polisy na przewóz zdezelowanymi jednostkami zaczęły wystawiać rosyjskie firmy ubezpieczeniowe o wątpliwej reputacji i gwarancji na wypłatę odszkodowania. W niektórych przypadkach statki w ogóle nie były ubezpieczone albo ich polisy były sfalszowane.

Wielkość „floty cienia” przewożącej rosyjską ropę i paliwa trudno oszacować. Liczba jednostek może się wahać od kilkuset do nawet ponad tysiąca – w lipcu brytyjski rząd mówił o około 600 statkach. Dla porównania – na globalnym rynku, według szacunków amerykańskiego Kongresu, znajduje się obecnie ok. 7,5 tysiąca tankowców.

Konsekwencją rozrośnięcia się „floty cienia” jest uniezależnienie się rosyjskiego eksportu od zachodnich podmiotów. Jak wynika z prac helsińskiego Centre for Research on Energy and Clean Air, badającego wpływ sankcji energetycznych na Rosję, w lipcu tego roku około 74 proc. całości morskiego wywozu ropy naftowej z Federacji Rosyjskiej zrealizowano bez udziału zachodnich armatorów czy ubezpieczycieli. Jeszcze w lutym 2022 r. byli oni zaangażowani przy ponad trzech czwartych transakcji.

Ropa równa się rakiety

Stworzenie alternatywnej infrastruktury transportowej – z nowymi, niezwiązanymi z zachodnim rynkiem dostawcami – sprawiło, że mechanizm „limitu cenowego” stał się bezżębny, a Rosjanie mogą swobodnie targować się z kupcami swojego surowca, którymi w większości są odbiorcy chińscy i indyjscy. Co jednocześnie pozwala Kremlowi nakładać potężne podatki na własnych eksporterów.

To istotny element dochodów Rosji, której sektor naftowo-gazowy – a więc generujący dochody z wydobycia i sprzedaży węglowodorów – odpowiada za 30, a w niektórych latach nawet 50 proc. budżetu. Do roku 2022 dwie trzecie tej pozycji generowała ropa naftowa, obecnie znaczenie tego surowca jest jeszcze większe.

Stabilny napływ zagranicznych środków jest jednym z głównych czynników pozwalających Kremlowi na wypłatę horrendalnie wysokiego żołdu tym, którzy są gotowi strzelać do Ukraińców. Środki ze sprzedaży ropy idą też na produkcję rakiet i dronów, codziennie ostrzeliwujących ukraińskie miasta.

Nić łącząca agresywną politykę imperialną z ropą naftową jest więc widoczna

gołym okiem. Finansową podstawę dla rosyjskiego rewanżyzmu tworzą pordzewiałe, zdezelowane tankowce na Bałtyku.

Bałtyk – słaby punkt Rosji

Jak dotąd nie podjęto skutecznej próby ukrócenia tego procederu. Choć przecież Morze Bałtyckie, wraz z tegorocznym przystąpieniem Szwecji do Sojuszu Północnoatlantyckiego, stało się wewnętrznym akwenem NATO, a ograniczenie żeglugi statków wypływających z rosyjskich portów bałtyckich byłoby dla Rosji wyjątkowo bolesne: wychodzi z nich od 30 do blisko 50 proc. ropy eksportowanej drogą morską.

Wymuszenie ograniczenia pracy tych terminali byłoby mocnym uderzeniem w dochody Kremla. Bałtycka infrastruktura była przez lata systematycznie rozbudowywana, by obsługiwać najbliższy jej rynek – zachodni. Unijne embargo na rosyjski surowiec i paliwa pozbawiło Kreml dostępu do tych odbiorców – stąd jego zamiary wytyczenia nowych szlaków komunikacyjnych, nieprzechodzących przez Bałtyk. Ale to wciąż pieśń przyszłości. Na razie ropa musi wędrować wzdłuż wybrzeży wrogich państw i wąskimi cieśninami Danii.

Świadomość tej zależności jest dla władz Rosji bolesna. Doniesienia o możliwym zamknięciu duńskich cieśnin dla tankowców z rosyjską ropą spotykają się z natychmiastową reakcją Kremla. W maju tego roku rzeczniczka rosyjskiego MSZ, Maria Zacharowa, zapowiedziała „ostrą odpowiedź” w przypadku ograniczenia możliwości żeglugi dla tych statków. Nie sprecyzowała jednak, na czym miałyby ten respons polegać.

Międzynarodowe rozwiązanie

Tyle tylko, że duńskich cieśnin nie można dla Rosjan zablokować ot tak. Swobodę międzynarodowej żeglugi szlakiem łączącym Bałtyk z Morzem Północnym reguluje m.in. XIX-wieczna konwencja kopenhaska. Blokowanie statków w oparciu o kryterium pochodzenia ładunku – a więc transportujących rosyjską ropę i paliwa – byłoby łamaniem międzynarodowych standardów żeglugowych.

Mimo to dyskusje nad taką blokadą trwają od blisko roku. Dla Zachodu znalezienie rozwiązania byłoby istotne z kilku powodów. Bezkarność „floty cienia” świadczy nie tylko o nieszczelności re-

żimu sankcyjnego, ale stanowi też realne zagrożenie. Marcowa kolizja w duńskich cieśninach unaoczniała wszystkim, jak duże jest ryzyko katastrofy środowiskowej, przy braku jakichkolwiek gwarancji odszkodowania za poniesione szkody. Co więcej, istnieje podejrzenie, że statki te wykorzystywane są przez Rosjan również do działalności szpiegowskiej bądź dywersyjnej. W przeszłości dochodziło już na Bałtyku do tajemniczych incydentów. Ostatni głośny przykład to uszkodzenie, w zeszłym roku, gazociągu łączącego Finlandię z Estonią.

Jednym z pomysłów na ukrócenie procederu mogłyby być inspekcje statków i zatrzymywanie ich na podstawie przesłanki o łamaniu norm międzynarodowych, na przykład z powodu niezadawalającego stanu technicznego. Kontroli takich mogłyby dokonywać zainteresowane strony, a więc Szwecja i Dania. W takim przypadku można by, po inspekcji, wpisać tankowiec na zachodnie listy sankcyjne, zakazując mu przechodzenia przez unijne wody terytorialne. To znacząco utrudniłoby żeglugę.

Do tego jednak konieczna byłaby koordynacja działań w ramach szerokiej koalicji państw Zachodu. Do niedawna jedynie Amerykanie aktywnie uzupełniali własne listy sankcyjne o konkretne tankowce, które łamały limit cenowy. Metoda ta, choć wybiórcza, wciąż jest skuteczna. Waszyngton dysponuje silnym orężem w postaci dolara i straszakiem sankcji wtórnych, czyli odłączeniem od zachodniego systemu finansowego każdego, kto będzie współpracował z podmiotami wpisanymi na listy sankcyjne.

Tankowce, które popadły w niełaskę Amerykanów, są zatem postrzegane jako „toksyczne”, co skutkuje odmową przyjmowania ich ładunku przez większą część portów i rafinerii na całym świecie. Również banki odmawiają pośrednictwa w transakcjach. Znakomita większość z 53 takich jednostek, które trafiły na amerykańskie listy, pozostaje bezczynna. Unia Europejska i Wielka Brytania zdecydowały się na podobne restrykcje dopiero w czerwcu tego roku.

Brak determinacji

Obejmowanie sankcjami poszczególnych tankowców i zastosowanie rozwiązań systemowych jest jednak trudne, a główną przeszkodą są zachodnie elity.

Chodzi więc o brak tzw. politycznej woli. Deficyt determinacji wynika z nieustanne podsyce obaw o wzrost cen surowca na rynku, co miałyby wywołać gniew europejskich i amerykańskich elektoratów. Ponadto, do aktywnego śledzenia tankowców każdy z sygnatariuszy sankcji – USA, UK i UE – musiałby oddelegować sporą grupę urzędników, co oznacza nadanie całej sprawie wyższego priorytetu. W obecnej chwili wydaje się to mało prawdopodobne. Na politycznej agendzie zachodniej wspólnoty zacieśnianie reżimu sankcyjnego nie zajmuje wysokiej pozycji.

Nie ma się co łudzić. Nawet przy wziętej pracy zachodniej koalicji, nie wszystkie tankowce z rosyjską ropą da się zablokować. Pomimo zbiorczej nazwy, „flota cienia”, są to jednostki o stopniowalnej skali „szarości”: od zdezelowanych i nieubezpieczonych krypt, zarejestrowanych gdzieś na globalnym wygwizdowie, do tankowców, wobec których trudno mieć jakiekolwiek zastrzeżenia. One również przewożą rosyjską ropę. Jeśli w proceder nie jest zaangażowany żaden zachodni podmiot, a jednostce nie da się zarzucić złego stanu technicznego, nie ma przesłanek, by blokować jej żeglugę.

Mimo wszystko, dalsze odwracanie wzroku od realnych zagrożeń na Morzu Bałtyckim byłoby dużym błędem Zachodu. Zwłaszcza że nie da się wykluczyć incydentu, którego skutkiem będzie w końcu czarna plama na Bałtyku. Jeśli myślimy o zapobieganiu katastrofie, konieczny jest jasny komunikat, że tego rodzaju samowolka w obrębie akwenu (który jest wewnętrznym „jeziorem” NATO) nie będzie tolerowana.

Ograniczenie żeglugi dla rosyjskiej „floty cienia” – nawet jeśli będzie dotyczyć kilku czy kilkunastu najbardziej wyeksploatowanych tankowców – zmusi Rosjan do ponoszenia kolejnych kosztów, związanych z szukaniem nowych przewoźników. Gra jest warta świeczki. Ustąpienie choćby o krok w ekonomicznej konfrontacji z Rosją jest nie tylko szkodliwe z punktu widzenia Ukrainy, ale wystawia też mizerne świadectwo całej zachodniej polityce. Pokazuje, że reżim sankcyjny jest dziurawy i nieegzekwowalny, co z zapałem podchwycą ci, którzy gardlują w Europie za jego zwinięciem i snują rojenia o upadku Zachodu.

© FILIP RUDNIK



Luis Wieczny Student

TEKST I ZDJĘCIA: **AGNIESZKA ZIELIŃSKA** Z MADRYTU

Skończył 80 lat i dziesięć kierunków studiów. We wrześniu znów zasiądzie w uniwersyteckiej auli.

NAJPIERW SĄ CZERWONE PLUSZAKI. W madryckim mieszkaniu Luisa Francisca Ponce de León i jego żony Mercedes to one pierwsze rzucają się w oczy. Królik, Tygrys, Bawół, Szczur i Świnia – każda maskotka symbolizuje kolejny chiński rok. Ostatni jest Smok.

Oprócz nich wszędzie leżą książki. To one sprawiają wrażenie, że czas w tym miejscu zatrzymał się kilkanaście, a może nawet kilkadziesiąt lat temu. Nawet zdjęcia wnuków są sprzed dekady. Na meblościance, w centralnym miejscu salonu, widać też zbrązowiałą fotografię ślubną gospodarzy. Od tamtego lipca minęło 55 lat. Wciąż jednak patrzą na siebie z tą samą iskrą w oku. Pod zdjęciem, w głębi szafy, trzymają miłosne listy, które pisali do siebie jako nastolatkwie.

Pierwsza miłość

Musieli się już wcześniej widywać na ulicach Granady, skąd oboje pochodzą. Ale rozmawiać zaczęli dopiero w zatłocz-

nym autobusie do Madrytu. Luis od razu zwrócił uwagę na uśmiechniętą, niebieskooką brunetkę. Miała 15 lat i uczyła się w szkole średniej. On zaczynał studia w stolicy. By odwiedzać ukochaną, musiał godzinami łapać stopa.

Pobrali się zaraz po obronie jego pracy dyplomowej z telekomunikacji. Choć równocześnie Luis studiował jeszcze fizykę, bo wydziały były położone po sąsiedzku. Był prymusem, dostał nawet tytuł najlepszego studenta w kraju. Wkrótce po ślubie przyznano mu stypendium naukowe, więc oboje wyjechali do Szwecji. Po roku wrócili do Madrytu i na świat przyszła ich córka – Mercedes, a potem syn – Luis.

Zgodnie z dawną tradycją dzieci dostały imiona po matce i ojcu. Pytam, czy nie było z tego powody zamieszania w domu. Mężczyzna śmieje się, że nazwiska mają jednak inne, bo w Hiszpanii dzieci dostają dwa, po każdym z rodziców.

Luis-tata pracował jako inżynier w znanych hiszpańskich firmach telekomunikacyjnych, dzięki czemu mógł wyjeź-

dzać za granicę – do Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, a nawet Australii, gdzie spędził dwa tygodnie przy projekcie związanym z igrzyskami olimpijskimi w Sydney. W każdej podróży towarzyszyła mu rodzina.

Kolejne studia

Dyplomy wyciąga z plastikowych reklamówek, które trzyma w piwnicy albo za łóżkiem, w dawnym pokoju syna. Na każdym nazwisko innego ministra edukacji – historia zmian politycznych, jakie dokonały się w Hiszpanii od 1968 roku.

Po 60 latach nauki uzbierał ich 10, nie tylko z dziedzin ścisłych – telekomunikacji, fizyki czy informatyki (zdobyty w Chicago), ale też z ekonomii, filozofii, studiów orientalnych z językiem chińskim czy stosunków międzynarodowych. Kiedyś, by pogodzić studiowanie z pracą, wyjazdami, wychowaniem dzieci, musiał zarywać noce. Na dobre mógł się poświęcić swojej pasji dopiero 15 lat temu, po przejściu na emeryturę.

Gdy zaczynał, w latach 70. XX w., nauka na większości kierunków trwała 7 lat. Dziś normą jest 4-letni licencjat i roczne studia magisterskie.

– Teraz stawia się na praktykę, dyskusję i krytyczne myślenie – mówi. – Nie tak jak kiedyś, gdy wszystko trzeba było wkuwać na pamięć.

Nie oblał żadnego egzaminu i wciąż uchodzi za prymusa, choć – jak twierdzi – pamięć już nie ta. Ale przebywanie w uni-



*Luis Francisco Ponce de León z żoną Mercedes, Madryt, sierpień 2024 r.
Po lewej: Luis w swoim gabinecie, Madryt, sierpień 2024 r.*

wersyteckiej auli z dwudziestolatkami go odmładza. Ma też z nimi kontakt w mediach społecznościowych.

Na korytarzach swojego ulubionego Uniwersytetu Autonomicznego w Madrycie kłania się wszystkim profesorom, choć od wielu z nich 80-letni student z bujną, siwą brodą jest nawet dwa razy starszy. Często spotyka tam również swojego syna, Luisa, profesora muzyki. Dzieci, choć odziedziczyły po ojcu ciekawość świata, wyspecjalizowały się tylko w jednej dziedzinie (córka skończyła ekonomię). Luis-senior myśli tymczasem o studiowaniu coraz to nowych kierunków.

Życiowy sukces

W Hiszpanii jest ponad 10 milionów emerytów. Będzie jeszcze więcej. Według szacunków OECD w 2050 r. hiszpańskie społeczeństwo zajmie drugie miejsce w świecie (po japońskim) pod względem liczby osób starszych (w wieku emerytalnym będzie wtedy 76 proc. mieszkańców kraju). Widać to już dziś, gdy na emeryturę przechodzi pokolenie hiszpańskiego *baby boomu* (1958-77).

Coraz więcej seniorów chce jednak aktywnie korzystać z życia, rozwijać pasje, podróżować, udzielać się w wolontariacie. Według badań przeprowadzonych w 2022 r. przez Fundację Edad&Vida (Wiek i Życie) 66 proc. emerytów w Hiszpanii chce być aktywnych, 51 proc. pracuje nad rozwojem osobistym, a 45 proc. jest wolontariuszami.

María José Abraham, dyrektorka fundacji, mówi „Tygodnikowi”: – Osoby starsze coraz częściej uważają, że muszą coś jeszcze dać od siebie społeczeństwu. Żyjemy w świecie, który bez przerwy wszystko ocenia pod kątem użyteczności. Wolontariat jest jednym ze sposobów, by seniorzy czuli się ważni i docenieni.

Fundacja powstała ponad 20 lat temu, gdy jeszcze mało kto mówił o zmianach demograficznych. Dziś skupia się na przygotowaniu emerytów, by w dobrej kondycji przeszli przez ostatnie 15-20 lat życia.

– Od końca podstawówki uczą nas, jak przygotować się na studia. W czasie studiów mówią nam, jak zdobyć pierwszą pracę. Nikt jednak nie mówi, jak przygotować się na ostatnie lata naszego życia. A trzeba naprawdę zrobić wiele, by ludzie mogli starzeć się w możliwie najlepszych warunkach – podkreśla dyrektorka.

Dola seniora

W domu Mercedes i Luisa w Madrycie nie ma klimatyzacji, choć, jak oboje przyznają, to kwestia czasu. Słupki rtęci w Madrycie sięgają dziś 40 stopni Celsjusza. Władze rekomendują pozostanie w domu, zwłaszcza osobom starszym. Ciężko jest zwłaszcza w centrach dużych miast, gdzie tereny zielone i fontanny zastąpił beton.

– Trzeba przebudować nasze miasta z myślą o starzejącym się społeczeństwie – mówi „Tygodnikowi” Irene Lebrusán

Murillo z Uniwersytetu Karola III w Madrycie i Międzynarodowego Centrum Badań nad Starzeniem (CENIE). – Musimy dostosować drogi, chodniki, biblioteki, teatry, transport publiczny. Stworzyć więcej przestrzeni dla osób z ograniczoną mobilnością.

Wyzwań przed hiszpańskimi seniorami jest dużo więcej. Pierwsze to finanse. Średnia emerytura wynosi ok. 1200 euro, ale połowa emerytów musi przeżyć za jeszcze mniejszą kwotę (poniżej tysiąca). Przy rosnących kosztach życia i wydatkach na zdrowie stanowi to poważny problem.

Drugim problemem jest kulejący system pomocy osobom starszym – od domów opieki po indywidualne wsparcie domowe. To wciąż sektor mało sprofesjonalizowany, z niskimi pensjami i niedoborami pracowników. I problem trzeci – samotność. Według badań fundacji La Caixa skarżą się na nią 3 miliony Hiszpanów powyżej 65. roku życia.

– W katolickiej Hiszpanii zawsze ważna była rodzina. Ale dziś to się zmienia. Dzieci wyprowadzają się za granicę, jest wiele rozwodów, seniorzy zostają sami – zauważa María José Abraham.

Wieczne powroty

Luis Francisco Ponce de León nie narzeka na swoje życie.

– Gdyby sprawdziła się koncepcja Nietzschego o wiecznym powrocie, nie miałbym nic przeciwko temu, by je powtórzyć. Mam wspaniałą żonę i dzieci, mogłem studiować i podróżować. Może jedynie więcej czasu poświęciłbym moim rodzicom. Wyprowadziłem się z domu, kiedy miałem 17 lat. Później widywałem ich tylko podczas świąt i wakacji. Ale poza tym jestem szczęśliwy i wdzięczny losowi za wszystko...

Przez ostatnie cztery lata, gdy studiował stosunki międzynarodowe, przeszedł dwa nowotwory, zawał serca i cztery operacje.

– Myślałem, że to już koniec. Ale zaskakująco szybko dochodziłem do siebie i po miesiącu wracałem na uniwersytet.

Zdradza mi, że już wybrał następny kierunek studiów – historię. Liczy, że dzięki niej zrozumie genezę współczesnych konfliktów. Choć boi się, że nie spamięta wszystkich dat i wydarzeń. No i nie wie, ile jeszcze zostało mu życia. Ale nie zamierza rezygnować z planów. We wrześniu po raz kolejny usiadzie w uniwersyteckiej auli. ©

Przymierze puczystów

WOJCIECH JAGIELSKI, ALEXIO RASHIRAI Z HARARE

Wojskowi, którzy dokonali zamachów stanu i przejęli władzę w Mali, Burkina Faso i Nigrze, postanowili połączyć swoje kraje w Konfederację Sahelu, by wspólnie walczyć ze wspólnymi wrogami.

SZEŚĆDZIESIĘCIOLETEK, GENERAL ABDOURAHAMANE TCHIANI z Nigru, przejął władzę jako ostatni, latem zeszłego roku. Przed nim zrobił to 36-letni kapitan Ibrahim Traore z Burkina Faso, najmłodszy z zamachowców, który przeprowadził przewrót w jesieni 2022 r. Niewiele starszy, 41-letni pułkownik Assimi Goita z Mali, był nie tylko pionierem – on dokonał puczu aż dwukrotnie: pierwszy raz w 2020 r., ale wtedy odstąpił władzę starszemu stopniem generałowi, którego jednak rok później obalił i sam przejął rządy.

Pierwszy zamach Malijczyka, sprzed równo czterech lat, uruchomił nową lawinę puczów wojskowych, które przed półwieczem były w zachodniej Afryce najpowszechniejszą formą zmiany rządzących elit. Pucze i wojskowe dyktatury wyszły z mody po zakończeniu zimnej wojny – od tamtej pory Afryka, pod dyktando Zachodu, karała wszelkich samowładców i dyktatorów ostracyzmem i sankcjami.

Wszyscy za jednego

Potępieniem, ostracyzmem i sankcjami ukarała też pucz Assimiego Goity, ale ku jej zaskoczeniu nie stało się to wcale dla innych przestrogą. Przeciwnie – Malijczyk znalazł szybko naśladowców, a odpowiednio, że wojskowe zamachy stanu wrócić w Afryce do łask, zaczęły się sprawdzać.

Po Mali do przewrótów doszło w Czadzie (2021 r.), Sudanie (2021 r.), Gwinei (2021 r.), Burkina Faso (styczeń i październik 2022 r.) i Gabonie (2023 r.). Kiedy zeszłego sierpnia do puczu doszło w Nigrze, Afryka postanowiła dać tamtejszym zamachowcom nauczkę i raz na zawsze zatrzymać lawinę wojskowych zamachów stanu. Wspólnota Gospodarcza Państw Afryki Zachodniej (ECOWAS) ogłosiła nowe sankcje, ale tym razem, zachęcana przez Francję i inne państwa Zachodu, za-

groziła też zbrojnym najazdem na Niger, o ile puczyści w mundurach nie oddadzą władzy prawowitemu rządowi.

Zamachowcy nie ustąpili, a ich sąsiedzi, wojskowi dyktatorzy z Mali i Burkina Faso, zapowiedzieli, że jeśli zachodnioafrykański korpus ekspedycyjny zaatakuje Niger, przyślą mu własne wojska na pomoc. Kilka tygodni później, we wrześniu, trzej puczyści z Sahelu zawarli obronne przymierze.

„Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego” – uroczystie przysięgli. Ogłosili też, że nie spoczną na tym i uczynią, co tylko w ich mocy, by połączyć swoje państwa w jedno, które stanie się zalążkiem nowej, prawdziwie wolnej, zjednoczonej Afryki, o jakiej marzyli ojcowie niepodległości z lat 60.

Żadnych granic

Obronny sojusz nazwali Przymierzem Państw Sahelu. Jesienią ich ministrowie wojny, dyplomacji, gospodarki, finansów i handlu naradzali się nad sposobami zacieśnienia sąsiedztwa, a na początku 2024 r. „trzej muszkietierowie” z Sahelu ogłosili, że Mali, Burkina Faso i Niger postanowiły wystąpić ze wspólnoty ECOWAS, którą pół wieku wraz z zachodnioafrykańskimi sąsiadami zakładały. Obwieścili, że zamiast niej założą nową, własną, do której będą mogli przystąpić i inni, o ile tylko podzielają ich pogląd na świat i sprawiedliwy porządek rzeczy.

Wiosną sprzymierzeni zapowiedzieli powołanie wspólnego wojska, by razem walczyć z rebelią dżihadystów, która w 2012 r. wybuchła w Mali i rozlała się na cały Sahel. Na początku zaś lipca wojskowi przywódcy Mali, Burkina Faso i Nigru spotkali się w Niamey i ogłosili powołanie Konfederacji Sahelu, wspólnoty zrzeszającej ich kraje i mającej wkrótce przerodzić się w federację i nowe, wspólne państwo.

Na pierwszego przywódcę konfederacji, z roczną kadencją, wybrany został malijski pułkownik Goita. Konfederacja ma powołać własny parlament z siedzibą w Ouagadougou, stolicy Burkina Faso, prowadzić wspólną politykę zagraniczną, powołać własny bank inwestycyjny i fundusz stabilizacyjny, a nawet wprowadzić własną, wspólną walutę. Zniesione mają też zostać granice między państwami stanowiącymi konfederację, by ich mieszkańcy mogli bez przeszkód przemieszczać się i przewozić towary. Konfederaci przyrzekli również przychodzić sobie z pomocą we wszelkich kłopotach, a bogaty w ropę naftową Niger już wiosną zaczął dostarczać po zaniżonych cenach paliwo do Mali, które znalazło się w energetycznej zapaści.

Zdradzeni i zdrajcy

„To będzie prawdziwa wspólnota, oparta na pokoju, solidarności i naszych rodzimych, afrykańskich wartościach, a nie teatr marionetek, w którym za sznurki pociągają obcy” – oznajmił w Niamey generał Tchiani, przywódca Nigru. „Afryka dość już się nacierpiała i wciąż cierpi z powodu wyzysku imperialistów z Zachodu, którzy uważają nasz kontynent za imperium niewolnicze” – dodał jego młodszy wiekiem i stopniem kolega po fachu z Burkina Faso, kapitan Ibrahim Traore. „Wciąż uważają, że jesteśmy ich poddanymi i że nasze bogactwa należą do nich. Myślą, że wciąż mogą nam mówić, co jest dla nas dobre, a co złe. Ale te czasy się już raz na zawsze skończyły” – przestrzegali.

„Nasi bracia zapomnieli o tym co mówili nasi ojcowie-założyciele, głosiciele panafrykanizmu – wtórował kapitanowi generał. – Ulegli zagranicznym potęgom i zdradzili te ideały, a zachodnioafrykańska wspólnota ECOWAS, zamiast dbać o nasze dobro, stała się dla nas zagrożeniem”.

Konfederaci zarzucają ECOWAS, że z organizacji, mającej zapewniać swobodę podróży i handlu oraz dobre, sprawiedliwe rządy prawowitych przywódców, stała się obrończynią rządzących elit i wysługuje się zachodnim mocarstwom, Ameryce, a zwłaszcza Francji, dawnej metropolii kolonialnej dla większości państw Afryki zachodniej.

Powołując w 1975 r. ECOWAS, zachodnioafrykańscy przywódcy, w większości wojskowi dyktatorzy, liczyli, że wspólnota ułatwi ich krajom gospodarczy roz-



Sygnatariusze porozumienia o utworzeniu Konfederacji Sahelu – od lewej: kpt. Ibrahim Traore, tymczasowy przywódca Burkina Faso, płk Assimi Goita, prezydent Mali, i gen. Abdourahamane Tchiani, szef junty wojskowej w Nigrze. Niamey, Niger, 6 lipca 2024 r.

wój. Doszli do wniosku, że podzielona sztucznymi granicami i uboga w nowoczesną infrastrukturę zachodnia Afryka nie będzie w stanie się rozwijać. A jako że zamieszkuje ją prawie pół miliarda ludzi, szybko popadnie w zacofanie i biedę. Wspólnota ECOWAS nie znosiła granic, ale ułatwiała ich przekraczanie, jednoczyła 15 państw (początkowo było szesnaście, ale w 2000 r. odeszła Mauretania), dawnych kolonii Francji (osiem), Wielkiej Brytanii (pięć) i Portugalii (dwie) we wspólny rynek.

Zawartość puczu w puczu

Po zakończeniu zimnej wojny, wzmocniona udaną integracją i zachęcana przez Zachód, ECOWAS zaczęła przekształcać się także we wspólnotę polityczną. Jej przywódcy uzgodnili, że nie będą dłużej tolerować zamachowców ani uzurpatorów. Przyznali też sobie prawo do zbrojnych interwencji, jeśli w którymś z krajów wspólnoty wybuchłaby wojna albo zagrożone zostałyby prawowite władze i demokratyczny porządek. Na przełomie

stuleci wojska ECOWAS, pod przywództwem najpotężniejszej we wspólnocie Nigerii, interweniowały zbrojnie w ogarniętych wojnami domowymi Liberii i Sierra Leone, Gwinei Bissau, gdzie udaremniły próbę puczu, a także w Gambii, gdzie po przegranych wyborach panujący od ćwierćwiecza tyran nie chciał pogodzić się z porażką ani oddać władzy.

Kiedy w ostatnich latach wojskowi dokonali puczów w Mali, Burkina Faso, a potem w Nigrze, Gwinei czy Gabonie, ECOWAS wystąpiła zgodnie przeciwko zamachowcom. Oni zaś zarzucili Wspólnocie zakłamanie i wysługiwanie się zachodnim mocarstwom. Wytknęli przywódcom ECOWAS, że nie protestowali, kiedy pod koniec drugiej i ostatniej – zgodnie z prawem – kadencji prezydent Gwinei Alpha Conde kazał poprawić konstytucję, by liczono mu kadencje od nowa. Potępili natomiast pułkownika Mamadiou Doumbouye, który dokonał zamachu i usunął Condego z urzędu, a na Gwineę nałożyli sankcje. ECOWAS milczał też, gdy podobną intrygę – tyle że z powo-

dzeniem – przeprowadził prezydent Wybrzeża Kości Słoniowej. Dlaczego tylko zbrojny przewrót jest przestępstwem – pytali wojskowi – a nie są nimi pucze konstytucyjne, dokonywane przez opętanych władzę cywilnych polityków?

Zamachowcy z Mali, Burkina Faso i Nigru mieli żal, że Zachód – a także ECOWAS – wspierał tylko tych prezydentów, którzy spełniali jego zachcianki i trzymali się demokratycznego ceremoniału, mimo że rodacy od dawna uważali ich za władców złych, leniwych i niekompetentnych. Dodatkowo zamachowcy narazili się Zachodowi, bo przejąwszy władzę, wyprosilili ze swoich krajów stacjonujących tam żołnierzy z Francji i USA, zastępując ich rosyjskimi.

Żandarm się cofa

Do zachodnioafrykańskiej schizmy rękę przyłożył także Bola Tinubu, prezydent Nigerii, regionalnego mocarstwa i żandarma. Na prezydenckim fotelu zasiadł w maju 2023 r., a w lipcu, jako

→ przywódca Nigerii, objął rotacyjne przewodnictwo ECOWAS. „Nie pozwolimy na żaden kolejny wojskowy przewrót. Nie będziemy więcej psem, co dużo szczeka, a mało gryzie” – zapowiedział. Kiedy pod koniec miesiąca doszło do zamachu w Nigrze, uznał to za sprawę niemal osobistą. W latach 80. i 90., gdy także w Nigerii panowały wojskowe dyktatury, Tinubu był działaczem demokratycznej opozycji, politycznym więźniem i wygnańcem.

Po przewrocie w Niamey kazał skrzyknąć zachodnioafrykańskie wojska, zamknąć lądowe i powietrzne granice z Nigrem, zerwać z nim wszelkie kontakty, odłączyć telefony i prąd. Sąsiedzi Nigerii przestraszyli się, że Tinubu tak bardzo chce się popisać przed rodakami i Zachodem, że gotów jest wywołać wojnę. I to nie konflikt graniczny, lecz regionalny, bratobójczy. Co więcej, Tinubu, pochodzący z ludu Joruba, z południowego zachodu Nigerii, zraził do siebie Hausańczyków i Fulanów z północy kraju, których granica, zamknięta na jego rozkaz, odcięła od krewnych i rodaków z południa Nigru. Dlatego prezydent, mimo że sam jest mahometaninem, już na początku panowania stracił poparcie muzułmańskiej północy kraju.

Zamachowcy z Nigru nie przestraszyli się, a kiedy wraz z towarzyszami broni z Burkina Faso i Mali ogłosili secesję z ECOWAS, upokorzony Tinubu zaczął cofać się rakiem. Odwołał wszystkie sankcje i wezwał do zgody. Za późno. Konfederaci o powrocie do tego, co było, nie chcieli już słyszeć.

Nowe podziały

Secesja konfederatów i rozłam w ECOWAS oznaczałyby fiasko najambitniejszego integracyjnego eksperymentu w niepodległej Afryce. Zachodnioafrykański wspólny rynek rozpadłby się w 50. rocznicę powstania, otwarte granice znów zamknęłyby się dla podróżnych i kupców, przedsiębiorców i zagranicznych inwestorów, podzieli-

Secesja konfederatów to fiasko najambitniejszego integracyjnego eksperymentu w niepodległej Afryce **i koniec zachodnioafrykańskiego wspólnego rynku.**

łyby krewnych, którzy znaleźli się po różnych stronach miedz, wytyczonych przez dawnych kolonialnych władców z Europy.

Konfederacja Sahelu (zanim ewentualnie przyłączy się do niej następni) to prawie 80 milionów ludzi, czwarta część ludności ECOWAS i połowa jej obszaru. To jednocześnie najuboższa część zachodniej Afryki (niespełna jedna dziesiąta zasobów ECOWAS), w dodatku pozbawiona dostępu do morza. Po zerwaniu z ECOWAS konfederaci będą musieli płacić myto na granicach oraz cła w portach w Cotonou, Lagos, Lome i Temy. Mieszkańcy Mali, Burkina Faso i Nigru stracą prawo do podróży bez wiz, a przede wszystkim legalnej pracy i prowadzenia interesów w bogatych metropoliach z atlantyckiego wybrzeża – Lagos, Akrze, Dakarze i Abidżanie (połowa Burkina Faso utrzymuje się z pracy sezonowych robotników w Abidżanie i na plantacjach kakao na północy Wybrzeża Kości Słoniowej). Długa na półtora tysiąca kilometrów granica między Nigerią i Nigrem znów zostanie zamknięta. Rozdzieli mieszkających po obu stronach Hausańczyków i Fulan, uderzy po kieszeni kupców z Kano, stolicy nigeryjskiej północy. Po secesji z ECOWAS Niger będzie więcej płacić za sprowadzane z Nigerii paliwo i prąd (skąd bierze trzy czwarte energii elektrycznej).

Zachodnich Afrykanów podzieli także zagraniczni sprzymierzeńcy. Państwa

ECOWAS pozostają w sojuszu z Zachodem. Konfederaci szukają przyjaciół w Rosji, Iranie, Turcji i na Półwyspie Arabskim.

Nie wszystko stracone?

Największą nadzieją na to, że do zachodnioafrykańskiej schizmy jednak nie dojdzie, są nowi przywódcy Senegalu, zwycięzcy marcowych wyborów, dwaj przyjaciele – prezydent Bassirou Diomaye Faye i jego duchowy przewodnik, premier Ousmane Sonko. Metryka i poglądy na świat zbliżają ich do konfederatów. Tak jak oni są piewcami pierwszeństwa suwerenności i „drugiej niepodległości” Afryki, podobnie jak oni chcą rewizji starych porządków – umów gospodarczych, politycznych i wojskowych, jakimi poprzednicy związali ich kraje z Zachodem, przede wszystkim z Francją. Dwaj przywódcy uważają, że są one korzystne wyłącznie dla zagranicznych partnerów Senegalu – Unii Europejskiej i Chin – i także elit w Dakaru, a zwykli Senegalczycy nie mają z nich żadnego pożytku. Podobne oskarżenia pod adresem Zachodu i rodzimych politycznych elit kierowali wojskowi zamachowcy z Mali, Burkina Faso, Nigru, Gwinei czy Gabonu.

Polityczne kariery Diomaye Faye i Sonka dowodzą też, że wojskowe przewroty nie są jedynym sposobem, by dokonać w Afryce głębokiej zmiany, że można to osiągnąć także przestrzegając demokratycznych reguł. Są wiarygodni dla obu obozów zachodnioafrykańskiego sporu, więc to ich Tinubu wyznaczył na emisariuszy do rozmów z konfederatami.

Konfederaci powtarzają, że za późno na układy i nie wrócą do wspólnoty ECOWAS, bo zabrali się już za budowę nowego państwa – tam, gdzie przed wiekami rozciągały się wspaniałe imperia Ghany, Mali i Songhaju, podbite potem przez Francję i przemienione w jej kolonie Sudanu Zachodniego.

Tinubu nie traci jednak nadziei. „Jeśli wróćcie do stołu, żeby w dobrej wierze rozmówić się w najważniejszych sprawach, powitamy was jak braci” – zachęca konfederatów.

„Musimy zrobić wszystko co w naszej mocy, by nie dopuścić do niezgody między braćmi – wtóruje mu jego senegalski emisariusz Diomaye Faye. – Jeszcze nie wszystko stracone”.

© P WOJCIECH JAGIELSKI,

© ALEXIO RASHIRAI

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

EUROPEJSKIE CENTRUM SOLIDARNOŚCI

30 sierpnia 2024, 20.00 NA ŻYWO W TVN24

Wydarzenie uświetni koncert polskich artystów
z towarzyszeniem Tarkowski Orkiestra

MEDAL WOLNOŚCI SŁOWA

Fundacja Grand Press po raz czwarty uhonoruje osoby
szczególnie zasłużone dla wolności słowa w Polsce

Kategorie

MEDIA • INSTYTUCJA • OBYWATEL/KA

ORGANIZATOR

**GRAND
PRESS
FOUND.**

MIASTO GOSPODARZ

GDANSK

PARTNERZY



SAMORZĄD
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO



Europejskie
centrum
solidarności



Warszawa



Wrocław
miasto spotkań



POZNAŃ*



Kraków

za'ks
sprzyjamy wyobraźni

NARODOWE
CENTRUM
KULTURY

PATRONI MEDIALNI



RADIO
NOWY ŚWIAT



POLSKA AGENCJA PRASOWA

POLSKA
PRESS
GRUPA

Dziennik
Bałtycki



BIZNESKART
I WYDAWCY

Stowarzyszenie
Gazet
Lokalnych

ngo.pl

ZAWSZE
POMÓŻ

PARTNERZY GALI

MIELŻYŃSKI
Nowy Świat

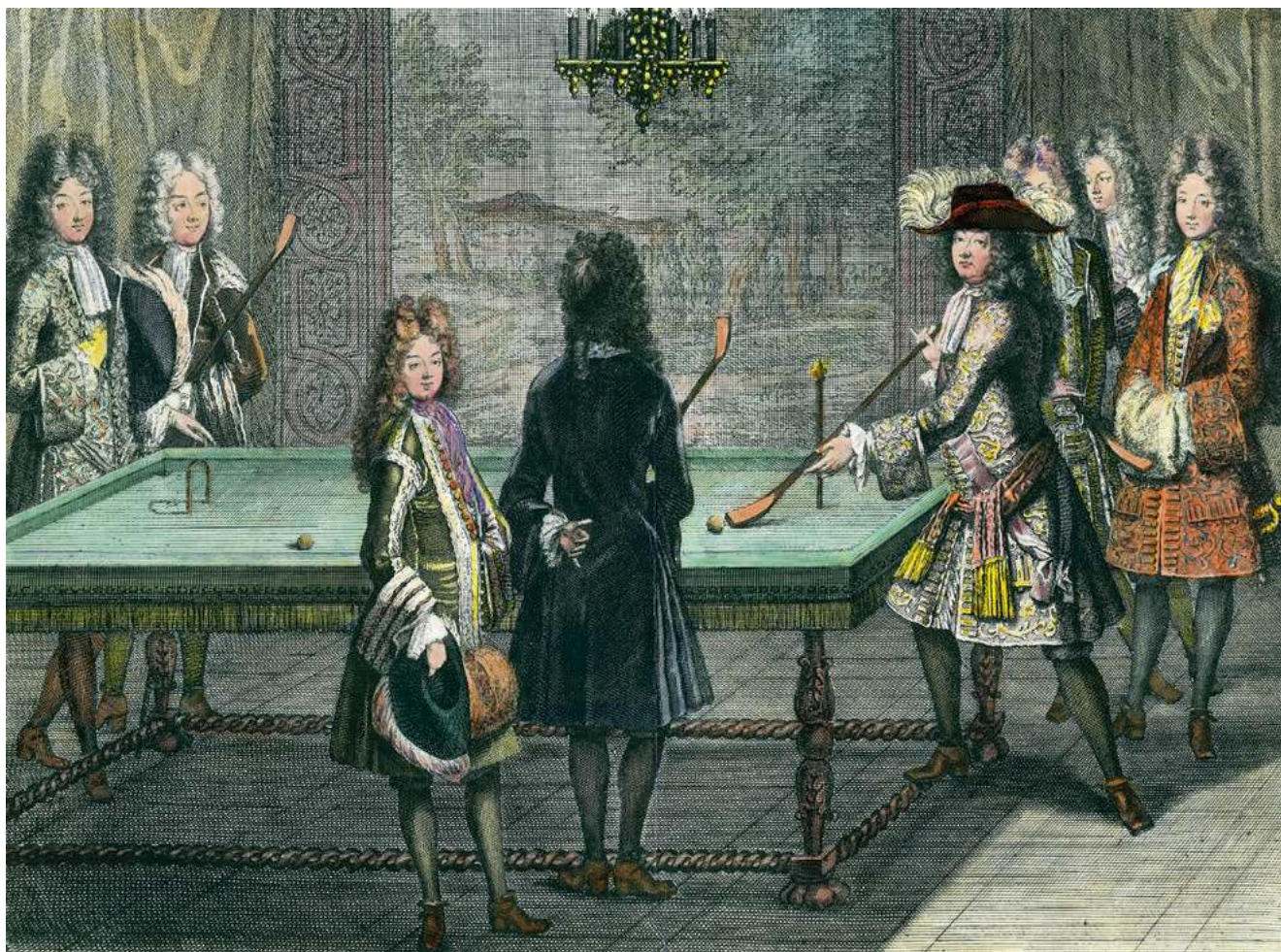
COCOSOUND►

F25.

KRÓLEWSKA GRA DLA MAS

Oto dyscyplina godna igrzysk. Szkoda, że nie było jej w Paryżu,
tym bardziej że tam ma swe źródła.
Poznajcie szlachetny karambol.

ŁUKASZ DZIATKIEWICZ



ZNANY POWSZECHNIE BILARD WYWO-
DZI się z gier uprawianych z uży-
ciem kul i kijów na wolnym powietrzu
już w kulturach starożytnych. Ich wadą
było uzależnienie od pogody. Aby tego
uniknąć, wieki później przeniesiono
rozgrywkę do wnętrza. Pojawił się stół,
bo nie ma bilarda bez stołu. Rzecz ja-
sna, pozwolić sobie na niego mogli tyl-
ko możni. Pierwszy stół bilardowy miał
król francuski Ludwik XI (1423-1483).
Do zagorzałych bilardzistów należeli też
Ludwik XIII i jego syn Król Słońce, czy-
li Ludwik XIV (wielki ambasador bilar-
du) oraz Ludwik XVI i jego żona Maria
Antonina. Wraz z rosnącą potęgą Fran-
cji moda na bilard rozprzestrzeniła się
w Europie, a wraz z kolonizacją i dalej.
Bilardomania objęła też wszystkie war-
stwy społeczne. Oczywiście biedniej-
si musieli korzystać z gorszego sprzętu
i jego odpłatnego użytkowania w miej-
scach publicznych, często dość podłych.

Bilard rozpowszechniał się w wielu
miejscach, więc ewoluował na różne spo-
soby. Angielski poeta i pisarz Charles Cot-
ton jako pierwszy opublikował w 1674 r.
reguły tej gry. „The Compleat Gamester”
traktował także o kartach, kościach oraz
walkach kogutów!

Król jest jeden

Na stołach bilardowych pojawiały się
bramki czy słupki w charakterze prze-
szkód lub celów dla bil. Lecz, najpew-
niej w wieku XVIII lub na początku ko-
lejnego, we Francji zrezygnowano z nich
i z otworów w stołach. A liczbę bil ogra-
niczono do trzech. W ten sposób naro-
dził się najszlachetniejszy w swej pro-
stocie bilard – bilard karambolowy,
zwany także „francuskim”. W pracy
„The Billiard World” Dudleya Kavana-
gha w 1869 r. czytamy: „Tu i w Hiszpanii
stoły bilardowe mają cztery kieszenie,
w Anglii sześć, a we Francji i pozostałej
części Europy kontynentalnej żadnej”.

W tym bilardzie – stąd nazwa – chodzi
o robienie karamboli, zderzanie bil. Wy-
starczy minimalny kontakt, muśnięcie.
W wersji najprostszej należy bilą, w którą
trafiamy kijem, dotknąć dwóch pozosta-
łych. Jeśli się uda, zdobywamy punkt
i gramy dalej. Niepowodzenie oznacza

przekazanie gry przeciwnikowi. Nie jest
to wcale łatwe, a już robienie kolejnych
karamboli z rzędu wręcz trudne. Jednak
nie dla zawodowców, oni są w stanie za-
liczyć setki, a nawet więcej: Amerykanin
George Spears w 1890 r. zrobił „od kija”,
(tzn. bez błędu) 5041. Późniejsze rekordy
przekraczały 10 tys., a nierzadko mistrzo-
wie przerywali popis na skutek zbyt-
niego zmęczenia. Dlatego zasady bardziej
zaawansowanych odmian tego bilardu
mają za zadanie utrudniać robienie ka-
ramboli. Najważniejsze zawody organizo-
wane są zazwyczaj w najtrudniejszej wer-
sji, w tzw. trzy bandy. W tej wersji, przed
zaliczeniem karambolu, musimy jeszcze
bilą zagrywaną dotknąć trzy razy bandy.
Może być to ta sama, wielokrotnie – tak,
to jest możliwe.

Pierwsze mistrzostwa świata w trzy
bandy odbyły się w 1928 r. we francuskim
Reims. Wygrał je Egipcjanin Edmond
Soussa, który jedenaście razy zdobył tytuł
MŚ w różne odmiany karambolu. Egipt
jest nadal potęgą karambolową. Z niego
pochodzi Farouk El Barki, prezes ogólno-
światowej organizacji nim zawiadującej
– Union Mondiale de Billard. Z bliższych
geograficznie nam krajów islamskich li-
czy się jeszcze Turcja. W Europie Zachod-
niej karambol uprawia się prawie wszę-
dzie poza Wyspami Brytyjskimi. Do po-
tęg karambolowych należą Meksyk i Ko-
lumbia. No i Azja, zwłaszcza Wietnam
i Korea Południowa oraz Filipiny i Indo-
nezja. W Chinach dominowały dotąd bi-
lardy z otworami, ale jak mi powiedział
El Barki, ma się to zmienić. Pewnym do-
wodem na to może być otwarcie pierw-
szego na świecie muzeum poświęco-
nego wszystkim bilardom. Nastąpiło to
w marcu w Yushan na wschodzie Chin.

Ogólnoświatowa organizacja World
Confederation of Billiards Sports działa
od 1992 r. Zrzesza federacje krajowe
i ogólnoświatowe odpowiedzialne za
główne typy bilardu (poza snookerem,
gdzie doszło do rozłamu). Ma za zadanie
jednoczyć je i włączać bilard do dużych
impres sportowych. Niestety mimo dłu-
gich starań nie jest on nadal dyscypliną
olimpijską. Za to został częścią programu
World Games (od VI edycji w Japonii:
pool, snooker i karambol). Ta duża im-
preza, zwana również igrzyskami spor-
tów nieolimpijskich, organizowana jest
jak olimpiada co cztery lata (od 1981 r.)
pod patronatem MKOL-u.

Szlachetny karambol (widzimy go na
obrazach Vincenta van Gogha, Paula Gau-
guina i Georges Braque’a) przegrywa dziś
z bilardami luzowymi, zwłaszcza ze zna-
nym wszystkim amerykańskim poolem.
Dobrze pokazuje to oferta sporego klubu
bilardowego w Nowym Jorku, który przez
lata odwiedzałem. Działał w dzielnicy
Astoria (część Queens). Było w nim kilka-
dziesiąt stołów poolowych. I jeden do ka-
rambolu. Grali na nim głównie seniorzy.
Jednak pewnego dnia i ten zastąpiono po-
olem. Cóż, ten bilard jest prostszy w zrozu-
mieniu zasad. No i bile wpadają do otwo-
rów, więc coś się ewidentnie dzieje. Widać
efekt, słysząc pointę.

Polskie stoły

Do Polski bilard dotarł jeszcze w czasach
I Rzeczypospolitej. Popularny stał się jed-
nak później. Źródła nie mówią jednak,
jaki konkretnie to był bilard. W V tomie
„Historii kultury materialnej Polski” czy-
tamy: „Wszedł również w modę bilard.
Stoły bilardowe pojawiać się zaczęły w do-
mach miejskich i we dworach, ustawiano
je w kawiarniach i szynkach, otwierano
osobne sale bilardowe. Stanowiły one do-
stępny rozrywkę także dla osób mniej za-
rabiających. (...)”. Tak więc jak na Zach-
odzie, po zamkach i pałacach przyszła pora
na mniej okazałe rezydencje. Potwierdza
to „W salonie i kuchni” Elżbiety Kowec-
kiej: „Do pokoi reprezentacyjnych nale-
żała sala bilardowa. Gra w bilard (...) na-
prawdę modna stała się dopiero w XIX
w. Ponieważ stół służący do tej gry był
sprzętem ogromnym, a gracze uderza-
jący w bile długimi kijami potrzebowali
sporo przestrzeni, pokoje przeznaczone
do tej rozrywki musiały być duże i mieć
spore okna dające odpowiednie światło.
(...) Bilardem w owych czasach zajmowali
się niemal wyłącznie mężczyźni”. Bilardy
instalowano także w pokojach myśliw-
skich, palarniach i bibliotekach. Dotyczy
to całego świata Zachodu.

Zabory miały wpływ także na bilard.
W Galicji, pod panowaniem Habsbur-
gów, królował karambol, w zaborze pru-
skim prawdopodobnie też. Za to w zabo-
rze rosyjskim preferowano bilardy lu-
zowe.

Możę poświadczyć długie trwanie
w historii, bo od urodzenia mieszkam
w Krakowie. Na przełomie lat 80. i 90. do-
wiedziałem się o lokalu na Rynku Głównym,
w którym był jakiś dziwny bilard →

*Rycina Antoine’a Trouvaina
przedstawiająca Ludwika XIV
grającego w bilard z dworzanami.*



DOMENA PUBLICZNA

→ bez luz (wtedy już połknąłem bakcyła, grywałem w grzybka i poola). Wcześniej była to sekcja Klubu Sportowego Nadwiślan Kraków. Poznałem szefującego tym miejscem pana Tadeusza Bożka. Stoły były trzy, z czego dwa podłączane do prądu! Nie, nie chodziło o oświetlenie, a podgrzewanie płyty głównej, by zmniejszyć tarcie. Takie rozwiązanie stosuje się przede wszystkim w karambolu. Potem – nie raz – słyszałem anegdotę, jak to przyjechał do Krakowa pewien zagraniczny as. Nie chciał grać na zwykłym stole. A że nie posiadano jeszcze tak specjalistycznych, pożyczono świece z pobliskiej bazyliki Mariackiej i... ustawiono je pod stołem. W wyniku tej historii dwa podgrzewane stoły zostały z zagranicy przekazane w darze.

KS Nadwiślan założono w 1923 r. W 1938 r. powołana została (jako druga) sekcja bilardowa. Sprawa z Polskim Związkiem Bilardowym jest bardziej za-

wikłana. Otóż brak w archiwach jakichkolwiek śladów jego istnienia. Jednakże dzięki seniorom z krakowskiego klubu nie tylko o nim słyszałem – mam dokumenty ze stosowną pieczęcią. Najważniejszym założycielem i *spiritus movens* PZB był Witold Horain (1910-1978), człowiek legenda. Prawnik, tenisista i szachista. Osoba dość ekscentryczna, słynąca z braku dbałości o rzeczy przyziemne z wyjątkiem trzech bil na stole i znaczków pocztowych. Kolekcję miał nie lada. Podobno jej część usiłował nabyć w latach 60. osobisty sekretarz królowej angielskiej w imieniu chlebodawczyni. Bez skutku.

Stoły karambolowe bywały też ogólnie dostępne, choć rzadko, w restauracjach czy kawiarniach. Horain w wywiadzie dla „Przekroju” pt. „Rehabilitacja bilardu?” z 1956 r. wymienił parę z nich, ale skupiał się na mistrzach: „koła sportowe przy poszczególnych zakładach pracy również posiadają dziś stoły – i tutaj roz-

wija się szkolenie oraz prawdziwa sportowa gra”. (Profesor Filutek na ostatniej stronie tygodnika grał w bilard, ma się rozumieć karambolowy). W PRL-u organizowano zawody, w tym mistrzostwa Polski, oraz jeżdżono rywalizować za granicę. Do nas także przybywali karamboliści z innych krajów.

Mieliśmy – bo była nas cała grupa młodzików zafascynowana karambolem – na początku lat 90. poznać seniorów tej dyscypliny, grać z nimi i uczyć się. Należałem do najsłabszych, więc tym bardziej byłem dumny, gdy raz udało mi się wygrać z jednym z założycieli PZB, dr. Witoldem Korytowskim. To już był mocno starszy pan, trzęsły mu się ręce, ale gdy brał do ręki kij, jakoś przestawały. Pochwalił wtedy moje ścigacze (zagranie, gdy bila zagrywana toczy się za trafianą) i poczęstował cukierkiem, takim z szarej torebki.

Błyskawiczna ekspansja poola doprowadziła jednak do decyzji szefa o prze-



POCZTÓWKA I ZNACZEK Z KOLEKCJI ŁUKASZA DZIADKIEWICZA

*Powyżej: Bilardowe scenki
humorystyczne,
w tym karambolowe,
były częstym tematem
pocztówek.*

*Obok: znaczek okolicznościowy
z Mistrzostw Świata
w Bilardzie w Peru, 1979 r.*

*Po lewej: obraz Vincenta van
Gogha „Nocna kawiarnia”,
1888 r., z kolekcji Yale
University Art Gallery.*



robieńiu jednego ze stołów na luzowy. Większość starej kadry nawet nie chciała tego próbować. Bodajże w 1994 r. najem lokalu został wypowiedziany. Ale kolejny adres też nie był zły – dom literatów na ul. Krupniczej. Klub działał tam kilka lat.

W naszym kraju poolem i heyballem oraz karambolem zajmuje się powołany w 1993 r. Polski Związek Bilardowy. Pierwsze mistrzostwa Polski w karambolu pod jego pieczęcią odbyły się w Krakowie. Wiceprezes Związku Grzegorz Kędzierski: „Potem migrowaliśmy na Podkarpacie i tam przez kilkanaście lat organizowaliśmy finały”. W tamtejszych szkołach powstały trzy sekcje karambolowe. Po zmianach w szkolnictwie musiały zakończyć działalność, a komercyjne kluby nie były zainteresowane karambolem. „Spróbowaliśmy na Mazurach. Wieleletnia próba zbudowania tam środowiska karambolowego nie udała się. Większe zainteresowanie jest jednak na południu

Polski, być może ze względu na tradycję. Po rozmowach z Czechami i Słowakami (gdzie karambol jest popularniejszy), wracamy na Podkarpacie i do Małopolski”.

Arcymistrzowie i artyści

Gdy dowiedziałem się, że dwa karambolowe mistrzostwa świata odbędą się w jednym miejscu w podobnym terminie, szybko podjąłem decyzję. Muszę tam być. I tak w połowie czerwca wylądowałem w Ankarze. W okazałym niedawno wybudowanym ośrodku Tureckiej Organizacji Bilardowej w podstołecznym mieście Gölbaşı najpierw odbyły się zawody World Cup 3-Cushion. Jest to część rokrocznej serii turniejów rozgrywanych w różnych miejscach świata. I najważniejsze niepojedyncze, cykliczne zawody w trzy bandy (poza serią są oczywiście MŚ: indywidualne, kobiet i drużynowe oraz typu Grand Prix, mistrzostwa krajowe i inne). Udział wzięło 149 graczy.

W finale Jung Han Heo z Korei Południowej wygrał z Wietnamczykiem Phuong Vinhkiem Bao.

Jeśli karambol jest dla niektórych historyczną ekstrawagancją, to jak określić kolejne czerwcowe zawody karambolowe pod Ankarą? World Championship Artistique to także MŚ w tzw. bilardzie, ale artystycznym. Na tych samych ośmiu stołach 32 zawodników wykonywało ekstremalnie trudne, różnie punktowane zagrania. Wszyscy zawodnicy byli w kamizelkach i muszkach. Niektórzy młodzi chcieliby grać w koszulkach polo, ale starzy nie chcą się zgodzić, bo to dla nich gra dżentelmenów. Absolutnie się z tym zgadzam. Choć było wręcz szokujące zobaczyć niektórych po przebraniu.

Trzy pierwsze miejsca należały do Turków, czwarte zajął Hiszpan. Bilard artystyczny można postrzegać jako osobliwość, ale nie jest to jakaś efemeryda. Pierwsze MŚ zorganizowano w 1937 r. I nie należy go mylić z trikami bilardowymi. Austriak Manfred Hekerle z organizacji Confédération International de Billard Artistique: „Triki to pozorowane trudności, my gramy w bilard ARTystyczny”. Inni zaczęli przede mną karambolowi „artyści” byli bardziej dosadni. Triki są bowiem pokazem sztuczek – dowolnie wymyślonym widowiskiem z użyciem różnych niebilardowych przedmiotów. Czemu to nie może być prawdziwy karambol?

Pewien architekt poznany kiedyś przeze mnie w lokalu, gdzie znajdował się stół karambolowy, stwierdził lakonicznie i bardzo trafnie: „Czysta geometria”. To najlepsza i najkrótsza definicja karambolu. Wystarczyła marginalizacja w PRL-u i „polowa” hegemonia w III RP, by bilard ten zniknął z naszej zbiorowej świadomości. Niedawno zwiedzałem Pałac Izraela Poznańskiego będący siedzibą Muzeum Miasta Łodzi. Przewodniczka, pokazując wycieczce szkolnej stół do karambolu, co prawda podała nazwę, ale przyznała, że nie wie, jak się w niego gra. Dodam, że są w tym obiekcie dwa takie stoły. Nie ma przy nich ani słowa odnośnie do zasad. Zabytkowe stoły karambolowe można też zobaczyć w zamkach w Łańcutie i Pszczynie oraz w pałacu w Kozłowie. Bez komentarza, ale bardzo chciało się zagrać.

© ŁUKASZ DZIADKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem i kolekcjonerem bilardowych artefaktów.

UMYSŁ Z METALU

Przypisuje się im luźny stosunek do standardów higieny,
deficyty w umiejętnościach społecznych,
a nawet zamiłowanie do spożywania kotów.
A co o miłośnikach ciężkiego brzmienia mówią badania naukowe?

ŁUKASZ JACH



OBCIĄŁEŚ WŁOSY NIE NOSISZ GLANÓW / Stałeś się dla mnie zdrajcą metalu” – słowa piosenki zespołu Nocny Kochanek może nieco żartobliwie pokazuje, że słuchanie muzyki metalowej to dla niektórych coś więcej niż przejaw osobistych upodobań. Nie brakuje też społecznych stereotypów na temat wielbicieli metalu. A co, gdyby sprawę potraktować poważnie i podejść do niej w naukowy sposób? Psychologicznych badań poświęconych metalowi i jego słuchaczom jest naprawdę sporo.

Muzyczne kowadło psychiki

Przez długi czas metal nie miał zbyt dobrej prasy. Wraz z punkiem, rockiem i hip-hopem zaliczano go do kategorii „problematycznej muzyki” (*problem music*) i oskarżano o negatywny wpływ na psychikę oraz sprzyjanie rozwojowi przemocy, uprzedzeń, przestępczości, uzależnień i zachowań buntowniczych. Nie pomagały w tym kontekście głośne samobójstwa, zbrodnie z użyciem broni palnej czy podpalenia świątyń, w które zaangażowani byli fani metalu. Choć jednak badania nad metalem i jego słuchaczami bywają motywowane prewencją, to ich wyniki pokazują dużą złożoność zjawisk związanych z gustowaniem w ciężkich brzmieniach. Pod prąd przekonaniom idą na przykład ustalenia badaczy z izraelskiego Uniwersytetu Bar-Ilana. Porównywali oni ze sobą słuchaczy „problematycznej muzyki” oraz osoby lubiące inne gatunki. Obie grupy nie różniły się pod względem tak zwanej Wielkiej Piątki cech osobowości, czyli ekstrawersji, neurotyczności, otwartości na doświadczenie, ugodowości i sumienności. Słuchacze z poszczególnych grup nie różnili się też pod względem samooceny. Miłośnicy „problematycznej muzyki” wykazywali się jednak bardziej buntowniczym nastawieniem, mniej dbali o swoje bezpieczeństwo i... częściej robili sobie tatuaże. Muzyka służyła im też częściej do regulowania aktualnego nastroju.

Od nieco innej strony to samo zagadnienie wzięli pod lupę naukowcy z Uniwersytetu w Westminsterze. Zamiast dzielić badanych na „metali” i „niemetali”, poprosili oni kilkaset osób o posłuchanie dziesięciu metalowych utworów i wskazanie, na ile te kawałki trafiają

w ich muzyczny gust. Badani wypełniali też kwestionariusze mierzące inne psychologiczne parametry. Przeprowadzone analizy znów nie wykazały związków pomiędzy preferowaniem mocnych brzmień a większością cech osobowości. Wyjątkiem była w tym przypadku większa otwartość na doświadczenie, która towarzyszyła silniej metalowym upodobaniom. Badani gustujący w metalu mieli również bardziej krytyczny stosunek do autorytetów oraz ciut niższą samoocenę, byli nieco mniej religijni, a także mieli podwyższoną potrzebę wyróżniania się spośród innych. Cóż, związana z ciężkim brzmieniem estetyka to wszak świetne narzędzie dla kogoś, komu zależy na niesztaampowym wizerunku.

Badania z końca ubiegłego wieku pokazywały, że metalowy gust jest powiązany z mniejszym zainteresowaniem nauką, słabymi wynikami w szkole i ogólnie obniżonym poziomem ciekawości świata. Słuchaczy takiej muzyki cechować miał natomiast wyższy poziom „ciemnych cech osobowości”, a w szczególności makiawelizmu, czyli gotowości do kierowania się w życiu chłodną logiką nastawioną na realizowanie własnych celów, oraz skłonności do pragmatycznego traktowania relacji społecznych. Czy jednak dziś, kilkadziesiąt lat później, takie patrzenie na słuchaczy metalu w ogóle ma sens? Naukowcy z kanadyjskiego Uniwersytetu MacEwana postanowili niedawno powiedzieć w tej sprawie „sprawdzam”. Przeprowadzone z dużym rozmachem badania słuchaczy różnych stylów muzycznych ujawniły, że dzisiejsi fani metalu mają wręcz wyższe potrzeby związane z poznaniem i ciekawością świata niż osoby słuchające innych gatunków. Osobowość dzisiejszych metali nadal zdaje się jednak być silniej nasycona „ciemnymi cechami”.

Kanadyjscy naukowcy wyjaśniają uzyskane wyniki w kontekście tego, co przez ostatnie trzydzieści lat w metalu się zmieniło, a co pozostało prawie takie samo. Utwory sprzed kilku dekad to często proste piosenki oparte na formule „zwrotka-refren-zwrotka-refren”, których struktura niewiele różni się od utworów z gatunku pop. Dzisiejsze kawałki metalowe są bardziej skomplikowane, miewają imponującą długość, a ich tempo i warstwa dźwiękowa kilkukrotnie zmieniają się w trakcie trwania. Dzięki temu słucha-

nie metalu może być intelektualnym wyzwaniem, atrakcyjnym dla ludzi lubiących wysiłek związany z doznaniem estetycznymi. Z drugiej strony, treść dzisiejszych utworów metalowych jest podobna do tej sprzed kilku dekad – nadal dotyczą one mrocznej strony ludzkiej natury, opowiadają o przemocy, śmierci i innych sprawach wywołujących silne, często negatywne emocje. Osoby o nihilistycznej, pragmatycznej lub ociekającej brutalnością wizji świata pociągać może to, że mają szansę słuchać dokładnie tego, co chcieliby usłyszeć.

Ferromagnetyczny testosteron

Ustalenia zespołu z Westminsteru pokazały, że metalowe kawałki bardziej podobają się mężczyznom niż kobietom. Choć świat metalu to także słuchaczki i wykonawczynie, w licznych doniesieniach podkreśla się jednak, że zdecydowana większość fanów tego rodzaju muzyki to mężczyźni. I ma to swoje konsekwencje. W dzisiejszej psychologii istnieją koncepcje mówiące, że poprzez działalność artystyczną ludzie popisują się swoim intelektem oraz przyciągają uwagę osób, z którymi można byłoby wejść w relacje romantyczne. Naukowcy z międzynarodowego zespołu, wśród których znalazła się również Anna Szala, badaczka z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, zwrócili jednak uwagę na to, że wykonawcy muzyki metalowej prezentują swoją sztukę głównie mężczyznom, a zatem ich charyzmatyczne popisy i umiejętności techniczne trafiają zwykle na grunt relacji w obrębie własnej płci.

Zastanawiając się nad tym faktem, naukowcy zbadali grupę kilkudziesięciu heteroseksualnych gitarzystów metalowych. Pod lupę wzięto zaangażowanie w szlifowanie gry na instrumencie, skłonności do rywalizacji wewnątrzplciowej oraz postawy gitarzystów względem swobodnych relacji seksualnych. Wyniki badania pokazały, że muzycy odczuwający silniejszą frustrację w sytuacjach znajdowania się niżej w hierarchii oraz czujący większą satysfakcję z „bycia na górze” poświęcali więcej czasu na ćwiczenie gitarowych akordów oraz starali się grać w szybszym tempie. Bardziej zmotywowani do ćwiczeń technicznych gitarzyści mieli również bardziej pozytywne postawy względem swobodnych relacji seksualnych oraz wskazywali większą

Fani zespołu Jinjer w hali Ergo Arena.
Gdańsk, 7 sierpnia 2022 r.

→ liczbę dotychczasowych partnerek. Wygląda więc na to, że w zmaskulinizowanym, osobliwym świecie ciężkich dźwięków zachodzi swoisty muzyczny „wyścig zbrojeń” nastawiony na przewyższenie cudzych umiejętności i uzyskanie dodatkowych, romantycznych korzyści.

A jak reagują mężczyźni wtedy, gdy za metal biorą się kobiety? Tematem zajęli się badacze z Uniwersytetu Erazma w Rotterdamie, którzy postanowili przyrzeć się komentarzom internetowym pod coverami metalowych utworów, zamieszczanymi w serwisie YouTube przez wykonawczyń-amatek. Punktem wyjścia ich analiz było zaczerpnięcie z *gender studies* pojęcie „tokenizmu”, oznaczające pozorną otwartość grupy większościowej na członków mniejszości, lekceważące traktowanie oraz wzrost wymagań w sytuacji odczuwania zagrożenia utratą aktualnej, wysokiej pozycji. Po przeanalizowaniu blisko tysiąca internetowych komentarzy autorzy badania doszli do wniosku, że w tym świecie, przynajmniej na poziomie amatorskim, panują warunki raczej sprzyjające równości płci. Niezależnie od tego, czy utwory coverowali mężczyźni, czy kobiety, pod ich nagraniami odnotowano podobną liczbę pozytywnych i negatywnych komentarzy. Identyczne były też proporcje treści wpisów, niezależnie od tego, czy odnoszono się w nich do jakości i techniki wykonania, czy do osobowości i wyglądu artystów. Kobiety otrzymywały jednak nieco więcej porad dotyczących wykonania niż mężczyźni. Nieco częściej formułowano też względem nich komentarze związane z wyłamywaniem się poza stereotypy oraz wypowiedzi dotyczące romantycznej miłości i erotyki. Sami badacze zwrócili jednak uwagę, że tego rodzaju komentarze ogólnie stanowiły raczej wyjątek, co mogło zaskakiwać w kontekście ogromnej przewagi mężczyzn w gronie słuchaczy metalu. I nawet jeśli u podstaw treści komentarzy leżała po prostu chęć dopasowania się do internetowej etykiety, pokazuje to, że wbrew stereotypom, metale potrafią zachowywać się stosownie.

Wyniki przeprowadzonych badań przekonują też, że miłośnicy płynących ze sceny pełnych mroku dźwięków są skłonni nieść pomoc osobom w potrzebie. Część uczestników metalowych koncertów czerpie radość z energicznego, pełnego poszturchiwań tańca, określanego

W muzyce heavymetalowej panują warunki raczej sprzyjające równości płci.

Niezależnie od tego, czy utwory coverowali mężczyźni, czy kobiety, pod ich nagraniami odnotowano podobną liczbę pozytywnych i negatywnych komentarzy.

jako *mosh*. W jego trakcie może dochodzić do uszkodzeń ciała, zwłaszcza jeżeli moshująca osoba upadnie. Badacze z amerykańskiego Hood College postanowili sprawdzić, jak społeczność metali reaguje na sytuację przewrócenia się tańczącej osoby w zależności od tego, czy jest ona kobietą, czy mężczyzną. W tym celu wybrali się na koncerty popularnych grup metalowych (wśród których był również swojski Behemoth), dołączali do tańczących grup, po czym... upadali i obserwowali reakcje pozostałych uczestników zabawy. Te nieco dziwaczne i na pewno wykonywane z dużym poświęceniem dla sprawy badania wykazały, że niezależnie od płci, w większości przypadków moshujący fani metalu mogą liczyć na pomoc. Wsparcie oferowane mężczyźnie było jednak inne niż to oferowane kobiecie. Faceta po prostu chwytano i pomagano mu wstać. Podobnie zachowywano się również wobec kobiety, przy czym mogła ona liczyć również na pomoc mniej bezpośrednią, w postaci chwilowego zabezpieczenia otoczenia tak, aby umożliwić dochodzenie do siebie przez nieco dłuższą chwilę. Opisana opiekuńczość byłaby zapewne łatwa do przecenienia dla kogoś obserwującego *mosh* z zewnątrz, mogącego dostrzegać w nim jedynie dziką ekspresję energii i agresji. Metalowy *mosh*, podobnie jak walc angielski czy macarena, ma jednak swoje reguły, a jedna z nich dotyczy szybkiego niesienia pomocy współtańczącym.

Ekstremalne częstotliwości

Często słyszy się, że dźwięki instrumentów w „Czterech porach roku” Vivaldiego

naśladują odgłosy przyrody: szum wiatru, ptasie trele czy burzowe grzmoty. Jeśli tak jest, to muzykę metalową porównać można do rzeczy, które zwykle budzą w ludziach niepokój czy wręcz przerażenie: trzęsienie ziemi, ryki groźnych zwierząt, gniewne lub nienaturalnie brzmiące głosy ludzi, których natężenie i bliskość w codziennych sytuacjach motywowałyby do ucieczki lub poszukiwania schronienia. Kiedy jednak o odbiór tego rodzaju dźwięków pyta się miłośników metalu, wyrażają oni pozytywne opinie i zapewnniają, że kontakt z taką muzyką to dla nich radosne przeżycie. Czy zatem metale odbierają dźwięki inaczej niż reszta populacji?

Odpowiedzi na to pytanie poszukiwała grupa badaczy z paryskiej Sorbony. W jednym z badań prezentowali oni fanom metalu oraz fanom muzyki pop krótkie zestawy dźwięków ludzkich głosów oraz instrumentów muzycznych, które albo miały swoje standardowe brzmienie, albo były zmodyfikowane tak, aby przypominać odgłosy obecne w metalowych utworach. Zadaniem badanych było określenie, w jakim stopniu dźwięki te wydają im się przyjemne dla ucha. Po przeanalizowaniu danych okazało się, że obie grupy nie różniły się w swoich ocenach – to, co brzmiało pozytywnie lub odstraszało dla fanów popu, działało podobnie na fanów ciężkiego brzmienia. W innych badaniach miłośnicy metalu okazali się być równie efektywni w wykrywaniu kierunków, z których nadchodzi dźwięki, co fani popu. Mało tego, preferencje badanych osób związane z metalowymi utworami padały w momencie, gdy równolegle z słuchaniem wykonywali obciążające umysł, wymagające szybkiego reagowania działania. Francuscy badacze doszli więc do wniosku, że metale nie różnią od słuchaczy innych gatunków muzycznych pod względem czysto zmysłowych mechanizmów przetwarzania dźwięków. Preferowanie ciężkiego brzmienia ma ich zdaniem wynikać raczej ze znaczenia, jakie metalowym tekstom i dźwiękom nadają sami słuchacze.

Psychologowie z Tajwanu wykazali jednak, że słuchanie metalu oddziałuje na nasz organizm na bardzo podstawowym poziomie. Wiele utworów z tego gatunku zawiera zarówno przyciągające, mroczne fragmenty, jak i bardziej liryczne momenty uspokojenia.



KAROL MAKURAT / REPORTER

Adam Nergal Darski z zespołu Behemoth podczas koncertu w trakcie Mystic Festival. Gdańsk, 8 czerwca 2023 r.

Sprawdzono więc, jak takie kontrasty muzyczne wpływają na szybkość oddychania oraz liczbę uderzeń serca. W tym celu prezentowano badanym albo wyłącznie „twarde” lub „miękkie” wycinki utworów metalowych, albo kompozycje składające się z fragmentów obu rodzajów. Uzyskane wyniki pokazały, że u słuchaczy dochodziło do bardziej gwałtownego spowolnienia akcji serca w trakcie słuchania fragmentów łagodnych, jeżeli poprzedzane były one dźwiękami z gatunku takich, które nie biorą jeńców. Pobudzenie związane ze słuchaniem mocnych brzmień zachodziło natomiast wolniej wtedy, gdy słuchacze zapoznawali się wcześniej z łagodnymi dźwiękami. Występujące w metalowych utworach gwałtowne przejścia, zarówno te od agresji do łagodności, jak i te od pokoju do ekstremalnej wojny, stanowią zatem środowisko akustyczne, w którym kultura pod rękę z fizjologią dostarczają szczególnego rodzaju cielesnych wrażeń.

Muzyka metalowa nie tylko wywołuje emocje, ale również pozwala nimi zarządzać. Według badaczy z Uniwersytetu w Queensland przebiega to jednak inaczej niż w wyobraźni osób widzących w metalu źródło wielu społecznych problemów. Naukowcy na początku pod-

pieli kilkudziesięciu fanów metalu do aparatury mierzącej tętno oraz poprosili o wypełnienie kwestionariusza badającego ich aktualne emocje. Następnie uczestnicy mieli przypominać sobie sytuacje życiowe, w których czuli naprawdę silny gniew, po czym następował kolejny pomiar stanów emocjonalnych. Potem części badanych polecono oczekiwać w ciszy na kolejną część eksperymentu, a pozostałych poproszono o oczekiwanie na kolejną część badania, gdy w tym czasie odtwarzano im metalowe utwory. Ostatnią częścią badania był kolejny pomiar aktualnie odczuwanych emocji.

Analiza tętna pokazała, że początkowe pobudzenie badanych w obu grupach miało podobny poziom, po czym wzrastało na etapie przypominania sobie sytuacji związanych z gniewem. O ile jednak w grupie kontrolnej tętno ulegało potem obniżeniu, o tyle wśród słuchających metalu wciąż było wysokie. Pomimo różnic fizjologicznych obie grupy nie różniły się jednak od siebie w subiektywnych ocenach odczuwanych emocji, takich jak wrogość czy relaks. U tych, którzy podczas oczekiwania na kolejny etap badań słuchali muzyki, odnotowano jednak wyższe wskaźniki aktywności i poczucia inspiracji. Zdaniem australijskich bada-

czy świadczy to o możliwości wykorzystywania metalu do regulowania emocji odczuwanych w codziennych sytuacjach. Z jednej strony sami fani mocnej muzyki mogą niejako samodzielnie sięgać po nią, aby cytryny napotykanymi trudnościami zamieniać w lemoniadę bardziej kreatywnego działania. Z drugiej zaś – tkwiący w metalu potencjał może pomagać w rozbudzaniu twórczych tendencji podczas terapii osób na co dzień lubujących się w takich właśnie utworach.

Promieniowanie przenikliwe

Utworów metalowych raczej nie usłyszymy w rozgłoszeniach głównego nurtu. Widoczne zainteresowanie świata nauki metalem i jego słuchaczami można jednak uznać za komplement w stronę ich wyrazistości oraz wyjątkowości. Wypada wspomnieć przy tym, że ciężkie brzmienie doczekało się nawet własnego czasopisma naukowego pod tytułem „Metal Music Studies”. Ukazuje się ono trzy razy w roku, a za publikowanie tam artykułów punkty liczące się do ogólnego dorobku naukowego przyznaje również polskie Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

Do pogłębiania doświadczeń związanych z słuchaniem metalu mogą zachęcać też... sami naukowcy, prezentujący w swoich publikacjach długie listy utworów, jakie wykorzystywali w swoich eksperymentach. Przykładowo, w jednym z badań poproszono gitarzystów o wskazanie, jak bardzo podobają im się dwa utwory: klasyczny „Iron Man” zespołu Black Sabbath oraz reprezentujący technicznie zaawansowany, ekstremalny metal „Shards of Scorched Flesh” amerykańskiej grupy Rings of Saturn. Utworów tych warto poszukać na którejś z platform streamingowych i spróbować wysłuchać od początku do końca. Dla niektórych mogą być to minuty, które naprawdę trudno będzie zapomnieć. Z innej perspektywy, badania przeprowadzone wśród osób, które w młodości słuchały metalu, wykazały, że wspominają one swoje młodzieńcze czasy jako okres bardziej szczęśliwy niż ludzie o innych gustach muzycznych. Ozzy Osbourne w jednej z piosenek z albumu „Diary of a Madman” śpiewa, że nie da się zabić rock’and’rolla. Być może nie da się zabić także nostalgii zostawiającej po sobie metaliczny posmak? © ŁUKASZ JACH

MASŁOWSKA OD KUCHNI

Jest naszym najwrażliwszym pisarskim medium.
Dziś pokazuje, że wcale nie potrzebujemy innych, by zrobić sobie z życia piekło.
Wystarczy lustro albo smartfon. W samotności stajemy się
dla samych siebie najgorszymi oprawcami.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

KIEDY NIEDEŁUGO PO PREMIERZE „Wojny polsko-ruskiej” (2002) zacząłem studia na warszawskiej polonistyce, wszyscy marzyliśmy o tym, żeby być drugą Masłowską. Co było oczywiście niemożliwe, bo Dorota Masłowska jest tylko jedna.

I to podwójnie. Po pierwsze, jest jedna we wszystkich swoich artystycznych wcieleniach. W przeciwieństwie na przykład do takiego Edwarda Redlińskiego, którego proza zmieniała się nie do poznania z powieści na powieść, czyniąc z autora „Konopielki” fascynujący przykład literackiej osobowości mnogiej. Po drugie, Masłowska jest jedna, bo nie ukształtował się w polskiej literaturze nurt porównywalny np. z powieścią chłopską, w ramach którego wielu autorów tworzyłoby dzieła podobne formalnie i treściowo. Zdarzały się co najwyżej podróbki.

Ale „Magiczna rana”, wydana właśnie w Karakterze, to certyfikowany oryginał. Sto procent Masłowskiej w Masłowskiej.

Co jeść, gdzie bywać

Menu jest raczej proste. Mama umie gotować. Tyle że to, co ugotuje, jest zazwyczaj niezbyt dobre, więc całą rodziną zamawiają pizzę z Tricolori, choć wiedzą, że potem gluten „kiluje komórki ich ciał, rozwała żołądki, tarczycę i mózgi”. Zauroczona kochanka zamawia śniadanie w Hotelu Encore. Tosty okazują się „stare, podarte i mokrawe”. Zła wróżba, która szybko się spełni.

Zoldana – poetka-stypendystka w obcym, bogatym kraju – nie potrafi nic zjeść ani wypić jak należy. W ogóle wszystko robi nie tak: siedzi nie tak, niewłaściwie rozmawia, nawet śmieci porządnie posortować nie umie. Pływa też jakoś tak koślawo. Tyle z niej pożytku, że małego Armina, który miał pecha stać się świadkiem jej utonięcia, mama na pocieszenie zabierze do Burger Kinga.

Tymczasem ohydne tosty wracają. Zmęczony barman z dziwnym tatuażem najbardziej na świecie nienawidzi ich przygotowywać. To się źle składa, bo akurat pracuje w knajpie, gdzie nic innego do jedzenia nie ma. Więc do wyboru ma szykować tosty, albo rozpamiętywać kazirodczy związek, w jaki uwikłał się ze znacznie młodszą kuzynką.

W prawdziwym piekarniczym piekle znalazła się sprzedawczyni w modnej Chlebovni, nieustannie oceniana przez szefową, przez piszących opinie w internecie klientów, przez lepiej sytuowaną współlokatorkę, wreszcie przez psychiatrę, która po próbie samobójczej ma dla dziewczyny zaledwie kilkanaście minut i mało praktyczną radę.

Oto młody adept finansów i bankowości (chwilowo bez pracy, ale wciąż z kartą Multisport) – nareszcie ktoś, kto odżywia się jak należy. Tym bardziej jednak cierpi, patrząc na otaczające go „godzille przebrane za rekinę biznesu” bez umiaru pochłaniające drożdżówki.

Klasowa winda mknie dalej do góry. „Ding” i wysiadamy na najwyższym piętrze apartamentowca, gdzie właśnie wprowadziła się ta znana aktorka, której nazwiska akurat zapomniałeś, i jej mąż – reżyser (reklam). Szykują *housewarming party*, czyli po naszymu – parapełnowe. Będzie *fondue* i specjalny chleb do *fondue* kupiony oczywiście w Chlebovni. Będzie też kokaina i lzy.

I znowu tosty. Takie prawdziwe, z parówką, serem i ananasem z puszką, robiła mama bohaterki. Te, które wraz ze spotkaną na pogrzebie przyjaciółką zjedzą w knajpie, to tylko nędzna podróbka. Być może dlatego, że przygotowuje je facet z dziwnym tatuażem, który najbardziej na świecie nienawidzi robić tostów?

Kod kulinarny

Dorota Masłowska nie od dziś jest znaną miłośniczką tematyki spożywczej, uznaną autorką felietonów parakulinarnych, która – jak sama przyznaje – „w wolnym czasie również trochę je”. Ale kod kulinarny to tylko jeden z wielu możliwych wytrychów do „Magicznej rany”. Pewnie tak samo dobry, jak kilka innych motywów uporczywie powracających w dziesięciu krótkich opowiadaniach. Bohaterowie każdego z nich uprawiają seks (lub przynajmniej o nim fantazjują) i kłócą się; w kolejnych odsłonach przewija się temat mieszkań (lub ich

→

Dorota Masłowska, 2024 r.



SZYMON ROGIŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA KARAKTER

→ braku), a także kwestia relacji międzypokoleniowych.

Ale trzymajmy się już tego jedzenia. Każda wzmianka o nim – od subtelnego „nie chce mi się dziś gotować”, przez leżący gdzieś w tle tom „Pełni życia bez glutenu” aż po rozbudowane opisy wege wesela – służy tu głębszemu celowi, jakim jest budowanie napięcia między „właściwym” i „niewłaściwym”; między „czuję się u siebie” a „byciem nie u siebie”.

Jak słusznie zauważyli starożytni Grecy, samotnie jeść mogą tylko zwierzęta lub bogowie. Właściwe ludziom jest jedzenie wspólnotowe, rzecz można nawet: uczto-owanie. Jedzenie – nawet to wcinane po kryjomu, ze wstydem – jest zawsze tłem społecznego rytuału, który pozwala odróżnić swoich od obcych, dobro od zła.

Każda kultura, każda grupa społeczna, a nawet każda rodzina ma jakieś kulinarne tabu, co sprawia, że w gruncie rzeczy nadal żyjemy w tym samym ogrodzie, w którym sam Bóg przykazał Adamowi i Ewie, by nie ruszali pewnego typu owoców. Zawsze jest jakieś zakazane drzewo. Problem polega tylko na tym, że w świecie błyskawicznie zmieniających się norm, rozbuchanych aspiracji, globalnej popkultury i tygodni regionalnych w Lidlu strasznie trudno nadążyć za tym, jakie są aktualnie obowiązujące normy dobrego smaku, a za co można z hukiem wyliciec z Edenu.

Za pomocą opisów jedzenia Małowska uchwytuje więc to samo, co Gombrowicz w „Operetce” przyspilił opowiadając o modzie: „Ten sztyf mistyczny, niezrozumiały dla niewtajemniczonych, któhym wyższa sfera izoluje się od sfery niższej.” Klasa niższa nie daje się łatwo zepchnąć na margines – „hobi co może, żeby przyswoić sobie zahówny naszą modę, jak nasze maniehy, ale też dlatego ciągle trzeba wphowadzać innowacje, mylące thop”.

Piekło to inni

Bardzo imponuje mi sposób, w jaki Dorota Małowska zongluje w „Magicznej ranie” punktami widzenia – zarówno po-

Przepisy siostry Doroty

■ HAMBURGER



Jest to gówno preparowane, chemicznie wynaturzane, zmieniane ze swego składu na inny skład i smak. Jest to już

kwestia specjalistyczna, technologie produkcyjne, procedury, precedensy. Jedno gówno idzie bardziej na te bułki, z drugiego robią mięso, z trzeciego cebulę, z czwartego, najgorszego rodzaju gówna, keczup i musztarda.

(„Wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną”)

■ PĄCZKI Z DŻEMEM



on wykonuje kupowania wielu pączków gest z dżemem, bo również cukiernicze tu można zaspokoić fanaberie, kupuje o wiele za wiele niż może zjeść, o wiele za wiele, skąd pieniądze ma ten Piotruś na takie frykasy z dżemem za groszy dziewięćdziesiąt dziewięć, to jednego oiro ćwierć, w Niemczech można za to jedną zapatkę i odpowiadając jej ilość draski mięć, a w Polsce można za to przeżyć cały dzień, tak korzystnie cenowo u nas jest

(„Paw królowej”)

■ CHLEB



On mówi, że jego stara Chleba nie kupuje, tylko piecze sama Kiedyś ciągle najebana, teraz uśmiech ma na twarzy Chleb se wypieka,

o śmierci już nie... marzy

(„Mister D.”, „Chleb”)

■ SAŁATKA Z KAPUSTY KAMILI



Składniki: garść rukoli, kilo suszonych pomidorów z indyjskimi rybkami huseli, kilka wymoczonych w burgundzie żurawin, żarwiasty pieprz. (...)

Przygotowanie:

rukoli, suszonych pomidorów, żurawin i żarwiastego pieprzu nie kupować, bo nie ma gdzie i też nie są do niczego potrzebne. Należy przebywać na wsi w porze letniej i przejść do Kamili na grilla.

(„Więcej niż możesz zjeść”) © MN

między opowiadaniem, jak i wewnątrz nich. Proste sceny zyskują dodatkowe warstwy emocji i znaczeń, gdy kolejno spoglądamy na nie oczyma różnych postaci. Spojrzenie dziecka, matki, pożądliwego kochanka, spojrzenia zranionego i tęsknego, pełne nadziei oraz te zupełnie nadziei pozbawione – każde z nich daje nam lekcję empatii. Najciekawiej robi się, gdy postaci patrzą wzajem na siebie. I gdy bohaterowie uświadamiają sobie, że ktoś patrzy na nich.

Bo zawsze ktoś patrzy. Ktoś nieustannie ocenia. Najlepiej widać to chyba w historii Zoldany – tej poetki-stypendystki, która przeżywa typowe migracyjne doświadczenie „bycia nie u siebie”. Zoldana stopniowo roztopia się w ogniu karzących spojrzeń lepiej lub gorzej studzonych fałszywą życzliwością i polityczną poprawnością. Traci starą formę, ale nowej nigdy nie zdąży zyskać. Nowy kraj nęci i zaprasza, „jednak gdy tylko zachęcona chciała rozpuścić włosy i ruszyć kłusem wśród jego powojów, rozbijała się boleśnie o coś twardego, kuloodpornego. Dzieliła ją od jego uroków i bogactw tak starannie umyta, że aż prawie niewidzialna zabezpieczająca szyba. Zoldana była tu zawsze na zewnątrz, nigdy w środku”.

To chyba dobra okazja, by zauważyć, że może i Małowska za bardzo się nie zmienia, ale my, jej czytelnicy – owszem. Polska jest dziś w zupełnie innym miejscu niż dwie dekady temu, w czasach „Wojny polsko-ruskiej”. Dziś zaklinowani w ciasnym przekopie między wschodem a zachodem czasem jesteśmy Zoldaną, a czasem jej pochłoniętymi segregacją sąsiadami. Nasze spojrzenie raz kieruje się w górę, innym razem w dół, zawieszane gdzieś między pogardą a kompleksami. Jak uczy historia, jest to szczególnie niebezpieczna mieszanka.

Sartre twierdził wprawdzie, że piekło to inni, ale Małowska pokazuje, że wcale nie potrzebujemy innych, by zrobić sobie z życia fanfik Dantego. Wystarczy lustro albo ekran smartfona.

W samotności stajemy się dla samych siebie najgorszymi oprawcami. Po przetłumaczeniu tego na kod kulinarny dostajemy na przykład obsesję zdrowego żywienia. Nieustające poczucie, że czające się wszędzie „węgle”, „gluteny” i „chemie” uczynią nas nieatrakcyjnymi, nie-modnymi albo nawet i biednymi, jeśli



Najciekawsze tematy
nowego numeru „Tygodnika”
w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.

Śluchaj na żywo lub w podkastach na Radio357.pl



Porzucona ironia

KIEDY DZIESIĘĆ LAT TEMU Dorota Maśłowska pod pseudonimem Mister D. nagrała płytę „Społeczeństwo jest niemile” (powyżej foto z jej promocji), mieszkająca w Paryżu rosyjska artystka Olga Kisseleva realizowała projekt o nazwie „Hiper-rzeczywistość”. Uzyskując zgodę na dokumentację produktów rekwizowanych przygodnym złodziejaskom przez ochronę hipermarketu, Kisseleva wykonała serię zdjęć przedstawiających złożone z przedmiotów pożądania kompozycje. Wielkoformatowe fotografie przypominają holenderskie martwe natury, zaskakują przepychem. Co próbowano ukraść we francuskim Carrefourze? Nie artykuły pierwszej potrzeby, ale towary, których chęć posiadania wykreowały media: organiczną kawę bio, *raclette* z szynką, przewodniki turystyczne, cukierki i energetyki.

KISSELEVA I MAŚŁOWSKA od wielu lat realizują bardzo podobny projekt wywlekania na wierzch i układania kompozycji z tego, co bywa naszą grzeszną przyjemnością i ukrytym pragnieniem. Obie korzystają przy tym z barokowego przepychu, kumulacji i nadmiaru oraz przesady. Kisseleva wizualnej, Maśłowska – słownej. Obie próbują też wyjaśnić, co nam to wszystko mówi o nas samych, ale tak na serio (Kisseleva założyła w tym celu na Sorbonie laboratorium Art & Sciences). Zarówno „Wojna polsko-ruska” (2002), „Paw królowej” (2005) oraz „Kochanie, zabiłam nasze koty” (2012) Maśłowskiej czerpały z języka kreowanego przez telewizyjne programy rozrywkowe, media społecznościowe, poradnikową prasę, zmieniające się mody i sposoby życia oraz

samych celebrytów (żony piłkarzy, prezenterki śniadaniówek, polityków i Magdę Gessler). Pisarka relacjonowała, w jaki sposób intensywnie zmieniający się od lat 90. język polski nas przepoczwarza: zepsuta składnia ma naturę wirusa.

SZYBKO TAKŻE SPOSTRZEGŁA, kiedy rap stał się formułą, w jakiej opowiadamy sobie rzeczywistość. Nie dlatego, że pozwala dzieciakom z biednych osiedli opowiedzieć o trudnym życiu. Dziś to pomnażający beztroskę i celujący w osobowości histrioniczne karnawał. Korzystająca z tego nadmiaru Maśłowska najpierw popłynęła na fali nowego rapu, a następnie osiadła na mieliźnie ironii.

GDY ZADEBIUTOWAŁO nowe pokolenie wiele jej zawdzięczających, wychowanych na jej frazie pisarzy, szybko wytknięto, że pisarka „zaprzęga zaawansowaną wyobraźnię i maszynierię pisarską do beki” (słowa prozaika i dramaturga Mateusza Górnika). Jej „Inni ludzie” (2018) – choć niezwykle sprawni językowo – zapowiadali wyczerpanie pewnego modelu twórczości. Wiedziała o tym.

PUBLIKOWANE W „TYGODNIKU POWSZECHNYM” felietony (2020-2022), płyta „Wolne” (2023) oraz zbiorek „Magiczna rana” (2024) pokazały nową Maśłowską – czułą dla siebie, bardziej wyrozumiałą dla swoich bohaterów. Wciąż oczywiście grzebiącą w resztkach z języka, ale bliższą sprawom ciała i serca. Sięgając po słowa i obrazy niechciane, brzydkie i wstydlive, Maśłowska zaczęła z nich składać swój intymny portret. Patrzenie: taka jestem, czasem „rzygać mi się chce”, czasem „muszę natychmiast się kochać, krzyczeć i rodzić”, a kiedy indziej „boję się śmierci”. To już nie „inni ludzie”, to bezbronna Ona. ©P MONIKA OCHĘDOWSKA

tylko na chwilę stracimy czujność. Jak w „Białkołolikach” albo „Miksie Sałat” Taco Hemingwaya – zdrowe jedzenie stało się nowym nałogiem, nie mniej uzależniającym niż alkohol i kokaina.

Kolejni autorzy *science fiction* inspirowani „Czarnym lustrem” straszą nas, co będzie, jeśli obecny system się zawali i zastąpi go jakaś przerażająca dystopia oparta na stałej kontroli i przyznawaniu punktów. Maśłowska przedstawia scenariusz dużo straszniejszy. Co będzie, jeśli obecny system będzie tak sobie po prostu trwał?

W „Magicznej ranie” widać, że dzięki technologii dystopijną przyszłość mamy już dziś. Już teraz niepewna egzystencja całej klasy ludzi zależy od tego, co napisze w internecie kapryśny klient, któremu uroiło się, że jest Magdą Gessler.

Jak ten pechowy barman od tostów. To sty śnił mu się po nocach, odkąd jakiś facet napisał w opiniach Google, że „znalazł w swoim zapieczonym kawałku paragonu”. „Przychodzisz do knajpy, to pij wódkę albo piwo i się baw” – doradza mu bohater, niestety tylko w myślach, bo jak tu namierzyć anonimowego kozaka z netu? – „gadaj ze znajomymi i ciesz się życiem, a nie zamawiaj gównotosty za dwadzieścia zeta i potem dziwuj się i lamentuj, że to nie był puszysty suflet z muśnięciem aerozolu truflowego”.

Hotel Encore

Bohaterowie Maśłowskiej nadal nigdy nie „włączają” – zawsze „włanczają”. Język jej prozy pozostaje genialnie zepsuty: skontaminowany reklamą, zanieczyszczony popkulturą, ale też coraz bardziej zdegenerowany przez lenistwo i autouzupełnianie podpowiadające nam najgorsze banały. Bohaterowie Maśłowskiej mówią mową cudzą. Przemawiają przez nich spece od marketingu i internetowi guru pop-psychologii, nawiedzają ich frazesy i powiedzonka, opętuje ich gniew Twitera, wścibstwo Facebooka, narcyzm Instagrama i w ogóle wszystkie Grzechy Głównie XXI wieku.

Maśłowska od dwóch dekad pozostaje najwrażliwszym medium na polskiej scenie literackiej. W „Magicznej ranie” snuje piękne opowieści o relacjach międzypokoleniowych i klasach społecznych oraz o sekretnych kodach, za pomocą których dzielimy się na lepszych i gorszych.

→ Świat „Magicznej rany” jest więc ten sam, co „Wojny polsko-ruskiej”. Tylko chyba jeszcze bardziej podzielony niewidzialnymi, kuloodpornymi szybami. Z jednej strony rozciąga się królestwo tanich słodczy z promocji, wszystkich po pięć złotych i bezwstydnym podróbek. Z drugiej – słoneczna kraina biojedzenia, segregacji odpadów i niepokalanym meblu na zamówienie. Te dwie rzeczywistości nie mogą bez siebie istnieć. Mają sens tylko zderzone.

Niebo naprawdę istnieje, tyle że nie jest dla nas. Można więc zgadywać, że pewnie istnieje też piekło. Być może jest nim Hotel Encore, w którym spotykają się bohaterowie „Magicznej rany”. Jest to (podobnie jak „Hotel Marmur” Taco Hemingwaya) taki Hotel California na miarę naszych polskich możliwości („*You can check out any time you like / But you can never leave*”). Trochę jeszcze w budowie, a trochę już w rozbiórce. Zawieszony gdzieś w zgliczowanej przestrzeni między naszymi marzeniami i kompleksami. Po jego wyleńniętych wykładzinach blakają się widma, jakich nie powstydziliby się ani Wyśpiański, ani Stephen King.

Bo to trochę też jest hotel z horroru, hotel z książkowego i filmowego „Lśnienia”; pełen wszystkich tych pokoi, korytarzy i piwnic naszej indywidualnej i zbiorowej nieświadomości, gdzie wyparte sceny grozy czekają na okazję do powrotu. Jak tytułowa „magiczna rana”, która „nigdy się nie zaraża ani nie goi. Zakłète w niej cierpienie ciągle się odnawia, pobudzając i przynosząc nieskończone korzyści. Może pani poprosić o co bądź, a to się spełni”. Może dziś to my wygramy w Eurojackpota?

Gwiazdki, dużo gwiazdek

Wydawnictwo reklamuje „Magiczną ranę” jako „trashową powieść”. Domyślam się, dlaczego. Jak opowiadał mi pewien wydawca podczas gali jednej z nagród literackich, których nie otrzymałem, opowiadania słabo się w Polsce sprzedają. Polski czytelnik nie lubi krótkiej formy. Mam nadzieję, że nie zapeszę, jak mimo to napiszę, że „Magiczna rana” to jednak jest najprawdziwszy z tego gatunku literackiego wszystkie soki, w niczym nieustępujący chociażby nowemu zbiorowi George’a Saundersa.

Tyle że opowiadania Masłowskiej nie są oddzielne, a składają się w sprytną całość. Ścieżki jej bohaterów nieustannie się przecinają, nawet jeśli wszystkie prowadzą donikąd. Czytając „Magiczną ranę” stopniowo odkrywamy, że kolejne historie – by użyć modnego słowa – osadzone są w jednym uniwersum. Być może w związku z ciągłością formy i treści, o której już pisałem, jest to uniwersum wykraczające nawet poza ramy tego tomu. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby w którymś momencie przez scenę przemknął dresiarz Silny, Kamil z „Innych ludzi” albo nawet sama Masłowska we własnej osobie, bo niby czemu nie?

A może wręcz jest to część większego multiwersum, do jakiego coraz częściej zapraszają nas ostatnio korporacje zarządzające prawami autorскими do wielkich franczyz superbohaterskich – wiele przecinających się, równoległych światów współtworzonych przez różne osobowości mniej lub bardziej artystyczne. Bo, jak już kilka razy wspominałem, bardzo to wszystko przypomina na przykład Taco Hemingwaya z jego przełączaniem punktów widzenia z „Trójkąta Warszawskiego”, uchem do marek i dżingli oraz wyblakłymi fantazjami o egzotycznych wakacjach.

To nie jest ten typ recenzji, w którym się na koniec daje jakieś gwiazdki, a ja tylko udaję krytyka literackiego. Kto ma przeczytać – i tak przeczyta. A kto nie przeczyta – niech żałuje. Bo za obскую fasadą „Magicznej rany” kryje się „luksusowa rezydencja z loftami, z high endowymi butikami, restauracja z pięcioma gwiazdkami Michelin, showroom z winami, lądowisko dla helikopterów gwiazd”.

I nie ma co się dłużej rozpisywać, bo jak słusznie zauważył Taco Hemingway w utworze „Człowiek z dziurą zamiast krtani”: „Nie będę się produkował / Bo wszystko już opowiedziała Masłowska”. © MARCIN NAPIÓRKOWSKI



Dorota Masłowska
MAGICZNA RANA
Wydawnictwo
Karakter
Kraków, 2024 r.

Punkowa kreska

REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

Wielokrotnie wykorzystywał komiks jako kanał emocjonalnego ujścia. Jego albumy opowiadały o zaburzeniach psychicznych, służąc za narzędzie autoekspresji, choć sam nieraz z arteterapii kpił.

NIE JESTEM WIRTUOZEM. JESTEM GOŚCIEM, który musi przesiedzieć długie godziny nad rysunkiem” – przyznał w rozmowie z Radio France. Manu Larcenetowi, przedstawicielowi komiksowej Francuskiej Nowej Fali, słowo talent zawsze wydawało się podejrzane. Jest po prostu jednym z tych, którzy uważają, że za sztuką stoi harówka.

Na jego bibliografię składa się dziś wiele różnorodnych tytułów, wśród nich komiksy nagrodzone nie tylko we Francji. W Polsce rysownik wielokrotnie zdobywał nagrody Polskiego Stowarzyszenia Komiksowego, a wśród rodzimych miłośników opowieści obrazkowych premiera „nowego Larceneta” traktowana jest jak małe święto. Dość powiedzieć, że nakład 2 tys. egzemplarzy wydanej przez Mandiokę „Drogi” w tłumaczeniu Pawła Łapińskiego (rysowanej na podstawie słynnej powieści Cormaca McCarthy’ego) rozszedł się w niecałe trzy miesiące – to na polskim rynku naprawdę duży sukces.

Po zrzuceniu glanów

Mały Larcenet nie rozstawał się z przybarami do rysowania, odkąd skończył dwanaście lat. W liceum zajęcia z rysunku przeplatał malowaniem fresków na ścianach – był wówczas zarówno wzorowym punkiem, jak i lewicowym radykałem. Z wiekiem nie tyle spokojniał, ile postawił na indywidualizm, porzucił hardkorową kapelę, odwiesił glany i poświęcił czas komiksom.



WYDAWNICTWO MANDIOCA / MATERIAŁY PRASOWE

Plansza z albumu „Terapia grupowa”

Szybko został dostrzeżony i zatrudniony w miesięczniku „Fluide Glacial” przez Gotliba (wł. Marcela Gottlieba), legendę frankofońskiego komiksu. Twórca dezynwoltura Manu, jak również jego zamiłowanie do absurdu i parodii, współgrały z satyrycznym profilem czasopisma. Publikacje na łamach poczytnego magazynu przyniosły rozgłos, który przełożył się na zainteresowanie najważniejszych domów wydawniczych nad Sekwaną – Dupuis, Glénat, Dargaud.

Przyczyn szybkiego sukcesu Larceneta można doszukiwać się w jego warsztacie. Rysownik czuje się świetnie zarówno w efektownych gatunkowych opowiadaniach, jak i intymnych autobiograficznych wyznaniach. Radzi sobie zarówno z *cartoonem* i *ligne claire*, jak i quasirealizmem (zob. ramka), a jego różnorodność stylistyczna idzie w parze z szerokim zakresem tematycznym.

O ile we „Fluide Glacial” laureat nagrody dla najlepszego albumu znanego festiwalu w Angoulême spełniał się przede wszystkim jako niepokorny sowizdrzał, o tyle w autorskich komiksach na pierwszym planie umieszczał własne odczucia i emocje. Niemala część utworów Manu zasadza się na jego życiorysie. W 1997 r. wspólnie z przyjacielem Nicolasem Lebedem założył oficynę Les Rêveurs (po polsku: Marzyciele), która stała się poligonem doświadczalnym dla jego autobiograficznych eksperymentów.

Walka o codzienność

W albumie „Dallas Cowboy” (1997) Larcenet wziął się za zmagania z bezsennością. W rozgrywającej się na przecięciu jawy i snu historii artysta przygląda się własnej chorobie, przywołując raz po raz wspomnienia z dzieciństwa i głęboko skrywane lęki. Równie ciekawe jest „Presque”

(1998), w którym wraca myślami do lat obowiązkowej służby wojskowej. W rozliczeniowej manierze wymienia nieprzyjemności, jakie go spotkały, aby, jak pisze we wstępie, wyrównać rachunki i z podniesionym czołem spojrzeć na swoich oprawców. Oba albumy, choć ważne dla autora, są zaledwie wprawką. Widać, że powstały w czasie, gdy styl Larceneta dopiero nabierał kształtu.

Zasiadając kilka lat później do rysowania „Le Retour à la terre” (2002-2008) był już rysownikiem wyrobionym. W zilustrowanej do scenariusza Jeana-Yvesa Fieriego serii niegdyś satyryk powrócił do komedii, jednak tym razem punkowe przedrzeźnianie rzeczywistości znów ustąpiło miejsca autotematycznemu dowcipowi. Komiks Francuzów przedstawia losy niejakiego Manu Larssineta, paryskiego rysownika, który po latach kiszienia się w mieście postanawia zamieszkać wraz z partnerką i kotem na prowincji.

Nie trzeba być Herkulesem Poirotem, aby zauważyć, że Larssinet to w rzeczywistości *alter ego* Larceneta. Zresztą twórcy wykładają kawę na łąkę już w drugim tomie. „To Manu, opisywany przez Fieriego, lecz rysowany przez Manu, z tą różnicą, że kiedy Manu z komiksu rysuje, Manu zmienia swój styl, aby nikt nie zauważył, że rysuje jak on” – tłumaczy pokrętnie założenia „Le Retour à la terre” komiksowa Mariette.

Epizodyczna, pełna kreskówkowej przesady opowieść Fieriego i Larceneta przywodzi na myśl klasyczne paski z magazynu „Spirou”. Na innym biegunie estetycznym znajduje się nagrodzona w Angoulême „Codzienna walka” (2003-2008, wyd. polskie 2016). Odpowiedzialny nie tylko za ilustracje, ale też scenariusz Manu opisuje w niej perypetie Marca, wypalonego fotoreportera, który postanawia poszukać świętego spokoju żyjąc poza miastem.

Album obfituje w wątki autobiograficzne, choć tym razem są one zawalowane. Larcenet użycza protagoniście swojej twarzy oraz temperamentu, a nawet dzieli się z nim domem (gros lokacji przewijających się w kadrach posiada swoje rzeczywiste odpowiedniki). Mimo że w tle pojawiają się przemiany społeczno-polityczne we Francji lat zerowych, *clou* „Codziennej walki” pozostaje intymna historia o dojrzewaniu do zmian w obliczu depresji i panicznego lęku. ➔



Kadr z albumu „Blast”

W głąb mroku

→ Larcenet wielokrotnie wykorzystywał komiks jako kanał emocjonalnego ujęcia. Stworzone przezeń albumy opowiadały o zaburzeniach psychicznych, służąc za narzędzie autoekspresji (co ciekawe, sam autor nieraz w swoich utworach z arteterapii kpił). Od momentu diagnozy powracającym wątkiem w twórczości komiksowego nowofalowca jest życie z chorobą afektywną dwubiegunową.

Wydana nad Wisłą nakładem Mandioki „Terapia grupowa” (2024) to smółście czarna komedia, w której Manu szarga tabu, opowiadając bez ogródek o swoich epizodach maniакаlnych i depresyjnych. Historię o chorobie ubiera w płaszcz zbzikowanej opowieści o kryzysie twórczym. Dracznе perypetie Jeana-Pierre’a Boua-Pasztette’a, kolejnego *alter ego* autora, przypominają utkany z gagów strumień świadomości, w którym znaleźć można kłębowisko inspiracji: mangi, paski ze „Spirou”, tabloidy, poradniki, *chiaroscuro*, karykatury i Cézanne’a.

„Po »Codziennej walce« wiedziałem, że zamierzam sięgnąć do burzącego się we mnie mroku. Wykluczenie, przemoc, szaleństwo – musiałem to wszystko z siebie wyrzucić” – stwierdził Larcenet w wywiadzie dla tygodnika „L’Express”. Tak powstał „Blast” (2009, wyd. polskie 2022-2023), rozpisana na osiemset stron opowieść o granicach człowieczeństwa, uznawana nie bez kozery za *opus magnum* wychowanka „Fluide Glacial”.

Głównym bohaterem kryminalnej tetralogii jest Polza (imię znaczy tyle, co „pamiętaj o przykazaniach Lenina”) Mancini, niegdysiejszy krytyk kulinarny,

obecny kłozard, oskarżony o dotkliwе pobicie młodej kobiety. W trakcie czterdziestoośmiogodzinnego przesłuchania osobliwy mężczyzna dzieli się z funkcjonariuszami swoim przepełnionym cierpieniem życiorysem, w tym wspomnieniami tytułowych blastów – momentów transcendentnego uniesienia, przypominających w istocie narkotyczny wid.

„Blast” znajduje się na antypodach komediowo-biograficznego „Le Retour à la terre”. Sam autor na antenie Radio France przyznał, że zależało mu na stworzeniu szczerego obrazu bólu, pozbawionego nawet odrobiny otuchy. Bo właśnie tak widzi depresję – jako unicestwienie pragnień i ograbienie z nadziei.

Polza jest postacią uosabiającą bolączki Larceneta, miota się od manii do załamania i nieustępliwie poszukuje ulgi, choćby krótkotrwałej. Tę gwarantują blasty. Droga do nich prowadzi przez hektolitry alkoholu, grudy zanieczyszczonej heroiny oraz ustawiczne narażanie życia. Polza Mancini zrzucił okowy nałożone przez społeczeństwo i wybrał wolność. Szkopuł tkwi w tym, że znajduje się ona w odwiecznym konflikcie z życiem.

W „Blaście” pobrzmiewają echa filozofii Thomasa Hobbesa. „Życie człowieka jest samotne, biedne, bez słońca, zwierzęce i krótkie” – pisał w „Lewiatanie” autor kontraktualizmu. Ta ponura konstatacja zdaje się być fundamentem aksjologicznego kryminału Larceneta, w którym nie ma miejsca na akty altruizmu, a natura to stan wojny każdego z każdym.

Nagrodzony w Angoulême komiksiarz buduje swoją opowieść na atrakcyjnych kontrastach, bukoliczne zachwyty prze-

plata aktami gwałtownej, bezrozumnej przemocy. Ten dziwny związek piękna i brzydoty znajduje odzwierciedlenie w rysunkach. Larcenet pieczołowicie oddaje walory przyrody, aby zestawić je z ujęciami zupełnego upodlenia.

Interesujący jest również projekt postaci nieobliczalnego wagabundy, który zarówno wyglądem, jak i obcesowym zachowaniem budzi u czytelnika wstręt. Manu, wzorem pierwszych publikacji w Les Réveurs, stawia na monochromatyzm. Znaczna część „Blastu” wypełniona została tuszem, jednak z rzadka przez szarość przebija się kolor. Dzieje się tak przede wszystkim podczas psychodelicznych blastów i makabrycznych retrospekcji. Pracując nad historią Polzy Larcenet przeddefiniował swój styl, równocześnie wyznaczył wektor swoich dalszych artystycznych poszukiwań – skierowany ku jądra ciemności.

Detale apokalipsy

Po ukończeniu ostatniego tomu „Blastu” artysta był wycieńczony, odłożył ołówek i zrobił sobie przerwę. Wówczas wpadł mu w ręce „Raport Brodecka” Philippe’a Claudela. Słowa laureata Nagrody Goncourta na nowo rozbudziły w nim obsesyjną potrzebę rysowania, więc Manu wiernie przełożył powieść na karty komiksu – fabularną ramę pozostawił nietkniętą.

Mimo że kanwą utworu Larceneta jest cudza proza, nie jest on wcale mniej osobisty niż „Dallas Cowboy” czy „Presque”. W adaptacji „Raportu Brodecka” (2015, wyd. polskie 2021) autor rozlicza się z wykluczeniem, na które był skazany od najmłodszych lat. Jak wspomniał na la-



U góry i poniżej kadry z albumu „Droga”

CARTOON to styl kreskówkowy i taki sposób rysowania, w którym, na wzór karykatury, cechy fizyczne postaci są zazwyczaj wyolbrzymione lub podciągnięte pod światotwórczy klucz. Cartoon to określenie, które pojawi się jako pierwsze, gdy komiks będzie posiadał humorystyczne zabarwienie.

LIGNE CLAIRE to styl Francji i krajów Beneluksu wywodzący się od Tintina. Zakłada realistyczny sposób rysowania tła oraz projekty postaci kreślone z wyrazistym konturem.

mach „L'Express”: „Spodobał mi się pomysł historii o artyście przyjeżdżającym do wioski, w której każdy traktuje go jak wroga, wskutek czego ostatecznie zostaje zamordowany. (...) Bycie samemu przeciwko tłumowi to koszmar dzieciństwa”. Nie bez przyczyny rysopisy Anderera i Manu posiadają niemało punktów stykowych.

„Raport Brodecka” to opowieść o strachu przed obcością, który potrafi popchnąć do barbarzyństwa. Aby oddać okrucieństwo powieści Claudela, Larcenet zdecydował się przenicować swój styl – karykaturalna stylizacja ustąpiła miejsca realizmowi. W ten sposób przemoc, będąca w amoralnym świecie Brodecka na porządku dziennym, uderza czytelnika dotkliwiej, wywracając trzewia.

Owo podejście dostrzegalne jest także w „Drodze” (2024), której światowa premiera miała miejsce na tegorocznym Krakowskim Festiwalu Komiksu. Adaptując postapokaliptyczną powieść Cormaca McCarthy’ego Larcenet bynajmniej jej nie

dekonstruuje. Pozostaje wierny ramom pierwowzoru, biorąc z niego wszystkie dialogi i dokonując wyłącznie niezbędnych przesunięć. Dlatego wyjątkowości komiksowego przekładu należy doszukiwać się w rysunkach. Autor „Codziennej walki” dołożył wszelkich starań, aby udobitnić proces powolnej degrengolady.

Za środek opisywania rzeczywistości bierze zbliżenie. W detalicznych kadrach umieszcza rozkładające się relikty cywilizacji: kikuty spopielonych drzew, rdzewiejące samochody, zapadające się budynki czy też skórzane trzewiki, szczęśliwie gnijące wolniej od leżących obok ludzkich szczątków. Larcenet lustruje atrofie ciała i rozkład ducha powieści McCarthy’ego, a zarazem podsumowuje podróż na obrzeża człowieczeństwa, którą rozpoczął wraz z „Blastem”.

Być może na następnym przystanku do Manu wreszcie uśmiechnie się słońce.

© REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI





Leslie Marmon Silko z plemienia Laguna

TOMASZ DZURAK / ARCHIWUM PRYWATNE

Nieodwołalne

BARTOSZ HLEBOWICZ

– Najważniejsze w życiu to mieć kogoś, kto opowie ci historię. Bez opowieści nie wiedzielibyśmy, kim jesteśmy – twierdzi Leslie Marmon Silko z plemienia Laguna.

HUMMA-HAH – DAWNO TEMU NA ŚWIE-
cie nie było białych ludzi... i gdyby
nie czary, tak by zostało. Czarownicy
z różnych puebli, a także od Nawahów,
Siuksów i z „wszystkich innych ple-
mion” zebrali się i rozpoczęli zawody,
kto wymyśli najohydniejsze czary. Przy-
nieśli ze sobą skóry zwierząt i tańczyli
wokół ogniska, przytargali kotły z nie-
mowlętami gotującymi się we krwi, szy-
kowali mikstury do zdobycia nowych
ofiary, rozwinęli skórzane tobołki z po-

piołami ze spalonych hoganów i skraw-
kami ludzkiej skóry...

Żaden z nich nie przebił jednak okrop-
nościami ostatniego czarownika, który
po prostu snuł opowieść. A opowiada-
jąc, stwarzał fakty. Czarownik mówił
o ludziach po drugiej stronie oceanu,
o skórze białej jak rybi brzuch, o tym, jak
wiatr ich tu przygna, jak zatrują wodę
i odwrócić jej bieg świdrami. „Będą bać się
wszystkiego, co napotkają – mówił cza-
rownik. – Zabijają wszystko, czego się boją.

Przyniosą straszne choroby, od których
wymrą całe plemiona, znajdą skarby
w naszej ziemi. Zabiorą cały ten świat od
oceanu do oceanu”.

Inni czarownicy przerwali mu i powie-
dzieli: „Dobra, wygrałeś, ale nie potrze-
bujemy tej opowieści, radzimy sobie bez
niej. Odwołaj ją”.

Było już jednak za późno. Makabry
powołanej do życia słowami, gorszej od
niemowląt utopionych we krwi, już nie
można było odwołać. Czarownik tylko
potrząsnął głową, bo wiedział, że zło już
zostało uwolnione, już nadchodzi i nic
z tym się nie da zrobić.

Wszystko, co mamy

To jedna z opowieści z serii „humma-
-hah”, co w języku Indian Laguna z No-
wego Meksyku oznacza „dawno temu”.
Do rąk polskiego czytelnika trafia „Opo-
wiadaczka”, dzieło jednej z najważniej-
szych amerykańskich autorek pochodze-
nia indiańskiego, Leslie Marmon Silko
z Puebla Laguna. „Humma-hah” – od
tych słów jej babki i ciotki zaczynały czę-
sto – jak pisze autorka – „tradycyjne opo-
wieści Puebla, opowiadane bez ustanku
od tysięcy lat”.

Jak wyjaśnia, pamięć Indian Pueblo
trwa o tyle, o ile trwają opowieści, powta-
rzane z pokolenia na pokolenie. Zawie-
rają one „całą kulturę, kompletną wiedzę,
pełnię doświadczeń i wierzeń”. I jeszcze:
„Ludzie rozumieli, że ich miejsce w świe-
cie jest ogniwem w łańcuchu pradawnej,
ciągącej się nieprzerwanie historii, na
którą składa się niezliczona ilość zebra-
nych w rozmaite zbiory opowieści”.

W wierszu z wcześniejszej książki
Silko pisze, że opowieści „nie są tylko
przyjemnym zajęciem”: „Widzisz, są one
wszystkim, co mamy / wszystkim, co
mamy do zwalczania choroby i śmierci.
/ Nie masz nic / jeśli nie masz opowieści”.
Myśl tę powtarza w „Opowiadaczce”: „Jak
nie masz opowieści, nie masz nic”.

Silko jest indiańską pisarką i poetką.
Obok Navarre Scotta Momadaya należy
do ścisłej czołówki tubylczych autorów,
którzy przyczynili się do – jak to później
ujęli krytycy – „renesansu tubylczej lite-
ratury” z lat. 60 i 70. Momaday zachwyił
w 1968 r. niezwykle „Domem utkanym
ze światu” (o autorze i książce pisałem
w nr 7/2024), za który dostał nagrodę Pu-
litzera. Silko opublikowała najpierw po-
wieść „Ceremony” (1977), a potem „Sto-

ryteller” (1981). To właśnie ta książka – o sztuce opowiadania wśród Indian Pueblo na południowym zachodzie Stanów Zjednoczonych, ukazała się właśnie po polsku w wydawnictwie TIPI. „Opowiadaczką” jest tu oczywiście sama Silko, a podtytuł nie zostawia wątpliwości skąd jest: „z Puebla Laguna”. Z Puebla Laguna – leżącego między Gallup a Albuquerque – pochodzi także Deb Haaland, szefowa ważnego Departamentu Zasobów Wewnętrznych w administracji Joe Bidena. Dwie takie postaci z tego zakątka Ameryki to całkiem niezłe.

Obecnie Silko mieszka na przedmieściach Tucson w Arizonie, 650 km od rodzinnej Laguny. Tłumaczka Ewa Dzurak, która odwiedziła pisarkę, potwierdza, że kojoty, wilki i grzechotniki często podchodzą pod jej dom.

Utrwalenie czasów

A można znaleźć postaci kolejne. Choćaby Lee H. Marmona, ojca Silko i świetnego fotografa, który przez ponad pół wieku dokumentował codzienne życie swoich rodaków (zmarł w 2021 r.). Wraz z poezją autorki i historiami zapamiętanymi z dzieciństwa, wariacjami tradycyjnych opowieści i jej własnych, czarno-białe fotografie Marmona stanowią integralną część „Opowiadaczki”. Towarzyszą im opisy, które pomagają zrozumieć rzeczywistość niewielkiej społeczności Puebla.

Na przykład mój ulubiony podpis pod zdjęciem starszego Indianina z pogodnym uśmiechem i przymkniętymi oczami, w czarnym kapeluszu i z kijem w rękę: „Jose Sanschu z żoną zawsze przyjeżdżali z odległego o cztery mile Mesita do Laguny wozem, na pocztę i do sklepu. Miałam bzika na punkcie koni, odkąd pamiętam, a kiedy miałam trzy-cztery lata, tańczyłam ze szczęścia, kiedy tylko zobaczyłam parę starszusków na wozie zaprzężonym w dwa konie. Byli bardzo mili i zabierali mnie na przejażdżkę” (zdjęcie publikujemy na stronie 72).

Była połowa lat 50., zdaniem Silko czas „wielkiej transformacji” w „systemie myślenia i życia” nie tylko grup indiańskich, ale w ogóle mieszkańców Nowego Meksyku. W rozmowie z Laurą Coltelli, włoską badaczką literatury amerykańskiej, Silko mówiła, że uświadomiła sobie wtedy, ile rzeczy i osób, wśród których obracała się jako dziewczynka, odeszło. Ta

„gwałtowna zmiana” była „niesamowita i bez wątpienia stymulująca”, ale też wzbudzała strach – wspominała. Miała szczęście urodzić się w 1948 r., kiedy „żyło jeszcze wielu starych ludzi, którym sprawiało wielką radość to, że mogli komuś przypomnieć historie zasłyszane w dzieciństwie”.

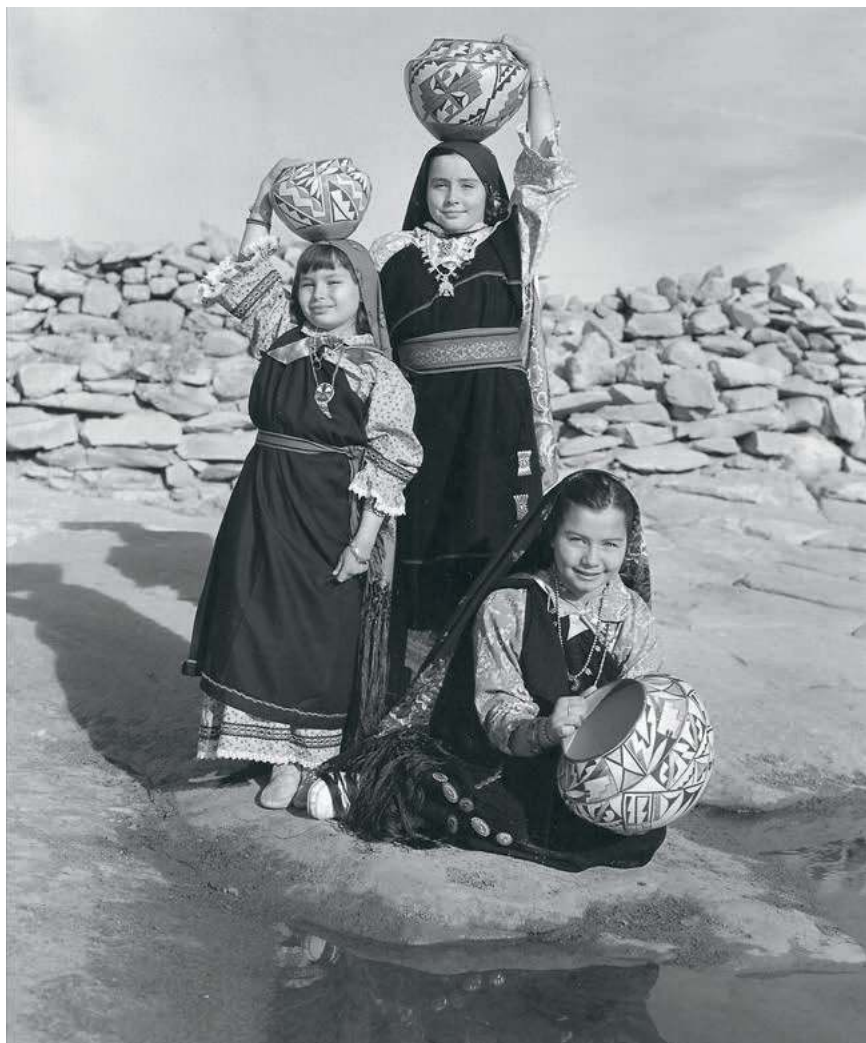
Jej opowieści, podobnie jak fotografie ojca, można odczytywać jako próbę uratowania, utrwalenia tego, co odchodzi w szybkim tempie. Wśród fotografii umieszczonych w „Opowiadaczce” nie mogło zabraknąć zdjęcia przedstawiającego charakterystyczne dla Indian Pueblo kwadratowe zabudowania z *adobe*, czyli gliny suszonej na słońcu. Jest też trójka tancerzy Tańca Bizona, podczas którego upamiętnia się „przemianę Ducha Bizona w człowieka i przymierze, jakie niegdyś istniało między ludźmi a bizonami”.

Nie bez powodu krótki utwór poświęcony fotografiom Silko umieściła na początku książki. Wspomina w nim o stojącym w domu wysokim koszu z setkami zdjęć z Puebla Laguna i okolic, ro-

bionych od końca XIX wieku. Najpierw przez dziadka Hanka, który nabył pierwszy aparat fotograficzny po powrocie ze szkoły, a potem przez jej ojca.

Joanna Ziarkowska, polska badaczka literatury indiańskiej, ustawia zdjęcia Marmona w kontraście do prac fotografa i etnografa Edwarda S. Curtisa, który na początku XX w., wędrując po Ameryce Północnej, stworzył tysiące fotografii Indian, wodzów i zwykłych przedstawicieli ponad osiemdziesięciu plemion na całym kontynencie, w strojach nieraz wy pożyczanych z muzeum – żeby utrwalic odchodzący świat. W tym celu eliminował ze swoich kompozycji wszystko, co mogło wiązać się ze światem białego człowieka. Zdjęcia w sepii nadawały im nostalgicznego tonu. Jak większość współczesnych mu fotografów, Curtis aranżował kadry, które zapewne odpowiadały jego własnym wyobrażeniom o „autentycznych” Indianach, a nie próbował utrwalic bezpośrednio współczesne mu życie rdzennych Amerykanów, →

Autorka jako mała dziewczynka w tradycyjnym stroju Pueblo z siostrami Gigi i Wendy (obie stoją)



LEE H. MARMON // MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA TIPI

→ na początku XX w. osadzonych już przecież mocno w amerykańskiej kulturze.

Z drugiej strony, gdy w „Opowiadaczce” trafiamy na zrobione przez Marmona zdjęcie małej Leslie i jej dwóch siostr z naczyniami ceramicznymi i w odświętnych strojach i kiedy czytamy w podpisie, że do tego zdjęcia dziewczynki „pożyczyły tradycyjne stroje Pueblo Laguna, mokasyny i piękną starą, srebrną biżuterię z turkusami”, a naczynia podtrzymują na głowie „w taki sam sposób, w jaki nosiły wodę kobiety z Laguny w dawnych czasach”, możemy choć trochę zrozumieć Curtisa. Był twórcą, któremu wydawało się, że jest dokumentalistą.

Proste równanie

Silko kilkakrotnie wraca do tradycyjnej opowieści Pueblo o Żółtej Kobiecie – Kochininako, która zdradza męża z duchem katsina z gór, z Duchem Bizona lub z olbrzymim zwierzęciem zwanym Estrucuyu. W żadnym wariantcie tej historii nie ma krytyki postępu bohaterki zauroczonej tajemniczym osobnikiem, nawet jeśli ostatecznie zostanie ukarana. Jest tu raczej wyraz uznania dla odwagi bohaterki przełamującej społeczne bariery i oczekiwania dotyczące zachowań kobiet. Co równie ciekawe, gdy w jednym z wierszy w „Opowiadaczce” zdrady dopuszcza się mąż i zostaje nakryty przez żonę i jej siostry, przedstawiony zostaje jako ofiara losu. Kobiety najpierw nazywają go wielkim głupcem, bo nie zdaje sobie sprawy, że kochanka ma już młodszego absztyfikanta, więc na „starca” poświęca tylko popołudnia. Potem zaś zupełnie tracą nim zainteresowanie i mężczyźni nie pozostaje nic innego, jak po prostu wrócić do pracy w polu.

W wierszu „Sztuka opowiadania” kobieta, która odeszła z Człowiekiem Bizonem, wraca po dziesięciu miesiącach do męża z bliźniętami i tłumaczy, że została porwana przez Nawaha, a potem nie potrafiła odnaleźć drogi powrotnej. Mężczyzna nie wierzy jej i odchodzi. Kobieta bierze winę na siebie – ale nie za zdradę, lecz za to, że nie była dość przekonująca: „Powinna być lepiej opowiedzieć tę historię”. Okazuje się, że wcześniejsza deklaracja, by opowiadać „dokładnie tak, jak było”, jest także zabiegiem artystycznym.

W rozmowie z włoską badaczką Silko wspomina pisarzy europejskich i ame-



LEE H. MARMON // MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA TIPI X2

Zdjęcia autorstwa Lee H. Marmona, ojca Leslie Marmon Silko.

Powyżej: Taniec Bizona.

Po prawej: Jose Sanschu, 1963 r.

rykańskich, których lektura pomogła jej rozwinąć własną technikę opowiadania. Wymienia Faulknera, Karen Blixen, czy Flannery O'Connor, Thomasa Hardy'ego i Szekspira, zwłaszcza „Juliusza Cezara”: „Jest tam tyle prozaicznych szczegółów (...), które w odpowiednim momencie pojawiają się ponownie i kierują na nowe tory główną kwestię”. Silko przyznaje, że podczas tych lektur zrozumiała, jak bogatą spuściznę już ma na podorędziu. A historia dziewczyny, która dokonuje zemsty na białym sklepikarzu, jest jakby wprost realizacją receptury z Szekspira.

Takich wpływów w „tradycji ustnej” Lagunów przetwarzanej przez Silko jest wiele. W 1918 r. antropolożka Elsie Parsons przytoczyła np. usłyszaną w Pueblo Zuni opowieść o kobiecie i białym bizonie, zauważając, że jej początek jest „opowieścią meksykańską”. A w pięknie opo-

wiedzianym „mie” o tym, jak zwierzęta schodzą do świata podziemnego, by znaleźć środek na przywrócenie świata do życia po „magicznych sztuczках” czarownika Ck'o'yo i zemście Matki Kukurydzy, analitycy znajdują inspiracje „Ziemią jałową” T.S. Eliota.

Zdrada kobiety, wygasanie uczucia i odejście mężczyzny są też motywami przejmującego wiersza „Nic dobrego z tego nie wyniknie”, w którym Silko transponuje dawną opowieść na współczesne realia.

„Proste równanie, jakie znalazłeś / w moim notesie, / przeraziło cię, / ale przecież mogłam je wyjaśnić: / Jak się doda wszystkie jaskrawe barwy / zachodu słońca i liści, / odejmie kochanków, / pomnożone dzieci dzieli się i zabiera (...). // Nie planowałam ci tego mówić. / Lepiej tracić kolory stopniowo, / najpierw błękit oczu, / potem czerwień krwi (...).”



Łowy na jelenia

Do moich ulubionych opowiadań Silko należy historia polowania na zbuntowanego wodza Apaczów Geronima z udziałem laguńskich zwiadowców. Jest pełna paradoksów. Jak to? Indiancy zwiadowcy na usługach amerykańskiej armii ścigają indiańskiego bohatera-legendę? Można odpowiedzieć pytaniem: „A dlaczego by nie?”.

Historyk Thomas Dunlay w „Wilkach niebieskich żołnierzy” (również wydanych przez TIPI) rozprawił się z naiwnym wyobrażeniem „Indian” jako ogółu rzekomo połączonych wspólnymi interesami. Tak jak Geronimo miał w nosie los Pueblo, tak Pueblo nie musieli dostrzegać żadnej „wspólnej indiańskiej sprawy”.

Opowieść tę Silko podaje przekornie i z humorem. Okazuje się, że mężczyźni z Pueblo nie wykazują się szczególną

inicjatywą, a cała historia zamienia się w łowy na jelenie, ponieważ – zgodnie z przewidywaniami zwiadowców – Geronima nie było tam, gdzie spodziewał się go dopaść biały oficer.

W tym samym tonie utrzymana jest opowieść o mężczyźnie z Laguny, który podstępem – udając uzdrowiciela – bierze odwet na mężczyznach z Puebla Hopi, znanych ze skutecznego podrywania laguńskich kobiet. W pozorowanym rytuale uzdrowienia niedomagającej staruszki obmacuje nogi wszystkim Hopijkom, a rzecz – ku jego zdumieniu – nie kończy się katastrofą, kiedy staruszka nagle samodzielnie podnosi się z łóżka i oświadcza, że już ma się dobrze.

Mężczyzna wraca do Laguny, ma bowiem do przekazania starszyźnie radosną nowinę, że rachunki z Hopi zostały wyrównane. Taka historia.

Niepełna krew

Silko, jak inni wielcy autorzy tubylczego pochodzenia w USA (Momaday czy Louise Erdrich), nie jest „pełnej krwi” Laguna. Z tego powodu nie jest nawet obywatelką „plemienia” Pueblo Laguna, choć tam się wychowała, a kultura Laguna jest naturalnym twórczym jej twórczości.

Dwóch braci o nazwisku Marmon przeprowadziło się do Laguna z Ohio po wojnie secesyjnej. W Laguna otwarli sklepik (przechodził potem z pokolenia na pokolenie w rodzinie Marmonów – Silko wspomina, że jako dziecko musiała w nim pomagać) i ożenili się z miejscowymi kobietami. Byli zatwardziałymi prezbiterianami, którzy nawrócili wielu Indian na chrześcijaństwo.

Jak to się przełożyło na życie późniejszej pisarki? Ano tak, że jej ukochana babcia A'mooh przestała opowiadać tradycyjną historię o Kojocie, a zamiast tego czytała wnuczkom o przygodach misia Brownie i historie z Biblii. A gdy dziewczynkę posłano do szkoły dla Indian, babcia przestała do niej mówić w języku laguna, żeby uchronić przed szykanami.

Odnosi się do tych spraw w jednym z wierszy umieszczonych w „Opowiadaczce”: „Etnologowie obwiniają braci Marmonów / za wszystkie te podziały i problemy w Lagunie / i jestem pewna, że dużo w tym prawdy – / ich przybycie musiało skomplikować / już i tak złożoną politykę w Lagunie”.

Paradoksalnie, to właśnie jej biały pradziadek Marmon przytoczył antropolożce Elsie Parsons historię o kojocie (o tym też mowa w wierszu) – być może właśnie tę, której opowiedzenia odmówiła wnuczce babcia A'mooh.

Przewrotny jest ten hołd złożony przez Silko tradycji ustnej. Mniej ważne jest, okazuje się, do kogo należy opowieść, niż to, jak jest ona opowiedziana. Najważniejsze w życiu – jak stwierdziła Silko w rozmowie z Laurą Coltelli – „to mieć kogoś, kto opowie ci historię”. My, czytelnicy, mamy Silko. I to jest wielka frajda.

© BARTOSZ HLEBOWICZ



Leslie Marmon Silko,
OPOWIADACZKA Z PUEBLA LAGUNA,
przełożyła Ewa Dżurak,
Wydawnictwo TIPI,
Wielichowo 2024.

Pojedynek w hidżabach

ANITA PIOTROWSKA

W czasie, kiedy ledwo dogasł olimpijski znicz, a na Bliskim Wschodzie eskalują raczej mało sportowe emocje, wszedł do naszych kin film, który misternie i zarazem wybuchowo łączy w sobie wszystkie te nastroje.

OTO DZIEŁO, KTÓRE REKLAMUJE SIĘ jako pierwsze w historii (a na pewno po islamskiej rewolucji) filmowa produkcja stworzona przez duet izraelsko-irański. Jeśli gdzieś mogliby się spotkać twarz w twarz mieszkańcy tych krajów, to na zawodach sportowych. Między innymi na macie, zwanej z japońska *tatami*, gdzie za chwilę może dojść do bezprecedensowej konfrontacji.

Akcja „Tatami” dzieje się na mistrzostwach świata w dżudo i tu właśnie, do Tbilisi, przyjeżdża po pierwsze w historii złoto dla swego kraju młoda zawodniczka Leila, obecna mistrzyni Iranu (gra ją amerykańska aktorka Arienne Mandi). Istnieje prawdopodobieństwo, że w finałowym pojedynku przyjdzie jej zmierzyć się z reprezentantką Izraela, ale coś, co mogłoby się wydawać inspirującym wyzwaniem, sportowa wierzchuszka z Teheranu postrzega zupełnie inaczej.

Nie wiadomo, czy chodzi o bojkot „Małego Szatana” (jak w Islamskiej Republice Iranu bywa nazywany wrogi kraj), czy o utratę wizerunku w razie przegranej. W każdym razie już w trakcie pierwszych



rund Maryam, trenerka Leili, otrzymuje telefoniczne instrukcje, ażeby za wszelką cenę udaremnąć dojście irańskiej sportsmenki do finału. Leila ma jak najszybciej sfingować swoją kontuzję i okazuje się, że nalega na to sam Najwyższy Przywódca. W ten sposób rozpoczyna się – poza matą – zupełnie inny pojedynek.

Urodzona w Teheranie Zar Amir Ebrahimi i pochodzący z Tel Awiwu Guy Nativ nakręcili film, który ma strukturę i dynamikę sportowego widowiska, chociaż nie mniej ekscytujące od tego, kto i jak wygra w kolejnej rundzie, jest to, co dzieje się za kulisami. Czyli konfrontacja Leili i jej trenerki, które w obliczu odgórnego szantażu prezentują odmienne postawy. Z uproszczeniem rzecz by można, biorąc też pod uwagę nie tak dawne protesty młodych kobiet w irańskich miastach, iż mamy do czynienia z różnicą pokoleniową.

Maryam (zagrana przez reżyserkę), wybitna niegdyś zawodniczka, zdaje się przystosowana do opresyjnych warunków, również w sporcie, podczas gdy jej podopieczna buntuje się przeciwko absurdalnej decyzji władz. Bohaterki „Tatami”, prócz noszenia hidżabu, który zresztą jedna z nich znaczącym gestem zerwie, łączy bez wątpienia inna rzecz – to strach. Obie ryzykują, że w razie niewykonania polecenia ich sportowe kariery będą skończone, choć przede wszystkim represje dotkną pozostawionych w kraju bliskich. Kilkuletni syn Leili kibicuje jej

właśnie przed telewizorem w otoczeniu wielopokoleniowej rodziny i przyjaciół, tymczasem pod ich domem zdążyli zaparkować reżymowi tajniacy. Toteż Maryam usiłuje ją przekonać, by dla dobra ich wszystkich jednak dała się pokonać. Trwa coraz bardziej napięta walka z czasem – i dotyczy nie tylko indywidualnych ambicji czy lęków.

Z połączenia kina sportowego i politycznego powstał prawdziwy thriller, dodatkowo napędzany głosem telewizyjnego komentatora zza kadru i rytmem wybijanym przez bębny. Kamera Todda Martina, kiedy opuszcza na chwilę *tatami*, krąży nerwowo po labiryntach korytarzy, szatniach i gabinetach organizatorów, którzy wreszcie zaczynają dostrzegać, że coś niepokojącego wisi w powietrzu. Na dodatek po trybunach i kuluarach szwendają się podejrzani faceci w czerni i jedynie sportowy lekarz, niedysiejszy uciekinier z krainy Ceaușescu, doskonale rozumie, co się święci. Jednak docelowo nie jest to film o strachu, tak świetnie oddanym w posągowej twarzy Amir Ebrahimi, lecz o gniewie Leili, o jej aktywnym sprzeciwie wobec przemocy i kłamstwa. W pewnym momencie doprowadzona do ostateczności sportsmenka uderza głową w łazienkowe lustro – scena dobrze znana z filmów o obwieyszonych medalami wojownikach, przegrywających własne życie na ringu.

Kino opowiadające historie zapaśników czy innych „wściekłych byków”

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE FORUM FILM POLAND

TATAMI

– reż. Zar Amir Ebrahimi, Guy Nattiv.
Prod. Gruzja/USA 2023.
Dystryb.
Forum Film Poland.
W kinach.

Zar Amir Ebrahimi
to irańska aktorka,
z powodów politycznych
mieszkająca od
2008 roku we Francji.
Za rolę dziennikarki
w „Holy Spider”
(2022) Alego Abbasiego
otrzymała nagrodę
w Cannes. „Tatami” jest
jej debiutem reżyserskim.
Jego współtwórca,
Guy Nattiv, to izraelski
filmowiec tworzący
w USA. Zdobył Oscara
za krótkometrażówkę
„Skin” (2018)
i wyreżyserował m.in.
film „Golda” (2023).

Na zdjęciu: Arianne
Mandi jako Leila
Hosseini w filmie
„Tatami”

najczęściej gra o zupełnie inną stawkę. Są nią chorobliwe ambicje, nierzadko potrzeba awansu społecznego, rozdęte męskie ego, kompensowanie seksualnych frustracji. Bohaterka „Tatami”, jakkolwiek paradoksalnie i patetycznie to zabrzmi, walczy na macie o siebie, ale także o swój kraj, w sensie: o przyszłość swoich koleżanek czy swojego dziecka. Ponieważ na nią zwrócone są teraz oczy milionów rodaków i rodaków, swoją postawą wysłała istotny przekaz.

Szkoda, że twórcy filmu artykułują go dosłownie, zwłaszcza w doklejonym epilogu. Oczywiście, wyrażają tutaj swój współdzielony pogląd: Nattiva jako Izraelczyka wychowanego w realnym zagrożeniu ze strony państwa ajatollahów oraz irańskiej dysydentki, prześladowanej przez władzę z taką inwencją, że wrobiono ją ongiś w aferę z sekstaśmą i zmuszono do emigracji. I nie byłoby nic złego w tej dzisiejszej misyjności, gdyby bardziej zaufano inteligencji widza. Wiele też zależy od jego pochodzenia. Na przykład recenzenci z krajów arabskich tendencyjność filmu widzą w tym, iż nie problematyzuje kwestii irańskiej (Leili wydaje się obojętne, skąd pochodzi jej potencjalna przeciwniczka) i skupia się wyłącznie na krytyce Iranu, w dodatku za amerykańskie pieniądze.

Zdjęcia do „Tatami” są czarno-białe i nie tylko dla uszlachetnionego, niby-dokumentalnego efektu czy dla przykrycia ograniczeń budżetowych. Klaustrofobiczna groza, z jaką przedstawiony został (zapewne nieprzesadnie) współczesny irański reżym, jego ofiary i niemi współnicy, znajduje zdecydowany kontrpunkt w kobiecej solidarności. Chodzi o szefostwo zawodów, bo tak się składa, że rządzą nimi w filmie kobiety, tudzież o to, co się stało potem z Leilą i Maryam.

Być może scenarzyści uprawiają w tym wypadku zbyt daleko posunięte chciejstwo, aczkolwiek dobre intencje, z jakich upleciono to filmowe *tatami*, nie są na szczęście tym, co przygniata albo deformuje. Ideologiczna nadgorliwość służy tu uchwyceniu w nośnej metaforze zbiorowego stanu umysłu, który w dużej mierze dzięki irańskim kobietom może kiedyś przełożyć się na większe polityczne zmiany. A poza tym dżudo to sport, w którym nie liczy się wyłącznie siła, lecz także – zgodnie ze słownikową definicją – gibkość, zwinność, odporność, wytrzymałość i odwaga. ©

Lektor: Myśleć w czasie marnym



■ Marcin Król
PODRÓŻ ROMANTYCZNA
Wstęp Jarosław Kuisz.
Wydawnictwo Iskry,
Warszawa 2024, ss. LXII + 418.

WPROWADZENIE STANU WOJENNEGO BYŁO NIE TYLKO klęską Solidarności, przerywaniem procesu odradzania się wspólnot obywatelskich i oddolnych więzi społecznych, ale oznaczało też regres w myśleniu o Polsce. Znowu znaleźliśmy się w Zbarażu, w „wielkim obozie obronnym”, i najbardziej właściwy wydawał się pragmatyczny aktywizm. Marcin Król, choć nie bez wątpliwości, właśnie wtedy, w 1982 r., zaczął pracować nad erudycyjnym esejem, będącym nie tylko krytyczną (choć i empatyczną) analizą ówczesnego kształtu polskości – opisanego metaforą Nieustającego Zbaraża – ale też szukaniem dróg, które pozwoliłyby wyjść poza te okopy. Ku wolności, zwłaszcza wewnętrznej.

Marian Brandys, Bohdan Cywiński, Andrzej Kijowski, Tomasz Łubieński, wszyscy oni w kostiumie literacko-historycznym wracali do wieku XIX i pytań o niepodległość. „Podróż” wpisuje się w tę tradycję, tyle że wydana została w 1986 r. w Paryżu, a więc bez cenzury, w świetnej niebieskiej serii Libelli, gdzie już wcześniej Król opublikował „Style politycznego myślenia” – rzecz o przedwojennych pismach Jerzego Giedroycia, „Bun- cie Młodych” i „Polityce”.

Jarosław Kuisz, uczeń autora, przypomina jego biografię – urodzony w 1944 r. w Warszawie, zmarły w 2020 r., był świadkiem i uczestnikiem historycznych przełomów, w tym Marca ’68, zachowując zawsze intelektualną niezależność. U początku lat 70. wraz z przyjacielem Wojciechem Karpińskim podjął współpracę z „Tygodnikiem Powszechnym”, w latach 80. został członkiem jego redakcji. Współtworzył „Res Publikę” – periodyk, najpierw podziemny, i środowisko o liberalno-konserwatywnym profilu. Włączył się w demontaż Peerelu, ale po 1989 r. wolał zająć się pisaniem, pracą naukową i uniwersytecką dydaktyką niż bieżącą polityką.

„Jeden z najważniejszych polskich intelektualistów ostatniego półwiecza”, pisze o nim Aleksander Smolar, a Paweł Śpiewak uznał „Podróż...” za najważniejszą jego książkę – mimo to w kraju ukazuje się ona po raz pierwszy. Oto jak ceni się u nas niezależne myślenie, które nie zamyka nas w muzeum polskich tradycji, tylko te tradycje na nowo odczytuje. A przecież – powtórzę pytanie, które książkę zamyka – „czy nie lepiej płynąć do nieznanych łądów i zasiedlać tajemnicze wyspy, niż grzebać w piasku, popłakiwać i powoli oddalać się w czas narodów minionych?”. ©©

OLGA

Drenda: Czy wrzuciłeś list do skrzynki?



ZNAM OSOBE, KTÓRA MA ZWYCZAJ BRNĄĆ. Opowiada porywające historie, które zwykle mają jeden istotny defekt – łatwo w nich zauważyć niespójności, pomyłki albo wręcz elementy z sufitu. Pomyłki te zdarzają się w miejscach dość szkolnych – może paść, powiedzmy, stwierdzenie, że Wrocław leży nad Wisłą. Zapytana przez czujnego rozmówcę, czy aby na pewno o to właśnie chodzi i czy nie zaszła pomyłka, osoba ta zaczyna brnąć niczym Grzesio z wiersza Tuwima (ten, któremu ciocia wcale nie dała żadnego listu do wrzucenia do skrzynki). Wymyśla wtedy na prędce rozmaite wybiegi. „Chodziło mi o ten drugi Wrocław, ten mniej znany, Wrocław nad Wisłą!” (a jak wrzucałem list do skrzynki, to przechodził tatuś Halinki).

O ile jednak Grześ – umówmy się, podpuszczany przez ciocię – płynął w coraz gęstsze konfabulacje, to rzeczywisty ktoś, o kim tu mowa, wydaje się powodowany zgola inną motywacją: ucieczką przed koniecznością przyznania się do pomyłki. Czasem każdemu coś może pokiełbać się w głowie, to ludzka rzecz; niektórzy jednak uznają to za tak straszliwy wyrok losu, że po prostu zaprzeczają, piętrzą zaprzeczenia, a nawet są skłonni uwierzyć w coś zupełnie niewiarygodnego i absurdalnego, czasem powodując jedynie sympatyczną wesołość (jak osoba z mojej anegdoty), czasem jednak wyrządzając niemałe szkody sobie i innym. Wszystko po to, żeby tylko nie musieć mierzyć się z nieprzyjemnościami, z jakimi w ich własnych głowach wiąże się przyznanie do błędu. Nawet jeśli te nieprzyjemności są minimalne, a może i nieistniejące.

O tym, by ów rys ludzkiej osobowości traktować poważnie, przypomniła mi lektura reportażu Willa Sommera

A jak
wrzucał,
to kuczał



OLGA DRENDA

„Uwierz w Plan”. Poświęcony jest fenomenowi QAnon – alternatywnemu sposobowi widzenia świata, który w ostatnich latach zahipnotyzował tysiące Amerykanów, włączając w to polityków różnego szczebla.

Uniwersum QAnon wychodzi z podobnego założenia, co liczne inne mitologie nowoczesności: że światem rządzi mała grupka potężnych złoczyńców. Odróżnia się jednak łatwością włączania i reaktywowania rozmaitych mesjanistycznych teorii (o powszechnym uwolnieniu od długów, o zbawcach z kosmosu), a także skłonnością do wybierania na wrogów przypadkowych osób, które ku własnemu zaskoczeniu dowiadują się z pogroźek, że składają dzieci w ofierze. Znacząco wyróżnia się również tendencją do rzeczywistych napaści na rzekomych „zbrodniarzy”.

Najbardziej zdumiewające jest jednak to, że ruch ten konsoliduje – jak wynika z książki – przede wszystkim ludzi, którzy gdy raz w coś uwierzyli, nie chcą lub nie mogą tego odkręcić. Znaleźli tam schronienie ci, którzy niegdyś stracili ogromne pieniądze, inwestując w piramidę finansową Omega, lecz którzy wciąż wierzą, że barierą do wypłaty ich fortuny nie są oszustwa założyciela, lecz nieczne knowania potężnych figur z rządu. Wyobraźmy sobie, że w Polsce ktoś jest wciąż gotów bronić całym sercem założyciela Amber Gold czy pomysłodawcy niesławnych „serków” z piramidy Bioferm. A jednak to się dzieje. Ruch QAnon sprawia wrażenie wielkiego namiotu, w którym mogą schronić się wyznawcy – wydawałoby się – skompromitowanych, oszukańczych teorii. Schronić się przed tym, czego nie chcą najbardziej, czyli przed przyznaniem się do błędu. Niegdyś badał to zjawisko amerykański psycholog Lionel Festinger: nowoczesne ruchy millenarystyczne czy „objaśniające działanie świata” czasem tym bardziej rosną w siłę, im bardziej ich przepowiednie się nie sprawdzają.

Łatwo szukać naiwnych i dobroduszných wyjaśnień tego, dlaczego ludzie zaczynają wierzyć w rzeczy, najogólniej mówiąc, dyskusyjne: wielu, jak pocieszającą mantrę, powtarza sobie, że to ucieczka biednych i rozczarowanych, porzuconych przez samolubnych polityków, i że wystarczy okazać odrobinę ciepła... Obawiam się, że to jedynie mały kawałek prawdy (a często pewnie próba nabicia sobie „punktów empatii” przez komentatorów publicznych). Wsiąknięcie w alternatywne systemy myślenia, organizujące komuś cały świat, tak niszczy więzi rodzinne i przyjaźnie (reporterka Jesselyn Cook niedawno opublikowała na ten temat książkę „The Quiet Damage”), że nawet morze miłości i życzliwości nie pomaga. Najważniejszą konkluzją płynącą z badań nad tymi ruchami wydaje mi się myśl, że nikt nie jest bezpieczny – ani potencjalne ofiary wytypowane na wrogów, ani ktokolwiek. Każdy ma bowiem jakiś słaby punkt, który może stać się trampoliną do skoku w alternatywną rzeczywistość. Wystarczy czasem bardzo nie chcieć przyznać, że nie dostaliśmy żadnego listu do wrzucenia do skrzynki.

©

Olga Drenda jest etnologą, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.

PAWEŁ

Bravo:

Historyczne kielbaski



TYSIĄC CZTERYSTA SIEDEMDZIESIĄT DWA lata po narodzeniu Chrystusa królestwo polskie trawiło owoce odniesionego niedawno zwycięstwa nad Krzyżakami – w tym przejęte miasto Toruń, gdzie Barbara Watzenrode spodziewała się narodzin pierwszego syna Mikołaja.

Będzie pamiętany pod nazwiskiem Kopernik – po ojcu, bogatym kupcu krakowskim, który przeniósł się w interesach na północ. W nazwisku Kopernik pobrzmiewa niemieckie słowo *kupfer*, czyli miedź, ale nas w tym ciągu dziejowych skojarzeń interesuje raczej złoto. W tymże roku 1472, na potrzeby kupców tekstylnych z tokańskiej Sieny, którzy złota mieli aż nadto, powstał bank Monte dei Paschi, ułatwiający mnożenie pieniądza, aby tym, co mają, było dodane. Nie pierwszy w dziejach bank, ale o tyle ważny, że działa bez przerwy, pod tą samą nazwą.

To tam, w Sienie, zaczął się długotrwały proces zamiany złota na ciągi znaków. Owszem, złota tam nadal pełno, w muzeach i kościołach, na obrazach mistrzów protorenesansu. Ale jest ono jak piękny klejnot zmarłej osoby – świadczy o bardzo już przeszłej świetności miasta, zdegradowanego później politycznie i gospodarczo. Dziś czerpie ono soki życiowe z pokazywania turystom siebie i swojej szkatułki z biżuterią, zamieniając się w jeden wielki artefakt, grupę rekonstrukcyjną późnego średniowiecza. Kulminacją tego jest oczywiście końska gonitwa na oklep, zwana Palio, odbywająca się w dzień po święcie Wniebowzięcia.

Gonitwa jest króciutka, trwa półtorej minuty, bo są to tylko trzy rundki dookoła niedużego placu. Bardzo brutalne, tor jest ciasny, nieprzystosowany do cwału, jeźdźcy się przepychają, spadają, co nie ma znaczenia, bo liczy się, który koń zwycięży, a nie człowiek – o ile wcześniej nie upadnie, łamiąc nogi i tracąc tym samym życie. Ale tysiące ludzi ściągają z dalekich stron, bo wiedzą, że czeka ich kilkudniowy kolorowy festyn w malowniczych ramach placu i uliczek, którego rytm wyznaczają poranne i wieczorne próby gonitwy, poprzedzane paradami w jarmarczno-historycznych strojach. Do tego rozmaite rytuały świeckie (np. losowanie koni i ich kolejności startowej), kościelne oraz przede wszystkim mieszane, gdy pogańska magia i kibolska walka dzielnic łączy się z maryjną dewocją, jaką potrafią odstawić tylko południowcy.

Jakie to wszystko średniowieczne – radują się przyjezdni. – Tyle lat bez przerwy wszystko się powtarza, jacy oni prawdziwi w tej namiętności i uwielbieniu swej dzielnicy, jaka żywa, kolorowa, nieskażona plastiką tradycja... Przykro mi pścić zabawę, ale jeśli coś tam pozostało naprawdę „średniowiecznego”,



to brutalność gonitwy i mordobicia, jakie regularnie wybuchają między zwanymi dzielnicami. Oraz bezwzględny męski szowinizm: w paradach fałszywie kroczą przodem, kobiety – i to jest wielka zdobycz emancypacji, że w ogóle mogą – cichutko drepczą w ogonie. Jedna wielka męska szatnia, sausage party w imię lipnej ciągłości historycznej.

Ale właśnie, kielbaski! To one, te dosłowne, sprawiają, że jednak chciałbym znów tam być. Niesprawiedliwie napisałem, że tradycyjne są tylko bójki. Zanim do nich dojdzie, każda dzielnic umacnia lokalnego ducha w trakcie cowieczornych ulicznych bankietów. Na szczęście nie każdy wpada w szal i rwie się do bitki, większość tylko ładuje akumulatory ksbności. Ostatni z bankietów jest dostępny także dla turystów, i warto się na niego załapać. Nie dla potraw (kielbaski, makaron z ragu z dzika, grzanki z wątróbką, proste rzeczy na plastikowym talerzu), lecz dla doświadczenia wspólnoty zawiązującej się wokół stołu. Krótkiej, efemerycznej, ale zostawiającej ślad w sercu. W tym jest może rzeczywiście prawdziwa ciągłość, jedyna, jaka może się równać z niezmiennym pulsem pieniądza na rachunkach Monte dei Paschi.

Czarne grzanki

W całej Toskanii podaje się „czarne grzanki”, *crostini neri*. W Sienie tradycja nakazuje użyć cielej śledziony, ale my zrobimy łatwiejszą, równie popularną, z kurzymi wątróbkami.

350 g kurzych wątróbek **1** cebula **1/2** marchwi **1/2** todygi selera **1** łyżka kaparów w soli **3** fileciki anchois **200 ml** bulionu (warzywnego lub drobiowego) **100 ml** czerwonego wina

Siekamy drobno **cebulę**, **marchew** i **selera**, solimy i dusimy na wolnym ogniu na **oliwie**, aż zmiękną, podlewając nieco **wodą**, jeśli grozi im przypalenie. Dodajemy posiekane **wątróbki**, zwiększamy na moment ogień, kiedy się zrumienią, wlewamy **wino**, odparowujemy, dodajemy opłukane **kapary** i **anchois**, zalewamy **bulionem**, dusimy na wolnym ogniu ok. 20 minut. Solimy, studzimy, miksujemy lub siekamy nożem – bo niektórzy wolą grubą konsystencję. Smarujemy tym kromki **ciabatty**. Można długo przechowywać, ale uwaga – masa robi się bardzo ścisła, warto ją ostrożnie podgrzać, dolewając bulionu. ©®

Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest tłumaczem i redaktorem.

Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

ZMYŚŁY



INSTAGRAM / @AGATA_MALODOBRY

KOJĄCA GEOMETRIA

AGATA MAŁODOBRY, HISTORYCZKA SZTUKI:

Strój to taki sam środek wyrazu jak gest, spojrzenie, tembr głosu. U mnie cechami charakterystycznymi są szybki chód, wyrazista ekspresja, gestykulacja. W połączeniu z ubraniem i fryzurą mają tworzyć całościową kompozycję.

*Obraz
Franka Stelli
w Peggy
Guggenheim
Collection
w Wenecji*

BEATA CHOMĄTOWSKA: Twoje fotografie w mediach społecznościowych, będące relacjami z wystaw, na których stoisz – zwykle w stylowych sukienkach – w otoczeniu rzeźb lub obrazów, same w sobie są dziełami sztuki.

AGATA MAŁODOBRY: Zwykle gdy ktoś to zauważa, żartuję, że nie chodzę na wystawy, do których bym nie pasowała, ale to oczywiście nieprawda. Oglądam wszystko, co mnie interesuje. Cieszę się w ogóle, że w tej rozmowie nie zaczynamy od zawartości szafy, lecz sytuacji zawodowej. Jestem historyczką sztuki i muzealniczką, więc te moje zdjęcia wiążą się z tęsknotą za Gesamtkunstwerk, czyli syntezą sztuk, dziełem totalnym. W specyficznej przestrzeni, jaką jest muzealna galeria, dzieła sztuki i zwiedzający tworzą całość.

I to chcesz przy ich pomocy przekazać?

W krakowskim Muzeum Narodowym zajmuję się rzeźbą współczesną, a na rzeźby patrzy się inaczej niż na obrazy: wiążące płasko na ścianach, odbierane przez widzów w sposób dwuwymiarowy, który implikuje pewien dystans. Z rzeźbami dzieli się przestrzeń na sposób fizyczny, aktywny. Strój dobrze się z nimi komponuje, o ludzkiej figurze ubranej w określony sposób też można myśleć jak o rzeźbie.

Twoje sukienki i fryzura kojarzą się dość jednoznacznie z okresem modernizmu. Świadome nawiązanie?

Modernizm jest jedną z moich głównych inspiracji. Stąd zwykle są to stroje w duchu minimalizmu, monochromatyczne, a jeśli we wzory, to ściśle określone, czyli abstrakcyjne, geometryczne lub organiczne. Architektoniczne cięcia włosów, które chyba nigdy mi się nie znudzi, to kąt prosty od grzywki do dłuższej części boba.

Widzę tu też odwołanie do stylu ówczesnych „architektoniczek”, jak nazywała je ówczesna prasa.

Architektki doby modernizmu, jak Barbara Brukalska czy Grete Schutte-Lihotzky, to dobry trop. Ale największy wpływ na moje podejście miały – i mają nadal – dwie inne kobiety. Pierwsza to Katarzyna Kobro, artystka, która doskonale wiedziała, jak przyciągnąć do swojej sztuki uwagę odbiorców, i dlatego nic w jej wyglądzie nie było przypadkowe. Kolory, kształty, wzory nawiązywały wprost do radykalnej awangardy. Poza tym bardzo jest mi bliska koncepcja Kobro: formy i barwy w przestrzeni, która nas otacza, powinny ze sobą harmonizować i być przyjazne dla człowieka, który w tę przestrzeń wkracza. Drugą jest Maria Jarema, także inspirująca zarówno swoją sztuką, jak i osobowością, oraz spójnym z nimi wizerunkiem. W komputerze przechowuję dziesiątki jej zdjęć, które mogę oglądać w nieskończoność. Ona jest osobnym fenomenem – kobiety stylowej. Właśnie – bardziej stylowej niż eleganckiej.

Czyli?

Jej styl był zawsze zadziorny, czerpiący nieco z męskiej garderoby, czego przykładem są choćby zestawienia typu szerokie spodnie z wysokim stanem i zakładkami plus krótka góra, jakaś kurteczka, jak na fotografii z Zakopanego. Często też przy okazji wykładów poświęconych Jaremanie albo wystaw, na których prezentowane są jej prace, wkładam sukienki we wzory,

na które Andrzej, mój syn, mówi: „jaremiankowe”. Sam wymyślił to słowo.

Wspomniałaś kiedyś, że geometryczne wzory mają jeszcze jedną, istotną cechę: uspokajają. Gdy Twój syn był niemowlęciem, wyklejałaś mu ściany w pokoju figurami geometrycznymi. Dodajmy, że Andrzej jest osobą neuroatypową, w spektrum autyzmu.

Abstrakcja geometryczna to niezwykle logiczna, racjonalna sztuka oparta na matematyce. Uosabia spokój, porządek, wyciszenie. Gdy patrzy się na to, co dzieje się obecnie na świecie, całe to rozedrganie może pełnić funkcję schronienia. Tak, sztuka bywa terapią. Osoby w spektrum albo mają tendencję do abnegacji, albo, na odwrót, lubią manifestować własną osobowość. Często ubiorem, żeby się wyróżnić i czuć dobrze. Taki jest przypadek Andrzeja i mój.

Zawsze tak miałaś?

Od małego. Już jako dziewczynka byłam przeczulona na punkcie szczegółów, na które wiele osób nie zwraca uwagi. Wówczas było to odbierane w rodzinie jako dziwactwa. Jeśli kołnierze, to tylko stojki albo okrągłe. Jak sukienka, to z zaznaczoną talią. Jak spodnie, to odsłaniające kostkę, ale nie przykrótkie. Czasem dosłownie centymetr w jedną lub drugą stronę robi różnicę. Na szczęście rozumie to znakomita krawcowa Małgosia, z którą stale współpracuję, i skraca cierpliwie o ten jeden centymetr. W podstawówce zależało mi na tym, żeby nie nosić tego, co wszyscy. Nie było to łatwe – asortyment w latach 80. XX wieku był mocno ograniczony.

No to gdzie się zaopatrywałaś?

Ratunkiem były ciuchy z paczek od cici z Wiednia. Przesyłała nam rzeczy, które już wyszły z mody. Złościłam się, wyciągając z pudełek koszule ze zbyt długimi kołnierzykami i spodnie dzwony. Ubrania przerabiała mi wtedy mama. Do tej pory prawie każde adaptuję po swojemu. Idzie w ruch igła z nitką, agrałka albo pin – mam całą serię geometrycznych broszek, koła, kwadraty, w różnych kolorach, przydają się choćby do zmniejszania zbyt dużych dekolotów. Razem z przyjaciółką z klasy, Magdą, byłyśmy pewne, że gdy dorośniemy, zostaniemy plastyczkami, bo wiadomo było, że plastyczki świetnie się ubierają, o czym pisał choćby Tyrmand. Nudząc się na lekcjach, szkicowałyśmy pisakami postacie wyobrażające nas samych jako dorosłe, a że były to czasy mody neohipisowskiej, rysunki przedstawiały dziewczyny w długich spódnicach, z torbami chlebakami, albo w fantazyjnych swetrach, zestawienia ubrań i kolorów, na które trudno było natknąć się w rzeczywistości.

Takie dziewczynskie zabawy z projektowaniem mody skuteczniało więcej osób, zwłaszcza lubiących rysować. Tylko nie wszystkie zostałyśmy później plastyczkami. Ale u Ciebie się to sprawdziło.

Plastyczką została faktycznie Magda, zajmuje się dziś ceramiką. Ja poszłam na historię sztuki, czyli obok, ale blisko. Pracę magisterską pisałam o abstrakcji geometrycznej i tak mi zostało. Geometria mnie koi. Jestem osobą nadwrażliwą, wiele biorącą do siebie, trudno mi potem się uspokoić. Bywało, że dopadały mnie stany lękowe. Gdy się nasilały, nie miałam

→ zupełnie ochoty mówić, sfera wizualna przejmowała dowodzenie. Komunikowałam się wtedy głównie przez ubiór. Teraz na szczęście minęły, ale nadal lubię czasem coś zasugerować niewerbalnie. Jeśli jestem w muzeum i spotykam się tam z kimś z zewnątrz, chcę, by już w pierwszym kontakcie wiedział, czym się zajmuję, nawet jeśli nie mówię dużo. Strój to dla mnie też gra, zabawa, skierowana do odbiorcy. Ciekawi mnie, czy wypapie kod kulturowy, czy ceni malarstwo, architekturę modernistyczną.

Nasz pierwszy kontakt, w mediach społecznościowych, tego właśnie dotyczył.

To prawda, zwróciłam uwagę na twoją koszulę w geometryczne wzory na białym tle i od razu musiałam skomentować.



Relief Reinharda Wöllmera w Galerii Domu Norymberskiego w Krakowie

Zdarza Ci się zaczepiać na ulicy osoby, które przykuwają Twoją uwagę strojem?

Oczywiście! Pierwsze, co w ogóle spostrzegam, to kolor i forma – oraz ich relacje w przestrzeni. Zawsze przyglądam się świetnie ubranym ludziom, zdarza mi się nawet pójść w ślad za przechodniami, którzy przyciągnęli moją uwagę, żeby ich dłużej poobserwować. Moją ogromną inspiracją z okresu studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim była prof. Maria Hussakowska-Szysko, która prowadziła wykłady o sztuce amerykańskiej po 1945 r. Uczyła nas, że w człowieku niezmiernie ważna jest warstwa intelektualna, ale jednocześnie sama wyglądała fantastycznie. Pamiętam jej fryzury na boba, z obciętą równo grzywką w płomiennorudych włosach. Po zdanym egzaminie zmierzyła mnie wzrokiem i zagadnęła: „Pokaż mi tę spódnice. Co za kontrafady!”

Tego też Cię nauczyła?



INSTAGRAM / @AGATA_MALODZBRY X4

Malarstwo dekoracyjne Henryka Strumiły w Domu Nauczyciela w Piotrkowie Trybunalskim

Od niej wyniosłam przekonanie, że strój to taki sam środek wyrazu jak gest, spojrzenie, tembr głosu. U mnie cechami charakterystycznymi są szybki chód, wyrazista ekspresja, gestykulacja. To wszystko razem, w połączeniu z ubraniem i fryzurą, tworzy całościową kompozycję. Rozumiała to doskonale Zaha Hadid, kolejna kobieta ze współczesnego świata sztuki budząca mój podziw. Miała niełatwą figurę, ale umiała ją zaaranżować, tworząc architektoniczne formy, udrapowane suknie, żakiety, łączyła je z geometryczną biżuterią. Wszystko miało tam znaczenie.

Myślisz o jakiejś osobie i od razu widzisz, jak jest ubrana. Co jest takim mundurkiem dla Ciebie?

Sukienki. Materiał ma znaczenie – musi być miły w dotyku: naturalny, zwykle bawełna lub len, nie wykluczam też wiskozy. Geometria najlepiej prezentuje się na bawełnianym płótnie. Zimą chętnie sięgam po sztruks i aksamit, uwielbiam też suknie z wełny czy kaszmiru w łączonych kolorach. W sukience niezbędny jest pasek w talii, który nadaje formę. Ubiór musi dobrze leżeć, to moja obsesja, w końcu zajmuję się rzeźbą, dla której istotne są relacje z przestrzenią i tym, kto na nią patrzy. Ale lubię też, jak zaznaczyłam na początku, monochromatyczne stroje. Podczas wykładu w tarnowskim BWA na wystawie Kingi Nowak, której malarstwo jest niezwykle intensywne kolorystycznie, miałam na sobie czarną sukienkę z aksamitu, który swoją miękką fakturą pogłębia czerni. Tylko jeden akcent – rajstopy – nawiązywał do koloru, którego artystka często używa: jaskrawożółtego.

Zagrało?

Nie ustalaliśmy wcześniej, jak będzie zaaranżowane miejsce do wykładu, ale tak się złożyło, że stoliczek, przy którym siedziałam, znalazł się obok obrazu z dużym kołem w tym właśnie kolorze oraz rzeźby z cytrynowożółtym akcentem. Zagrało idealnie. Nie zawsze wiem, jaka będzie kolorystyka w miejscu, w którym się znajdę. Najlepsze są intuicyjne wybory. Na przykład na wystawę poświęconą abstrakcji geometrycznej przy-



AGATA MAŁODOBRY jest historyczką sztuki i kuratorką wystaw. Autorka naukowych i popularizatorskich publikacji o sztuce XX i XXI wieku. Pracuje w Muzeum Narodowym w Krakowie, gdzie jest kustoszka w Dziale Sztuki Współczesnej.

szłam w kaszmirowym swetrze złożonym z czterech kwadratów i okazało się, że na jednym obrazie jest podobna forma.

Oglądają się za Tobą na ulicy?

Owszem. Od osób odwiedzających wystawy słyszę często, że je inspiruję. Ale zdarza się i poza Polską. Kiedyś w Kopenhadze miałam taką miłą sytuację. Byłam w granatowej bluzce z plisowaną kryzą zamiast kołnierza i długiej spódnicy z dzianiny bawełnianej, wyglądającej nieco teatralnie. Podeszła do mnie kobieta, komplementując styl, zaczęła fotografować. To cieszy i wpływa pozytywnie na pewność siebie.

Twoi rodzice też wyróżniali się strojem?

Ojciec był prawnikiem, prokuratorem – sztuka zaznaczyła się w jego życiu w specyficznym kontekście, bo prowadził między innymi słynną w swoim czasie sprawę o kradzież obrazów z Muzeum Narodowego. Wyróżniało go to, że do codziennego stroju zawsze nosił muszkę – i wśród kolegów w krawatach wyglądał dość ekstrawagancko. Miał tych muszek całą kolekcję! Mama skończyła technikum odzieżowe. Przekazała mi wrażliwość na formy, choć sama ubierała się raczej konwencjonalnie, grzecznie, biurowo. Ale moja fascynacja monochromatycznym uniformem nie wzięła się z zapatrzenia w modę biurową czasów PRL-u, tylko jest wpływem licealnych muzycznych fascynacji. Słuchałam zespołów z nurtu zimnej fali, Joy Division, Bauhausu. To dzięki ich muzyce dowiedziałam się o istnieniu słynnej szkoły rzemieślniczo-artystycznej w Weimarze, a nie odwrotnie.

Przyznam Ci się, że ja też.

No widzisz. A jednocześnie to jakoś się wszystko łączy z odbiorem sztuki, bo z jednej strony były stylizacje Iana Curtisa, nie *stricte* punkowe, tylko właśnie takie minimalistyczne, ciemne kolory, bardzo proste kroje, jak choćby popelinowa koszula, czarne spodnie z paskiem – a z drugiej: odbiór samej muzyki, jej rytm, chłodny, miarowy puls, który dla mnie miał też przełożenie w głowie na geometrię, abstrakcję. Słuchając Joy Division miałam pod powiekami supematystyczne obrazy Malewicza. W Polsce było wtedy trudno o najprostsze, ascetyczne ubrania, królowały tureckie wielobarwne swetry, kakofonia kolorów i wzorów. Czarny prosty sweter udało mi się kupić dopiero w Wiedniu, gdzie wtedy pojechałam na wystawę Mondriana.

Nie uciekniemy więc od pytania o zawartość szafy.

Wiesz w ogóle, ile masz sukienek?

Mieszkam w bloku, na 70 metrach kwadratowych, nie mam więc miejsca na wielką garderobę, choć zdarza się, że moje sukienki anektują całe mieszkanie. Kiedy zaczynają wylewać się z szaf, wiem, że pora na rotację. Od czasu do czasu oddaję część z nich potrzebującym, niektóre, najładniejsze, sprzedaję w komisie – no i kupuję nowe. Mam sprawdzone marki, ale też oczy otwarte, bo ciekawe abstrakcyjne nawiązania trafiają się nawet w firmach, po których zupełnie tego bym się nie spodziewała. Zdarzyło mi się kupić trzy takie same sukienki we wzór ze złagodzoną geometrią nawiązującą do polskiej sztuki po odwilży lat 50. – dwie zostawiłam i zabarwiłam sobie na zielono i czerwono, a trzecią, przefarbowaną na żółto – puściłam w świat.

© Rozmawiała BEATA CHOMĄTOWSKA

Obiekt Juliusza Kosina, Galeria Podbrzezie w Krakowie



STANISŁAW

Mancewicz: Trudne chwile Polaka w Sekwanie



DO TYTUŁU NIE MAMY PRAW AUTORSKICH. Znaleźliśmy go w jednym z wielkich portali beztrosko żeglujących ku pełnej analfabetyzacji i odmóżdżeniu. Podebraliśmy wyjątkowe dla tych redakcji zdanie, bowiem podobna nam się w nim wszystko. Piękna składnia, rzadko spotykany dziś narracyjny umiar i emocjonalna wstrzemięźliwość.

Oto reprezentant, Polak, olimpijczyk, w Sekwanie przeżył zaledwie trudne chwile. Zaledwie, bo nie był on ani „na kolanach”, ani „na dnie”, jakby napisał ktoś bardziej zaawansowany w tworzeniu depeš dla polskich mediów. Nie został ów zawodnik pogiębiony, znajdujemy go w umiarkowanych kłopotach. Jeszcze nie została po nim mokra plama, o co w rzece nietrudno, no i jeszcze nie przyniósł wstydu ojczyźnie i wciąż jest daleko do oskarżenia go o zmarnowanie publicznych pieniędzy. Te, jak wiemy, nigdy nie pochodzą z podatków ludzi ciągle o nich mówiących, bowiem ci właśnie starają się ich nie płacić.

W zdaniu o Polaku w Sekwanie jest wszystko, czego nie było w większości relacji z igrzysk. Jest spokój i życzliwość wobec słabości, jest zrozumienie i cień współczucia, jest humanitaryzm i humanizm. Jest to zdanie etyczne i estetyczne. Trudności, co wiemy wszyscy, są do przewyciężenia, nawet jeżeli się ich nie przewycięża. Każdy z nas – jak tu ponuro siedzimy – je miał, choć zapewne nie w Sekwanie. Oczywiście, trudności przywoływanego tu rodaka wcale się na zawodach w rzece nie skończyły. Można się domyślać, że ów bliżej nieznaną wy-czynowiec po powrocie do kraju został bądź zostanie rozliczony. Rozliczenia są bowiem niezbędnym elementem naszej

przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Wyniki w sporcie – to oczywiste – podlegają rozliczeniom, jak wszystko i wszyscy. Jeżeli jakimś tutaj sportowcowi wydaje się, że zachowa olimpijski spokój, to trzeba mu rzec twardo, że się bardzo myli.

W polską odmianę olimpizmu wpisane są więc rozliczenia, podobnie jak są wpisane w naszą kulturę, i w – *nomen omen* – przeróżne rozliczenia właśnie. Mówiąc prościej: jest w Polsce mnóstwo rozliczeń, które muszą być rozliczone. To chyba jasne. Inna sprawa, czy są to rozliczenia udane. Otóż niewiele na to wskazuje, bowiem jak w większości działań w Polsce, mamy do czynienia ze spektaklem.

Zdanie: „Trudności Polaka w Sekwanie” można również rozumieć inaczej, mniej dosłownie. Wizyty Polaków w Paryżu w czasie igrzysk olimpijskich to rozdzierające pasmo wyzwań i trudności. Przeczytaliśmy w ciągu parunastu dni wiele wstrząsających tekstów o Paryżu, o francuskiej kulturze i obyczajach, o przerażających smakach wszystkiego, może oprócz pizzy i kebabu, czytaliśmy o strasznych zapachach, o paraliżujących odgłosach wielkiego miasta i świata, o dziwnych ludziach i ich dziwnych ubraniach, o niepolskich językach, o traumach wywołanych przez nieopróżnione kuby na śmieci, o spóźnionych śmieciarkach i pociągach, o za długich bułkach, o szokujących każdego Polaka przerwach obiadowych w restauracjach, i o niezamiecionych chodnikach. Jest to więc lista traum i rozczarowań, mamy więc i łzy, i gniew, przestrach, zagubienie i alienację. Musi to wszystko wzbudzić współczucie nawet u największych cyników.

Sumując: zwierzęce okrucieństwo zwierchników w polskich mediach jest znane, ale jednak wysyłanie polskiego dziennikarza, czy to profesjonalisty, czy amatora do Paryża, na kilka dni nawet, jest jednak absolutnym przekroczeniem granic, dowodem na pełne zwyrodnienie, na sadyzm, na brutalność i brak wrażliwości. To zdziczenie, które należy natychmiast rozliczyć. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

NOWOŚĆ!

Wygodna subskrypcja odnawialna Tygodnika.

7 dni za darmo, później o połowę taniej.

Nagradzane dziennikarstwo,
wydanie cyfrowe z płatnością cykliczną co miesiąc.

Nasze treści to:

- głębokie analizy wydarzeń
- wsparcie w odnajdywaniu sensu
- przewodnik po zawiłym świecie
- redukcja informacyjnego chaosu
- nadzieja

Szukaj na www.TygodnikPowszechny.pl/Kup



POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

**Życzymy Wam
dobrze
spędzonego czasu**

**ODWIEDŹ MUZEUM POLIN
Z OKAZJI 10. URODZIN**



ul. Anielewicza 6
00-157 Warszawa

polin.pl

Wspólna instytucja kultury



Finansowanie wydarzeń
w ramach obchodów

Sponsor strategiczny
Muzeum

Oficjalny przewoźnik
Muzeum



Teśmy tutaj!

**10. urodziny
Muzeum POLIN**

